

Michał Juriusz Pieróg

Opowiadania

Spis treści

Kot z Lanzhou.....	2
Kraina smogiem płynąca.....	12
Non omnis moriar.....	21
Jenot z Jilin.....	29
Dzikość serca.....	39
Droga na dachę.....	47
Śmiertelny mandat.....	61
Śródmieście.....	70
Płockie łowy.....	71
Utopia.....	79
Fenek Mossadu.....	102
Otchłań.....	115
Namiętność.....	147
Bogaty.....	160
Dąb Krakowski.....	172
Droga przez mękę.....	180

Kot z Lanzhou

Zaczęło się wszystko od tego, że obok domu pana Wanga otwarto szkołę języka angielskiego dla młodych talentów. Było to wydarzenie bez precedensu we wiosce oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów od Lanzhou. Innym precedensem byłoby znalezienie tam jakiegokolwiek talentu, czy to młodego, czy też starego. Pan Wang miał 78 lat, artretyzm, reumatyzm i żonę imieniem Ming, przy której Ksantypa stanowiła wcale atrakcyjną partię. Miał też kota, który był największą radością jego życia. Niektórzy w Lanzhou mówili, że Wang uratował kota z czasów Wielkiego Głodu, co poddawało w wątpliwość znane nauce wyniki długowieczności zwierząt tego gatunku.

Z racji zamieszkiwania w prowincji Gansu, pan Wang przez większość życia nie zaznał zbyt wiele ciepła, więc w miesiącach, gdy temperatury łaskawie pozwalały, przesiadywał na stercie betonowych płyt w ogrodzie. Na kolanach trzymał zwiniętego w kłębek kota i drzemał. Kot też drzemał, ale jakby bardziej czujnie — zapewne miał w pamięci przypalenie wąsów, które go spotkało w okolicach 1992 roku. Kot stał się zdecydowanie bardziej aktywny, odkąd z pobliskiego budynku prywatnej szkoły rozpoczęły dobiegać wrzaski, które miały być recytacją słów w języku angielskim. Chociaż wiek i refleks już nie z tych, w których człowiek zapisywał się na zawody jeździeckie, nawet wiekowy pan Wang po jakimś czasie dostrzegł nadspodziewaną pobudliwość kota na dźwięki obce językowi mandaryńskiemu. Wrodzona pasja przyrodnika i biologa sprawiły, że pewnego dnia pan Wang zakomunikował swej małżonce, że ich kot

opanował język angielski. Żona podeszła do tej wiadomości z podobnym entuzjazmem jak niegdyś do innych oświadczeń małżonka, takich jak decyzja, by jechać wspierać komunizm w Korei Północnej w 1952, organizować kwestę żywnościową w 1958, zakładania kółka poezji rustykalnej w 1968, czy też wyprawy do Pekinu wiosną 1989 roku. Przypomniała mu znaną chińską mądrość i wiele przysłów o tym, że człowiek wiekowy nie powinien się wydurniać i zagroziła, że jeżeli Wang nie przestanie się błaznić, to zabierze mu anglojęzycznego kota, tak jak zabierała emeryturę każdego pierwszego.

Można powiedzieć, że Wang przestał się wygłupiać wkrótce potem — taka jest natura każdego człowieka, że po śmierci staje się mało rozrywkowy i zdecydowanie mniej skłonny do wydurniania niż za życia. Jednak zanim to nastąpiło, Wang szedł w zaparte, że ich kot nauczył się angielskiego i że rozumie język imperialistów. O zaistniałym stanie rzeczy informował na bieżąco bliższych i dalszych sąsiadów. Sam Wang nie rozumiał po angielsku nawet 'Marlboro', bo palił *Baishē*.

Po śmierci męża Ming przeplakała wiele nocy. Nie wiedziała, jak będzie mogła żyć bez męża, bo jak przetrwać bez comiesięcznego wpływu paruset *renminbi* do domowego budżetu? Koleje życia sprawiły, że ich dzieci obdarzyły matkę nienawiścią większą niż Imperialną Armię Japonii i dyla dały dobre parę dekad temu, Ming nie wiedziałaby nawet, gdzie i jak ich szukać, więc ewentualne wsparcie z ich strony, poruszonych tragedią, jaka spotkała rodzicielkę, wydawało się mało prawdopodobne.

Pobliska szkoła języka angielskiego zamknęła się równie nagle, jak niegdyś otworzyła, właściciel zaś okazał się mieć właściwości znane kamforze. Wyraźnie zmartwieni tym faktem byli rodzice uczniów, którzy z góry wnieśli opłaty za cały semestr nauki. Ciągłe zadawano sobie pytanie: gdzie teraz młode, genialne mandaryńskie umysły zdobędą wykształcenie, które zagwarantuje im najlepsze prace w wieżowcach Szanghaju? A przy tym, rzecz jasna, środki na utrzymanie rodzicieli. Zaistniałą sytuację najbardziej zmartwiony wydawał się kot. Po pierwsze, nie miał Wanga i jego kolan do wylegiwania się. Po drugie, wyraźnie brakowało mu dzikiego jazgotu, który dobywał się z okien sąsiedniej budowli. Kot irytował Ming niemal tak bardzo jak ś.p. małżonek. Po pierwsze, ciągle miauczał. Po drugie, jeszcze ciągle nasłuchiwał znajomych odgłosów zza płotu, które nagle przestały docierać na ich podwórko.

Pewnego dnia zmaterializowali się krewni, coś w stylu kuzynów o stopniu pokrewieństwa numer 324. Po tym jak zapewnili Ming o swej wielkiej miłości, a następnie wydębili u niej nocleg, tej przyszedł do głowy szatański — w wersji wierzeń zachodniochińskich — plan. Mając pewien wrodzony zmysł biznesowy, najpierw zainwestowała 5 *renminbi* w napoje wysokokowe, które sprawiły, że goście przespali się z radością i przyjemnością na betonowej wylewce miejsca zwanego podłogą pokoju telewizyjnego. Podczas porannego śniadania, złożonego z pokażnej ilości kaczych jaj i przepękli ogórkowatych, Ming rozpoczęła rzewne opowieści o Wangu i jego kocie. Widząc coś, co mogło być zainteresowaniem zmieszonym z kacem, poczęła opowiadać, że Wang wyszkolił swojego kota w języku angielskim. Oczywiście, kot nie jest przesadnie biegły, bo czego w końcu można oczekiwać od kota? Ale świetnie zna wszystkie tony, jakie są w angielskim,

a przecież wszyscy wiedzą, że tony są najważniejszą rzeczą w nauce każdego języka, a zwłaszcza angielskiego. Krewni nie wydawali się przesadnie przekonani, więc Ming musiała zmarnować kolejne 5 *renminbi* na alkohol. W końcu jednak udało jej się przekonać, że dzięki przesiadywaniu na kolanach Wanga i nasłuchiowaniu pobliskiej szkoły, kot jest obecnie w stanie odtwarzać swym miaukiem wszystkie tony języka angielskiego. No cóż, szkoda, że ten kot się tak nikomu nie przyda, no bo kogo on tu ma uczyć? Dzieci większości populacji uciekły z wioski jeszcze na etapie plemników, dorośli już wielkich karier nie robią, więc niestety, ten bardzo cenny kot zmarnuje swój talent.

Najbliższa rodzina zasępiła się: w końcu mieli potomstwo. W końcu chcieli mieć za co żyć. W końcu znajomość języka angielskiego jest jedną z najważniejszych kompetencji, jakie współczesny Chińczyk może zdobyć. Próbowali już angielskiego prenatalnego, próbowali angielskiego z clownem, próbowali angielskiego z piosenkami i żadne z tych podejść nie przyniosło efektów innych niż drenaż ich konta. Cóż szkodzi spróbować z kotem? Kluczowe pytanie spotkało się z odpowiedzią brzmiącą 500 *renminbi*. Ostatecznie, pośród licznych rozpaczliwych miauków i 350 *renminbi*, kot przeprowadził się do stolicy prowincji Gansu. Po odliczeniu wydatków na kacze jaja i bai jiu Ming mogła pochwalić się nieopodatkowanym zyskiem w wysokości 326 *renminbi*.

Już pierwszego dnia swego pobytu, kot rozpoczął intensywne zajęcia dla potomstwa swych nowych właścicieli. Za najlepszą oznakę postępu w nauce rodzice uznawali, iż dzieci za nic nie chciały siedzieć ze swym pedagogiem w jednym pokoju — chińska mądrość od wieków głosi, że w końcu żadne

dziecko nie lubi się uczyć, więc im bardziej nie chce, tym więcej i lepiej się uczy. Wykładowca, ilekroć był z nimi zamykany, rozpoczynał wydawać z siebie rozliczne miauki i parsknięcia. Mogło być to związane z tym, iż ojciec rodziny stymulował zwierzę za pomocą kija (nie marchewki) do wydawania tych typowych dla kota odgłosów. Dzieci miały za zadanie powtarzanie kocich miauków wielkiej inwestycji i nadziei rodu. Sama głowa rodziny mówiła, iż jego wymowa wiele zyskała dzięki zajęciom z wioskowym, gansijskim kotem.

Zajęcia trwały kilka miesięcy, gdy pewnego dnia odwiedził ich wujek z Guangdongu.

Mówienie, iż wujek z Guangdongu był z Guangdongu, wpisuje się w trend opowieści o tym, że ptasie mleczko robi się z wymiotów skowronków. Wujowi akurat zdarzyło się żyć w południowej prowincji, a urodzić nieco bardziej na północ, gdzieś w okolicach Hohhotu. Początkowo był przekonany, iż kot został kupiony na obiadokolację i cieszył się, że taki tłusty. Dopiero po wyjaśnieniach zrozumiał, dlaczego ten kot ma osobny pokój, jada lepiej niż rodzina i może sam wybierać kanały telewizyjne. Będąc światowcem najwyższej próby, wuj potwierdził lingwistyczne talenty kota, podkreślając, że kocia realizacja dźwięku *shwa* jest najwyższej próby. Od razu zaczął nastawać na to, żeby nie marnować tak dobrej puli genetycznej wielkiego językoznawcy i jak najszybciej go rozmnożyć. Oferował odkupienie naukowca za 1000 *renminbi*, ale jego propozycja spotkała się z odmową. Rodzina Qiu zrozumiała jak wspaniały interes zrobiła inwestując 350 *renminbi* w dawnego pupila pana Wanga.

W ciągu następnych paru miesięcy kot z Lanzhou głównie współżył i nauczał. Nierzadko łączono te dwie czynności, przyprowadzając dzieci, by posłuchały tego, jak kot intonuje w trakcie kopulacji. Jego właściciele wyszukali wszystkie kotki w promieniu dwudziestu kilometrów i zmusili swego podopiecznego do zapłodnienia ich. Gdy nastał czas porodów, skwapliwie odbierali potomstwo. O ile początkowo traktowano ich jak wariatów, po jakimś czasie stwierdzono, że coś musi być na rzeczy. Gdy wiadomość o alternatywnym podejściu do nauki angielskiego dotarła do właścicieli kocich matek, przestali tak ochoczo oddawać kolejne mioty. W końcu pewnego dnia najpierw wielki językoznawca udzielił ośmiu lekcji angielskich miauków, by potem dołączyć do swego pierwszego właściciela w zaświatach. Dokładniej sprawę ujmując: paść na zawał podczas spotkania z dorodnym persem płci żeńskiej. Jednak jego spuścizna żyła nadal. Łącznie urodziło się około 600 kociąt, wiele spłodzonych na zamówienie. Dzięki wujkowi z Guandongu i Hohhotu sława kota-anglisty obiegła całe miasto w kilka tygodni. Rodziny zgłaszały się, by za opłatą wypożyczyć zwierzę.

Po paru tygodniach zdecydowano się na otwarcie pierwszej szkoły z kotem jako wykładowcą. Wielu wyśmiewało ten pomysł, ale jeszcze więcej zapisywało swoje dzieci do tej placówki. Skoro nie zadziałał angielski z Amerykaninem, skoro nie zadziałał angielski metodą Helen Doron, to najwyżej nie zadziała angielski z kotem. Początkowo ceny były wielce konkurencyjne. Brak tradycji poszanowania praw zwierząt sprawiał, iż rodzice nie przejmowali się przesadnie tym, iż kot naucza jedynie, gdy jest pobudzany ciosem deszczułką w podogonie.

Fama językoznawcy rosła w siłę, jak również handel jego dziećmi. Kocięta z pierwszego miotu przejęły grupy po śmierci seniora. Ceny lekcji zwyżkowały, szkoła uruchamiała dodatkowe kursy, ale i tak nie mogła podolać fali zainteresowanych. Otwarto cztery franczyzy, które wypełniły się uczniami, zanim na dobre się otworzyły. Metoda z Lanzhou spotkała się z aprobatą licznych tuzów chińskiego systemu nauczania. Po kilku miesiącach popyt tak bardzo przewyższał podaż, że ambitni rodzice płacili tzw. ciężkie pieniądze, żeby wykupić dzieciom miejsce na kursach słuchania miauków niewidomych kociąt. Metoda pana Wanga (nazwana tak na cześć jej wynalazcy) zakładała takie same ciosy deszczulką w krocze dziecka, jak i kota w razie niepowodzenia powtarzania dźwięków wydawanych przez zwierzę. Rynek rozrastał się w niewiarygodnym tempie, a nawet najstarsi tybetańscy górale nie wiedzieli o tym, co zdarzyło się swego czasu w Holandii, gdy z podobną popularnością spotkały się cebulki tulipanów. Okazało się, że około sześciuset potomków kota z Lanzhou nie jest w stanie sprostać zewowi wolnego rynku. Zaczęły pojawiać się podróbki — koty z drugiego i trzeciego miotu. Doszło do tego, że wynajem kota z pierwszej gałęzi genealogicznej wielkiego językoznawcy kosztował ponad 300 *renminbi* za godzinę. Zapotrzebowanie na chińskich nauczycieli zaczęło spadać, wzrastało za to zapotrzebowanie na koty. Pojawiły się szkoły twierdzące, że sprowadzają najprawdziwsze koty z Anglii, które to miauczą jeszcze lepiej niż potomstwo kota pana Wanga. Wielu rodziców postanowiło zabezpieczyć się z tzw. każdej strony i zapisywali dzieci do szkół kotów pana Wanga, jak również brytyjskiej szkoły kotów importowanych. Powszechnie wierzono, że jednak to gałąź nauczania kociąt z Gansu jest bardziej odpowiednia dla chińskich adeptów języka.

Jak zawsze w takich sytuacjach, Szanghaj postanowił iść swoją własną drogą i wprowadził szkoły, w których uczyły autentycznie brytyjskie kaczki-krzyżówki. Doprowadziło to do debaty telewizyjnej, w której udział wziął potomek pierwszej linii kotów z Lanzhou i kaczka z Bristolu. Zdania ekspertów były podzielone, ogłoszono remis ze wskazaniem na kota, bo mniej nabrudził. Zgodnie stwierdzono, że koty są lepszymi nauczycielami dla niewidomych, kaczki zaś dla głuchoniemych.

Po debacie telewizyjnej kocie szkoły językowe zyskały dodatkowe grona fanów. Od Kashgaru po Ningbo, przez Dongguan i Manzhouli szkoły językowe zwalniały ludzi, a zatrudniały koty. Wyznacznikiem statusu społecznego, tak rodziców jak i dzieci, stało się to, czy dziecko jest, aby na pewno uczone przez kota. Portale społecznościowe zapełniły się zdjęciami dzieci z ich nauczycielami. W prasie fachowej pojawiły się artykuły dotyczące tego, iż Chinom udało się wyprzedzić Japonię, dokąd jeszcze trendy kociej edukacji nie dotarły (i miały nigdy nie dotrzeć), jak również Koreę (nie precyzowano którą, ale zapewne Południową). Brakowało zgodności, co do stopnia zaawansowania tego trendu w Korei Północnej.

Tendencja zaczęła wskazywać tendencje zniżkowe, gdy młodzi Mandaryni po kilku latach edukacji u boku kota rozpoczęli wyjeżdżać, studiować do tzw. krajów zachodnich. O ile liczono się z ryzykiem nawiązywania kontaktów z ludźmi bloku zachodniego, o tyle okazało się, że żaden z adeptów chińskiej szkoły kota nie był w stanie porozmawiać z brytyjskim kotem, o obywatelu nawet nie mówiąc. Raportowano setki, a nawet tysiące, prób zakończonych fiaskiem. Szkoły w Chinach jasno informowały, że ta metoda nauki jest tak nowatorska, że Wielka Brytania, nie mówiąc nawet

o USA, za nią nie nadążają, więc nie należy dziwić się, że komunikacja z mieszkańcami innych krajów nie jest możliwa. Wyjaśnienie to zapewniło dalsze kilkanaście miesięcy egzystencji kocich szkół językowych, jak również zainteresowanie wojska, gdyż generałom bardzo spodobał się pomysł, by takie efekty właśnie efekty miało nauczanie języka obcego ich żołnierzy. Pewną porażką okazała się być szkoła mruczenia. Jak próbowano wyjaśniać adeptom, miauczenie nie stanowi całej komunikacji, mruki są równie ważne, ba, nierzadko ważniejsze, niż miauki. Trend ten jednak nie został opisany w programach telewizyjnych, więc można śmiało powiedzieć, że po prostu się nie przyjął.

Ostateczną zagładą kociego systemu nauczania okazało się być odkrycie, że kot pana Wanga nie uczył się amerykańskiego, ale zaledwie kanadyjskiego. Ktoś napisał w internecie, że ta szkoła koło domu pana Wanga uczyła kanadyjskiego. Wszyscy, zwłaszcza ci, którzy nigdy nie mieli do czynienia z językiem wroga, okazali się świadomi, że kanadyjski, to bardzo oszukany angielski. Każdy też wiedział, że w świecie i wszechświecie istnieje jedna, wielka siła. Że tą siłą, na miarę grawitacji, jest amerykański akcent, który od biedy można zastąpić brytyjskim, ale w żadnym razie kanadyjskim. Gdy tylko to potwierdzono (co wymagało odnalezienia dawnego właściciela szkoły, który akurat był w trakcie siódmego roku urlopu w Tajlandii), momentalnie zdemaskowano koty z hodowli pana Wanga. Z dnia na dzień z idoli tłumów, stały się pośmiewiskiem i posiłkiem populacji. Szkoły próbowały reagować na tę tendencję, zgodnie obniżyły ceny swoich kursów, ale rodzice grupowo zabierali swoje dzieci, zatykając im przy tym uszy, by nie słuchały zbyt wielu miauków w niewłaściwym angielskim. Wczorajsi wykładowcy często kończyli na krawężnikach, a potem w kociolkach

lokalnej biedoty. Z piedestału najlepszych nauczycieli akademickich, koty stoczyły się w otchłań zapomnienia. Nikt już nie chciał słuchać ich miauków, a mruczenie stało się zjawiskiem niespotykanym.

Przez kolejne lata wiele chińskich szkół próbowało eksperymentów z innymi zwierzętami, ale żaden z nich nie był przesadnie owocny. Próbowano angielskiego z sowami, rosyjskiego z lisami, niemieckiego z rybami i japońskiego z muchami, ale już nigdy żaden trend nie spotkał się z taką popularnością jak angielski z kotami.

Kraina smogiem płynąca

Oto tych dwoje jedzie do Kalifornii. Jadą tam, żeby zasiąść w hallu hotelu Beverly–Wilshire i przyglądać się z zawiścią przechodzącym ludziom, żeby patrzeć na góry — pomyśl tylko, na góry i na wysokie drzewa! - on wiecznie zatroskanym wzrokiem, a ona rozmyślając nad tym, że słońce wysuszy jej skórę. Jadą, żeby zobaczyć Pacyfik, i założę się o sto tysięcy dolarów, że on zawoła: "Wcale nie jest taki wielki, jak myślałem!" A ona będzie obserwowała zazdrośnie pulchne młode ciała na plaży. W gruncie rzeczy jadą do Kalifornii po to, żeby móc wrócić do domu.

— John Steinbeck, "Grona gniewu"

- Maaaaaaamo, jaaaaa nieeee chceeee!

Desperackie krzyki młodego Wanga przeszywały powietrze, a raczej wspomnienie tegoż nad Baoding. Wang miał zaledwie sześć lat, ale krzyczał, jakby spędził kilka ostatnich dekad w piwnicach Lubianki i właśnie w tymże momencie postanowił przywołać wszystkie atrakcje, jakie sprezentowali mu radzieccy śledczy. Mimo pochodzenia z rejonów względnie bliskich Tybetowi Wang nie był jakimś następcą Dalai Lamy, którego zakatowali Sowieci. Płakał, bo chciało mu się sikać — tak trywialne bywa czasami życie. Co gorsza, czasoprzestrzeń nie sprzyjała Wangowi: zamiast móc się normalnie wysikać, musiał akurat pozować do zdjęcia z matką i ojcem. W swej trójcy stanowili idealną rodzinę, która spędzała wspólnie urlop.

Od czasów mniej więcej wiktoriańskich wiadome jest, że wybranie się na wycieczkę, czy też spędzanie urlopu, stanowi wypadkową statusu

społecznego, ambicji, zamożności, głupoty i rozmieszczenia krewnych po gościńcach świata. Ponieważ państwo Wangowie przyjaciół zbyt wielu nie mieli, więc ich planowanie wakacji szybko doprowadziło do smutnego wniosku, iż muszą zdać się na opcję 'na bogato', czyli skorzystać z jednego z biur podróży. W tym temacie los też nie okazał się przesadnie szczodry, więc ich wizyty w kolejnych punktach usługowych nie były spacerem tryumfu, a raczej czymś całkiem przeciwnym – chaotyczną bieganiną łączącą panikę i liczne rozczarowania porażek. Państwo Wang chcieli czegoś specjalnego, żadnych Tajlandii z niedobrym jedzeniem i ludźmi niemówiącymi po chińsku. Żadnego Paryża pełnego niskiej zabudowy, typowego nierozwiniętego miasta Zachodu. Gdy już udało im się spotkać z kilkunastoma agentami podróźnymi i gdy podołali temu, żeby obrazić ich wszystkich (co łatwym zadaniem nie było, ale wyśmiewanie każdej zaproponowanej oferty pomogło), w końcu zostali rzućeni w objęcia pana Liu, który szczylił się tym, że sprawy niemożliwe załatwiał od ręki, ale na cuda kazał czekać nawet do kilku dni. W odróżnieniu od wcześniej spotkanych agentów pan Liu nie załamał rąk, tylko obiecał zaoferować im wycieczkę typowo chińską — po Chinach i po miejscach, w których państwo Wang jeszcze nie byli.

Pan Liu dopytał się o wszystkie odwiedzone uprzednio przez rodzinę Wangów miejsca w ojczyźnie i wydawał się wyraźnie bezradny, gdy ci podawali mu listę destynacji rozciągających się jak Chiny całe długie i szerokie. Gdy wieczorem zasępiiony palił nerwowo papierosa i spozierał nieśmiało w miseczkę bai jiu, bojąc się, że nie uda mu się jednak ostrzyć z nadmiaru gotówki młodej pary, doznał olśnienia. Następnego dnia

zaklinował i oznajmił, że ma dla swych potencjalnych klientów wielce atrakcyjną wycieczkę.

W trzy dni po pierwszym spotkaniu był w stanie zaoferować im wyprawę tematyczną dla całej rodziny. Może nie najtańszą na świecie, ale jak najbardziej odpowiednią dla nich i dla ich młodego Cesarza.

Wyprawa śladem rozwoju industrialnego Chin. Tygodniowa przejażdżka śladem różnorodnych gałęzi przemysłowych prowincji HeBei.

Pan Wang był zachwycony tą ofertą: jego dziecko zobaczy, jak cudownie rozwija się ojczyzna. Żona będzie miała zaszczyt zajmowania się dzieckiem. On zaś posiadał niezgorszą kolekcję namiarów na burdele w okolicy trasy ich wyprawy.

Pani Wang była zachwycona: tyle miast, tyle sklepów, tyle butików, tyle miejsc, by skorzystać ze znajomości PINu do karty małżonka.

Mały Wang wcale się nie cieszył na wyjazd mający być dla niego szalenie edukacyjnym i ciekawym. Wolałby siedzieć z dziadkami, którzy pozwalali mu spożywać jego ulubione dania z kaczek dzień po dniu i niespecjalnie przejmowali się tym, że przemienia się w pyzate monstrum. Bał się, że będzie znowu jak rok wcześniej, gdy to wybrali się na Hainan. Jego wspomnienia ograniczyły się głównie do serii zatruć pokarmowych i konsumpcji lodów. Gdyby młody Wang sięgał pamięcią nieco dalej, to wiedział, że właściwie każde jego wakacje tak wyglądały — czy to w Tybecie, Syczuanie, czy w Kłajczoł. Ostatecznie dziadek musiał mu obiecać, że gdy tylko wrócą, to otrzyma największą kaczkę z największego supermarketu. Solenne przyrzeczenie pomogło nieco na dziki atak histerii, który dopadł młodego Mandaryna, jednak dopiero zapewnienia, że będzie mógł też

kaczkę zabić, sprawiły, że dziecię z miną męczennika zgodziło się na wyprawę w nieznane.

Już na lotnisku w Guangzhou opiekę nad nimi przejął indywidualny przewodnik. Można powiedzieć, że lot do pierwszego punktu wycieczki minął spokojnie, bo czymże jest godzinna kłótnia grupy pasażerów o miejsce na zakupy w luku bagażowym?

Mającą trwać sześć dni wyprawa rozpoczęła się w Shijiazhuang. Według folderu biura podróży od pana Liu tam właśnie uczestnicy wyprawy mieli spotkać się po raz pierwszy z legendarnym hebejskim smogiem. Stolica prowincji spodobała się panu Wangowi od pierwszego wejrzenia. Czuł, że dostaje to, za co zapłacił. Jeszcze na lotnisku rzucił się do robienia zdjęć swoim krewnym z pierwszej linii w oparach spalin spowijających postój taksówek. Z racji początkowego entuzjazmu wycieczkowego, zarówno szacowna małżonka, jak i ich dziecię, radośnie hopsali do zdjęć, wyrzucając przy tym ręce w powietrze. Dzięki temu Wang mógł uaktualnić swój profil społecznościowy i pokazać wszystkim kolegom z biura, kto tak naprawdę wygrał życie. Z powodu relacji panujących w miejscu pracy, fotografie z postoju taksówek zyskały 173 polubienia w godzinę od publikacji.

Po przejeździe do hotelu nastąpił spacer po mieście w towarzystwie przewodnika. Żywiłowo wyjaśnił on swoim klientom naturę rozlicznych gałęzi przemysłowych, które to znalazły swoje miejsce właśnie w Shijiazhuang. Myśli jego padły na grunt wielce podatny, cała rodzina była zafascynowana tym, jakież to niesamowity rozwój dotknął miasto niegdyś słynące z tytoniu i bawełny, teraz zaś będące liderem regionu. Po wizycie w fabryce tkanin młody Wang został posiadaczem domowego warsztatu

tkackiego, zaś jego matka mogła za pomocą telefonu komórkowego na bieżąco informować swoich znajomych na QQ o tym, że właśnie wypoczywa, oglądając pracę trzech tysięcy szwaczek. Jak wiemy od dawna, nic tak bardzo nie pozwala odpocząć, jak obserwowanie tych, którzy ciężko pracują. Zdjęcia dostały 472 polubienia w ciągu dwóch godzin, co wprowadziło panią Wang w wielce pozytywny nastrój. Ojciec rodu również wydawał się kontent, bo nikt mu nie przeszkadzał w masowaniu utrudzonych pleców ludzi pracy. Wprawdzie czasem plecy myliły mu się z klatką piersiową, wprawdzie jakoś nie zabłąkał się w okolice stanowisk pracujących mężczyzn, bo jakaś niewidzialna siła trzymała go przy robotnicach z Kłajczoł, ale i tak wyprawę zapisał do więcej niż udanych.

Po powrocie do hotelu Wangowie oddali się czynnościom koniecznym: napili się wrzątku, połupali słonecznik, ugotowali kacze jaja, korzystając z czajnika. Wprawdzie trzy razy wybiło stopki, ale w końcu trochę dymu jeszcze nikogo nie zabiło, a dziecko musi mieć, co jeść — jak zdrowo skonstatował senior rodu. Razem z małżonką zgodnie uznali, że to właściciel hotelu stracił twarz, bo dał takie beznadziejne stopki, co palą się niczym choinka, ledwo na nich kacze jaja rozrobić.

Na następny dzień wyprawy zaplanowano wycieczkę plenerową. Państwo Wang musieli wstać o 4 rano, ale przewodnik mówił, że nie będą tego żalowali. Z powodu tak wczesnej (lub późnej, zależy, jaką ma się perspektywę) pory, musieli nieść swe dziecko na rękach do taksówki. Dopiero po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów dane im było zobaczyć w pełnej okazałości łunę unoszącą się nad kominami Xingtai. Wschód słońca, wielce nieśmiały, okazał się być okazją do przypomnienia znajomym, kto ma urlop, a kto nie. Podli znajomi jednak w przeważającej większości

spali, więc tym razem na polubienia i podnoszące na duchu komentarze trzeba było poczekać kilka godzin. Jednak miłe okoliczności przyrody sprawiły, że wyjątkowo przyjemnie siedziało się z przewodnikiem i gaworzyło o tym, jak atrakcyjną destynacją jest Xingtai i jak to dobrze, że państwu Wangom udało się tam dotrzeć, zanim zostanie rozdeptane przez turystów. Podobnie udane było śniadanie na trawie, złożone głównie z kaczych głów, ryżu i wielkiego słoika la jiao. Pewnym zgrzytem była nieobecność pana Wanga, który po ujrzeniu kelnerki w przydrożnym barze poddał się sferze wakacyjnej i masturbował się w pobliskich krzakach. Przywołany do porządku przez małżonkę ostatecznie zgodził się masturbować się z widokiem na nią, chociaż kosztowało go to wiele wysiłku i fantazji. No i 3 RMB na łoda dla juniora rodu, co w sumie było skromnym wydatkiem wobec tego, co zapłacił dzień wcześniej — też za łoda, ale dla samego siebie.

Lista wydatków pana Wanga rosła w zastraszającym tempie, trzy butelki *Maotai* (jedna dla przewodnika, druga dla siebie, trzecia dla kierowcy taksówki), niemniej był wielce kontent z czasu spędzanego z nowymi przyjaciółmi. Śniadanie spożyte także w płynie sprawiło, że pan Wang odespał trudy wstania o bardzo barbarzyńskiej porze. Gdy obudził się, mógł w pełnej okazałości zobaczyć, jak kopalnia węgla pracuje na pełnych obrotach i emituje dym, jakby właśnie nie udało im się wybrać papieża mimo wielu miesięcy dramatycznych obrad.

Na tak wspaniałej zabawie i mile spędzonym czasie, urlop wydawał się zachowywać niczym woda lana przez sito. Ledwo państwo Wang się obejrzeni, osiągnęli półmetek. Jeszcze nie zdążyli wgrać wszystkich 862

zdjęć z odwiedzin fabryki w Handan na swe profile społecznościowe, a już docierali do Baoding, gwiazdy na firmamencie ich wyprawy.

- Czujecie państwo? Tu powietrze pachnie całkiem inaczej niż w Xingtai. Można powiedzieć, że jest niemal tak dobre jak w Pekinie.

Pan Wang i jego cała rodzina głęboko odetchnęli. Rzeczywiście, powietrze było inne niż w Xingtai. Nawet wydawało się mieć inną konsystencję. Wydawało się, że można je dotknąć i zacisnąć w dłoni. Przewodnik kontynuował swoją opowieść:

- Dzisiaj państwo nie trafili zbyt szczęśliwie, PMI wynosi tylko około 500. Jednak prognozy są obiecujące, być może jutro uda się nam przekroczyć 600, ale niczego obiecać nie mogę. Niemniej, mam wiadomości od krewnego z pobliskiej fabryki nawozów, mają pracować na trzy zmiany, więc mamy bardzo dużo szansę, że dobijemy przynajmniej do 600.

Rodzina Wangów zwiedziła centrum miasta. Bardzo spodobały im się przepisy ruchu ulicznego, a raczej brak tychże. Hopsali więc radośnie przez czteropasmowe jezdnie, śmiejąc się radośnie, ilekroć autobus mijał ich na milimetry, a nawet gdy czasem wywracała ich trójkołówka. Młody Wang otrzymał w prezencie dmuchaną sarenkę na kółkach i udało mu się nią pobawić prawie trzy godziny, zanim się całkiem rozleciała. Hotel, w którym zakwaterowało ich biuro turystyczne, oferował wybór pięciu różnych dań z mięsa osła, co pozwoliło ukochanemu potomkowi rozsmakować się w oślich uszach, podczas gdy małżonka wydawała się wielce zadowolona z oślego hamburgera.

Pan Wang przesadnie nie rejestrował spożywanego posiłku, gdyż wyczekiwał, aż małżonka pójdzie przypudrować nos, co umożliwi mu odświeżenie znajomości z kolegą ze szkolnej ławy. Nawet w czasach, gdy

mieli po szesnaście lat, Jia był koneserem lokalnych przybytków rozrywki. Wang wiedział, że po tylu latach pobytu w Hebei, Jia gwarantuje dostęp do najlepszych przybytków rozrywki. Problemem było skontaktowanie się z nim i pozbycie małżonki na kilka godzin. Akurat oferta zakupowa nie dawała wielkich nadziei na to, że pani Wang rzuci się w wir wielkich centrów handlowych i zapomni o bożym świecie, w tym o mężu. Szczęśliwie, nie ma posiłku bez oleju, więc pierwotnie wcale rozsądnie oleiste danie pani Wang zyskało około 4000 kalorii podczas jej pobytu w toalecie. Kochający małżonek zamówił jej także wielką butelkę jogurtu, powołując się na ludową mądrość, iż ten jest świetny na trawienie. Geniuszem być nie trzeba, żeby wiedzieć, co nastąpiło w kilkanaście minut po skończeniu posiłku. Detale nie są bardzo istotne, najważniejsze jest to, że pan Wang mógł zostawić swoje dziecię z żoną i iść na spacer. Przypadkiem podczas tego spaceru spotkał Jia, Jia przypadkiem siedł do burdelu...

Szczęście dopisywało rodzinie Wangów. Następnego dnia o poranku poziom zanieczyszczenia powietrza osiągnął ponad 700 jednostek. Z tej okazji, wszyscy wstali o 6 rano, chociaż pan Wang nawet nie zdążył się położyć spać i witał nowy dzień z butelką *ergotou* w ręce, z którą to zakończył swój poprzedni etap zmagania z rzeczywistością. To jednak on wydawał się szczególnie pobudzony, gdy pokazano mu na telefonie, że tak, że udało im się! Że wdychają prawdziwie autentyczne hebejskie powietrze! Łzy szczęścia pociekły mu z oczu. Udało mu się zabrać ukochaną i potomka w miejsce, gdzie mogli doświadczyć najprawdziwszych Chin. Gdzie dane im było widzieć, słyszeć i dosłownie oddychać nowoczesnością, rozwojem i produktem krajowym brutto. Stojąc pośrodku kilkunastomilionowego miasta, pośród samochodów, autobusów i trójkołówek odkrył nieznane.

Odkrył najlepszą destynację turystyczną w swojej ukochanej ojczyźnie. Choć wiadomości z czasów Kopernika i Galileusza nie dotarły jeszcze do pana Wanga, to wiedział, że jest w najwspanialszym miejscu na całym globie i że nigdzie indziej nie będzie podobало mu się tak bardzo. Refleksyjnie dopił *ergotou*, objął żonę, wiedząc, że atmosfera uniemożliwi jej wyczucie zapachu szesnastoletniej Ming z Wewnętrznej Mongolii, przytulił syna i zrobił najwspanialsze zdjęcie świata. Modelowa chińska rodzina na tle fabryki turbin wiatrowych.

To właśnie w trakcie wykonywania tego wiekopomnego portretu rodzinnego, który miał ozdobić ściany mieszkań krewnych i znajomych, młody Wang się posikał.

Rodzinie Wangów tak bardzo spodobało się w Baoding, że poprosili o zmianę trasy wycieczki, by mogli nacieszyć się jakże korzystną aurą tej metropolii. Zrezygnowali więc z odwiedzin w kopalniach Zhangjiakou. Zawsze trzeba sobie zostawiać miejsca, do których chce się wracać — powiedzieli sobie. Po zaledwie kilku dniach pobytu wiedzieli, że ich serca zostały w Hebei.

Non omnis moriar

“W życiu czasem tak bywa, że się umiera”, pomyślała Gao. Była studentką drugiego roku księgowości i właśnie doszła do wniosku, że życie jest piękne, ale jej już tego piękna wystarczy. Prawdopodobnie nie ma niczego lepszego ani gorszego po drugiej stronie, ale przynajmniej nie ma tego. Pocieszona tą wizją postanowiła sprawdzić swe przemyślenia i zeskoczyła z dachu uniwersyteckiego kampusu.

Jest rzeczą oczywistą, jak niesamowitą furorę wzbudziło samobójstwo koleżanki pośród braci studenckiej. Późnej godziny wieczornej niektórzy usłyszeli raczej dziwny hałas i rzucili się do okien. Gdy co bardziej ogarnięci zrozumieli, co się stało, od razu pobiegli robić sobie zdjęcia ze szczątkami doczesnymi uczennicy. Wprawdzie portier czynił, co mógł, ale do przybycia policji historia Gao z księgowości obiegła cały kampus i internet, od Tajwanu aż do Wyżyny Tybetańskiej. Jeszcze zanim usunięto wiadome zdjęcia z portali społecznościowych, niektóre zebrały po kilkaset polubień. Studenci z kampusu w Xingtai bardzo zazdrościli tym z Baoding. U nich w tym semestrze jeszcze nikt się nie zabił, było trochę przypadków samookaleczeń, ale nie mieli jeszcze żadnego skoczka. Na topielca nie było co liczyć, bo jak się utopić w publicznej łaźni, gdzie prywatności mniej niż w komunikacji miejskiej? Dlatego też każde samobójstwo było na wagę złota i służyło jako niezbity dowód tego, że na danej uczelni życie jest przesadnie ciężkie, depresyjne i stresujące. Mimo tego jakoś akurat w tej dziedzinie władze uniwersytetów nie chciały stawiać na współzawodnictwo i wstydliwie kryły dane dotyczące przypadków śmiertelnych ze swych kampusów.

W końcu udało się pozbyć publiczności, która dość szybko odkryła, że spektakl tego typu cechuje wyjątkowa nuda i brak możliwości rozwoju zaistniałej sytuacji. Policja zabezpieczyła miejsce, w którym uczennica straciła twarz po raz ostatni. Co może wydawać się nieco dziwne, tutaj dopiero zaczyna się właściwa historia studentki Gao.

Decyzja o ostatecznym kroku młodej Chinki była dość poważnie związana z przebiegiem sesji egzaminacyjnej. Ta, mimo dramatycznych okoliczności, nadal trwała. Grupa studentów księgowości miała następnego dnia egzamin z rachunkowości. Najtrudniejszy w semestrze. Z przyczyn oczywistych, Gao nie wzięła w nim udziału. Prowadzący znany był z bycia niesamowicie surowym, zasadniczym i wymagającym. Słyszał też z tego, że lubił sobie golnąć. Właściwie jeszcze bardziej go kojarzono z tego, że bardzo nie lubił sobie nie golnąć. Przeprowadził więc cały egzamin, zwyzywał wszystkich swoich podopiecznych i zakończył kurs. Gdy w kilka dni później wypełniał arkusz ocen, przypadłość pojawiająca się na kilka godzin przed katem spowodowała, że numer 21 otrzymał ocenę numeru 22: 85%. Potem prowadzący ujrzał, że mu się wszystko przesunęło, że teraz to już nigdy tego nie poprawi, więc zostawił, jak było, zakładając, że jedni się ucieszą, a jak ktoś będzie narzekał, to mu się poprawi. W ten sposób Gao otrzymała najwyższą ocenę w historii swego udziału w zajęciach z rachunkowości.

Minęło parę dni. Nadeszły egzaminy ustne z lektoratu. Tym razem Gao otrzymała tylko 75%. Prowadzący je Sean z Irlandii wiedział dobrze, że wszyscy muszą zdać, bo jak ktoś nie zda, to wtedy on będzie musiał wypełnić bardzo dziwne dokumenty, podpisać się pod nimi kilka razy i jeszcze wiele

wyjaśniać. A potem przeprowadzić egzamin jeszcze raz i zauważyć niesamowitą poprawę kompetencji studenta. Na podstawie frekwencji, tego, co mu się wydawało, i fazy księżyca, Seanowi wyszło, że Gao powinna otrzymać właśnie 75%. Nikt nigdy żadnej jego oceny nie zakwestionował i tym razem było podobnie. Pewnym problemem mógł okazać się brak nagrania egzaminu wiadomej studentki, ale Sean uznał go za usterkę techniczną i po prostu skopiował wypowiedź innej uczennicy i opisał numerem kodowym Gao.

W podobny sposób Gao zdała egzamin z księgowości. System nie pozwalał zatwierdzić pustego okienka, a ponieważ kilka tygodni wcześniej ogłoszono wielki konkurs na najlepszą grupę, dyrekcja uznała, że Gao przyniosła już wystarczająco wstydu swoim kolegom i koleżankom, żeby im jeszcze zaniżyła średnią swym dziecięcym wyskokiem (jakkolwiek rozumieć te słowa). Dano jej więc 100%, żeby było uczciwie.

Z powodów oczywistych, minimum sprawnościowego z w-fu zrobić nie mogła, ale imię sugerowało jasno, że to chyba była taka wysoka, co dobrze grała w koszykówkę, pewnie pojechała do domu na Spring Festival nieco wcześniej — pomyślał prowadzący i postawił jej 8/10.

Nawał wydarzeń sprawił, że sława uczennicy Gao nieco przygasła, zanim nadeszła sesja poprawkowa. Jeszcze uczeń Miao z pierwszego roku doszedł do podobnych przemyśleń egzystencjalnych, jak jego starsza koleżanka, co dostarczyło nowych tematów do rozmów. Dzięki tej dwójce uczelnia w Xingtai pozostała w żenującym ogniu dramatycznych wydarzeń. Losy studenta Miao potoczyły się jednak mniej interesująco niż Gao. Ponieważ swą decyzję podjął jeszcze na pierwszym roku, został po prostu skreślony z listy studentów. Gao zaś nadal miała dwie poprawki. Ponieważ system

przyjął pierwszą ocenę jako niezdającą, należało wstawić drugą, nie można było zostawić pustego pola, bo odwieczną cechą systemów oceniania jest to, że strasznie nie lubią one pustych pól. Twórcy tego kierowali się sekretnymi wytycznymi rektora: jeżeli ktoś nie zda poprawki, to system powinien przyporządkować mu losowo niską ocenę zdającą. Większość wykładowców o tym wiedziała, ale czego nie wiedziała, to, że nawet uczeń otrzymujący o ma szansę na otrzymanie oceny zdającej. Tak więc Gao osiągnęła mało oszałamiające 62%, co jednak wystarczyło jej do zdania kursu.

Ostatnią poprawkę załatwił dziekanat. Zalecenia dyrekcji były takie, by nie zapominać o tym, że pieniądze idą za studentem. Pani Yao akurat dość dobrze pamiętała całą sytuację z Gao, bo co do sprzątanía było na parkingu, było niczym w porównaniu z tym, ile to ona musiała wypełnić papierów, żeby sprawę zamknąć administracyjnie. Według znanych jej rozporządzeń były szanse, żeby uczelnia otrzymała pieniądze z centrali również na drugi semestr, chociaż uczniowie fizycznie nie będzie (a jeżeli teorie o duchach okazałyby się prawdziwe, to duch Gao na pewno znalazłby sobie o wiele ciekawsze miejsca do nawiedzenia niż ich placówkę naukową). Pani Yao postanowiła więc zapomnieć o tym, że Gao już nie ma pośród nich i przez pomyłkę wartę parę *renminbi* wpisała ją na kolejny semestr studiów. Doprowadzenie rzeczy do stanu nieco bardziej odpowiadającego rzeczywistości odłożyła na gdzieś bliżej lipca.

Studenci średnio przepadali za swoimi dormitoriami. Budynki te miały właściwości, które potrafili zapewnić jedynie najlepsi architekci świata: w lecie było okropnie gorąco, w zimie zaś lodowato zimno. Tak też trzeba potrafić, chociaż brak jakiegokolwiek systemu ogrzewania jeszcze nieco

poprawiał sytuację. Do tego ilość miejsca przeznaczonego na osobę była mniej więcej taka jak w więzieniu o ciężkim rygorze, które sprawia, że wizje lokatorskie z *'Midnight Express'* wydają się wielce atrakcyjne. Dlatego też koleżanki Gao przesadnie nie paliły się do tego, żeby dostać nową współlokatorkę na miejsce nieboszczki. Gdy więc pewnego dnia przyszedł kwestionariusz z pytaniem, kto też tam mieszka, z radością wpisały, że Gao jak najbardziej nadal rezyduje w pokoju 217. Ponieważ ważność tego dokumentu była porównywalna jedynie ze statusem archiwalnych numerów gazety *'Sowieskaja Żenszina'*, nikt przesadnie sprawy nie drażył. Dzięki temu wybiegowi pięć byłych koleżanek Gao zyskało łóżko, które mogło służyć do przechowywania ich rzeczy osobistych, jedzenia, a także śmieci. W ten sposób koło czerwca jej dawny barłóg wyglądał niczym specyficzny kurhan pudełek po zupach, toreb po pierogach, zużytych chusteczek i opakowań po ryżu. No i kilku podartych ubrań, które zostawiano, bo się przecież kiedyś mogą do czegoś przydać.

Zaczęła się kolejna sesja. Minęło pięć miesięcy od dramatycznej decyzji uczennicy o wiadomym imieniu. Wydawało się absolutną niemożliwością, by mogła ona jeszcze pozostawać studentką. Kiedyś jednak ludziom wydawało się absolutną niemożliwością, że Ziemia jest okrągła, a potem okazało się, że się mylili. Druga sesja studentki Gao udowodniła, że nie tylko w kwestii kształtu naszej planety mogą występować pomyłki.

Kwaterunek na kolejny rok nauki skwapliwie załatwiły koleżanki z pokoju 217. Mieszka, mieszka, żadnych zmian. No zrobiła sobie trochę śmietnik na wyrze, ale i tak ją lubimy, a poza tym, to mieszka, mieszka, nie ma miejsca na żadną nową współlokatorkę!

Angielski załatwił Ian ze Szkocji. Przed sesją pouczono go, że jeżeli pozwoli sobie na uniemożliwienie dalszej edukacji jakiegokolwiek Mandaryna lub Mandarynki, to mogą wystąpić pewne problemy z wypłatą jego bonusu wakacyjnego. Po roku pracy w Chinach Ian rozwinął daleko posuniętą mądrość życiową, która sprowadzała się do nabożnej wiary w tytuł jednego z filmów Woody'ego Allena - *'Bierz forszę i w nogi'*. Do zakończenia tego etapu potrzebował już tylko paru egzaminów i podpisów. Ponieważ i tak ponad połowa jego studentów nie stawiała się na zajęciach przez cały semestr, jak i na samym egzaminie, nie zwrócił więc uwagi na rubrykę Gao, gdyż uznał, że to pewnie jakiś chłopak, co znalazł miłość swojego życia, bai jiu, muzykę hip-hopową albo grube lole, a któreś z tych odkryć (lub wszystkie jednocześnie) uniemożliwiły mu uczestniczenie w jego nudnych zajęciach, które zazwyczaj odbywał w pijackim widzie, nierzadko masując się, samemu stojąc przy katedrze i snując wizje o tym, jak dobrze byłoby być masowanym przez któregoś ze swoich pyzatyh studentów. Wiele o sprawie nie myśląc, Ian dawał wszystkim z automatu ocenę 80%, a jeżeli komuś to nie pasowało, to wpisywał 90, które zdecydowaną większość absolutnie zadowalało. Niestety, tym razem Gao dostała tylko 80.

Z makroekonomii całej grupie nie szło. Totalnie nie szło. Tak naprawdę, stado legwanów mogłoby mieć lepsze efekty. Jasne więc było, że egzamin odbyć się może jedynie w tradycyjny sposób: każdy ze studentów wybezahlował po 73 *renminbi* z własnej (a raczej rodzicielskiej) kieszeni. Pozwoliło to na kupno luksusowych papierosów *Chungwa* i kilku pięknych kartonów *Mou Tai*. Dzięki temu prowadzący tak się wzruszył, że zapomniał przeprowadzić egzamin i z góry na dół wpisał wszystkim oceny, które pozwalały na przeżycie.

Kurs księgowości okazał się mieć egzamin w KTV, gdzie nieco wiekowego wykładowcę zabraly co ponętniejsze z uczennic. Tym razem składka wyniosła jedynie 41 *renminbi*, ale dał się zauważyć pewien seksizm oceniania: studentki, które miały zaszczyt, przyjemność i brak hamulców moralnych, by spędzić wieczór z panem profesorem, otrzymały noty pozwalające na śmiało ubieganie się o stypendium. Męska część grupy otrzymała oceny znacznie niższe. W kilka tygodni po tej wyprawie szpital uniwersytecki zanotował pewien wzrost popularności zabiegu aborcji.

Kolejne kursy Gao zdała dzięki powszechnemu bałaganowi, lenistwu wykładowców i temu, że pamięć pani Yao z księgowości okazała się wielce zawodna. Do skończenia studiów został Gao tylko rok. W statusie nieboszczki zdała już dwie sesje. Kolejne były tylko kwestią czasu. Tym samym chiński system edukacyjny zadał kłam teorii, iż ewolucja polega na przeżyciu najsilniejszych. W tych realiach geopolityczno-edukacyjnych, okazało się, że bycie martwym gwarantuje większe szanse przetrwania w statusie studenta niż bycie żywym.

Gao skończyła studia i otrzymała upragniony niegdyś dyplom zgodnie z terminem przewidzianym w momencie, gdy dostała się na uniwersytet. Jej rodziny nie było na uroczystej ceremonii wręczenia tytułów naukowych. Mimo upłynięcia pewnej ilości czasu nadal mieli córce za złe, że naraziła ich na utratę twarzy przed całą wioską z południowego Guizhou.

W roku ukończenia studiów Gao chiński rząd wprowadził atrakcyjny program stypendiów dla doktorantów. Średnia otrzymanych ze studiów ocen kwalifikowała ją do ubiegania się o udział w programie wymiany

międzynarodowej. Któryś z pracowników administracyjnych uznał, że szkoda, żeby taka szansa przepadła. W ten sposób, w cztery lata po śmierci, Gao w wersji duchowo-papierowej pojechała studiować do Szkocji na rok. Niestety, nie udało jej się przywieźć laurów z zagranicznej placówki naukowej, ale nie przeszkodziło jej to w uzyskaniu na rodzimej uczelni doktoratu z nauk politycznych (temat pracy: *'Socjalistyczny raj Chińskiej Republiki Ludowej w kapitalistycznym piekle świata współczesnego'*).

Wprawdzie już Horacy pisał *'Non omnis moriar'*, jednak nawet on nie mógł przewidzieć, jak interesującej interpretacji doczekają się jego słowa w kilkanaście wieków później. Przypadek Gao udowodnił prawdę wcześniej nieznaną większej liczbie przedstawicieli ludzkości: nawet bycie po drugiej stronie lustra nie gwarantuje bycia relegowanym z chińskiej placówki naukowej. Tę cechuje pewien stan umysłu i rzeczy, których nawet śmierć może nie być w stanie pokonać.

Jenot z Jilin

Fujin nigdy nie była dobrą uczennicą. Przeczółgała się przez szkołę średnią głównie dlatego, że w chińskim systemie edukacyjnym ogólniaka nie da się oblać, no chyba, że zajdzie się w ciążę. Jej wynik egzaminu na studia był wielce żałosny, z trudem uzbierała kilkadziesiąt punktów z 750 możliwych, co zdecydowanie zamykało temat jej dalszej edukacji. Nie był to cios, który by ją powalił. Można powiedzieć, że Fujin wręcz ucieszyła się, że nie będzie musiała dalej zajmować się chińskim, angielskim, matematyką i bieganiem wokół boiska. Mogła więc zająć się najbardziej chwalebna rzeczą w życiu każdego młodego Chińczyka, czyli zarabianiem pieniędzy, już w wieku 18 lat, co jej skrzydeł raczej dodało, niż je podcięło.

Fujin nie była przesadnie rozgarnięta i nie udawała nawet, że będzie chciała robić coś innego niż ogół, nie pisała wieczorami wierszy ani nie doskonaliła się w kaligrafii. Nie wzruszała jej wiosna, myślami o sensie życia nie napawał pasikonik na krzaczku. Fujin lubiła jeść makaron i kaczki, uwielbiała koreańską muzykę i różowe ubrania z Hongkongu.

W pierwszym tygodniu po zakończeniu szkoły szlakiem wytyczonym przez tysiące przed nią pojechała do najbliższej fabryki. Traf, ekonomia i eksport chciał, że była to szwalnia, jedna z flagowych inwestycji prowincji Jilin. Fujin szybko polubiła swoją pracę, uważała, że jest tam dużo ciekawiej niż w szkole. Nauka związana była z różnymi wyzwaniem i niepewnością jutra, fabryka zaś gwarantowała idealną w jej mniemaniu stabilizację: wstać, umyć

twarz, zjeść i do szwalni. Hałaśliwy, czternastogodzinny dzień pracy sprawiał, iż nie musiała ona trudzić się rozmyślaniami, co też zrobić ze swoim życiem i czy ma ono jakiś głębszy sens. Na koniec każdego miesiąca Fujin pobierała z radością pensję, połowę odsyłała rodzinie, a drugą wydawała na swe ulubione kaczkę, słodki napój o smaku kukurydzy i ubrania z metkami z Hongkongu, chociaż wyprodukowane w Jilin. Jej życie wtoczyło ją na idealne tory i powoli zaczynała nawet rozważać przyjęcie zaproszenia na spacer od jednego z młodzieńców z pobliskiej strefy produktów elektronicznych.

Fujin bardzo nie lubiła jednej rzeczy w swojej pracy marzeń. Wprost nienawidziła barwników, którymi musiała farbować tkaniny. Ich zapach sprawiał, że w gardle ją paliło, oczy jej łzały, a po paru godzinach pracy z nimi nierzadko wymiotowała. Co jakiś czas barwniki tężały i trzeba było się ich pozbyć. Oczywiście nie czyniono tego zbyt pospiesznie, dopóki ubraniom dało się nadać jakikolwiek odcień zbliżony do zamówienia klienta, barwniki służyły prawie tak dobrze jak czynnik ludzki. Niestety, niektóre z mniej popularnych kolorów co jakiś czas przepadały. Procedury utylizacji odpadów tego typu nie udało się nigdy stworzyć. Zdano się w zamian na pracowników i ich inicjatywę. Gdy tylko zachodziła taka potrzeba, pracownicy dostawali zbędny półprodukt na wynos i polecenie, że ma to, Abrakadabra, zniknąć. Niektórzy porzucali je w miejskich autobusach, inni wyrzucali do publicznych koszy na śmieci. Próby palenia nimi w piecu kończyły się fatalnie. Kwestia pozbywania się tych ciężarów nigdy przesadnie nie męczyła zatrudnionych, aczkolwiek mogła stanowić pewną niedogodność w drodze do domu.

Fujin swoją mądrość życiową miała, więc gdy tylko musiała pozbyć się chemikaliów, udawała się nad pobliską rzekę. Zawsze lubiła wodę i bardzo jej się podobało, że wszystko znika w niej tak szybko i bez śladu, jak niegdyś jej siostrzyczka, a potem córeczka. Pomysł na ten sposób pozbywania się śmieci (i dzieci) nie był jej autorstwa, Fujin jedynie skopiowała rozwiązania znane jej z domu rodzinnego. A nawet z całej ojczystej wioski, która dbała o finanse swoich obywateli i metodą wodną pozbywała się wszelakich, także organicznych, odpadków.

Innym pociesznym aspektem tego sposobu utylizacji odpadów były fantazyjne kolory, jakich nabierała woda, gdy trafiały do niej kolejne barwniki. Raz było to wyraziste indygo, kiedy indziej sepia, a czasem nawet najprawdziwszy turkus. Fujin lubiała spędzać czas patrząc, jak woda leniwie rozpuszcza kolejne odpady z jej miejsca pracy. Sposób Fujin spotkał się nawet z aprobatą kierownictwa i wkrótce rzeka mieniła się barwami tęczy nawet kilka razy w tygodniu.

Jenoty nie są przesadnie rozbudowanymi zwierzętami. Daleko im do delfinów, szympanсів, słoń, a nawet kotów. Pewnie dlatego też nie zostały nigdy hitem hodowlanym na miarę tych ostatnich lub psów. Jenot jednak wie, że od czasu do czasu musi coś zjeść i napić się wody. Ponieważ jenotom nigdy nie udało się opracować wodociągów ani saturatorów, źródłem tejże najczęściej jest jakiś akwen lub rzeka. Na przykład taka, do której Fujin wylewa barwniki ze swojej fabryki. Pewnego upalnego dnia dorodny jenot zatrzymał się na brzegu i począł łapczywie chleptać wodę. Być może nawet

zorientował się, że nie jest to prawdziwa woda, ale chciało mu się pić jak po imieninach szwagra, więc energicznie spożywał kolejne litry wody. Im więcej jednak pił, tym bardziej nie mógł ugasić swego pragnienia. A potem jego mały jenoci ośrodek nerwowy całkowicie się pogubił.

Pierwszy raport z ataku jenotów pochodzi z miasteczka Linjiang. Stado krwiożerczych jenotów pogryzło grupkę dzieci. Wydawało się, że poza wściekłością nic im nie grozi. Jakież musiało być zdziwienie ich rodziców, gdy po dwunastu godzinach ich pociechy przemieniły się w dorosłe jenoty i podgryzły im gardła.

Epidemia ogarnęła całe miasteczko. Zabarykadowany w radzie miejskiej burmistrz desperacko wzywał na pomoc wojsko, gdy stado tłustych jenotów sforsowało ostatnie drzwi jego gabinetu i przegryzało mu tętnice szyjne. Rozmówca po drugiej stronie linii telefonicznej nakazywał mu przestać się wygłupiać i wytrzeźwieć. Któż mógł wówczas poważnie potraktować takie doniesienia?

Musiało minąć dopiero kilka dni, gdy władze zdały sobie sprawę z rozmiarów zagrożenia. Na reakcję było już jednak za późno. Niemal cała ludność prowincji Jilin, ponad 27 milionów mieszkańców, przemieniło się w krwiożercze jenoty. Te po zasmakowaniu krwi ogarnął szal zabijania, który pchał je przed siebie i na boki. Liczba ich sił wzrastała z każdym dniem. Gazety i telewizja dostały zakaz przybliżania sytuacji współobywatelom. Wytyczne były jasne: w prowincji Jilin nie dzieje się nic,

tak jak się nigdy nie działo. Zmiany pierwszy zanotował Żydowski Obwód Autonomiczny Birobidżan, który dzięki absencji chińskich przemytników zanotował znaczne spadki w sprzedaży płodów rolnych. To, co początkowo wydawało się lokalną ciekawostką rolniczą, szybko awansowało na czołówki światowych gazet i telewizyjne paski wiadomości.

Chińska Republika Ludowa nie zamierzała bynajmniej ignorować problemu, jednak druga gospodarka świata okazała się raczej bezradna w starciu z psowatym agresorem.

Konwencjonalne metody walki nie przynosiły oczekiwanych rezultatów. Jenoty przegryzały się przez czołgowe pancerze, rzucały żołnierzom do gardeł i na plecy, a kule wydawały się ich nie imać. Oddziały wyposażone w miotacze ognia nie zdążyły nawet zbliżyć się na optymalną odległość operacyjną. Wojska pancerne salwowały się ucieczką, notując straty przekraczające 80%. Więcej rezultatów przyniosły ostrzały moździerzowe i artyleryjskie, ale kontruderzenia jenotów były chirurgicznie precyzyjne i bezlitosne. Mimo licznych wysiłków militarnych populacja zmutowanych zwierząt przekroczyła sto milionów pod koniec drugiego tygodnia od zanotowania pierwszego incydentu.

Przełomowym momentem kampanii było przekroczenie Wielkiego Muru. Ta symboliczna budowla jedynie spowolniła chaotyczny atak kohort jenotów. Armia Chińskiej Republiki Ludowej poniosła dotkliwą klęskę, tak wizerunkową, jak i militarną. W tym samym czasie na drugim froncie padł Pjongjang, a Korea Południowa sposobiła się do obrony przed jenocim żywiołem wzdłuż 38 równoleżnika.

Siedemnastego dnia kryzysu w telewizji wystąpił prezydent Chińskiej Republiki Ludowej. Mówił długo i bardzo pięknie. Trudno było zrozumieć, co też miał na myśli, dopiero znacznie później komentatorzy wyjaśnili, iż prezydent miał na myśli zrzut trzech bomb atomowych na armie jenotów.

Na tym etapie epidemia wydawała się być do opanowania. Badania naukowców wykazały, że po ugryzieniu jenota dorosły człowiek przemienia się w krwiożerczego jenota w ciągu około czternastu godzin. Mutacja była całkowita i nieodwracalna, następował przyrost tkanek, futra, stwardnienie kości i ogólny upadek obyczajów. Inne zwierzęta również były podatne na mutację. Po jenocim ugryzieniu rozpoczynały metamorfozę dokładnie tak jak ludzie. Udało się opracować sposób na pokonanie agresora, jednak okazał się być bardzo karkołomny: uśmiercić jenota można było jedynie poprzez ucięcie ogona u samej jego nasady. Ponieważ zmutowane jenoty były w stanie przegryzać się przez stal i żelbeton, dostanie się do punktu, w którym rzyć spotyka ogon, było bardzo trudne. I — jak zgodnie powiedzieli eksperci w studio — z powodu tej właściwości anatomicznej musiano zdecydować się na użycie broni atomowej. ONZ, prawdopodobnie z powodu absencji wysłannika Korei Północnej, jednomyślnie uznała decyzję o użyciu broni atomowej za uzasadnioną. Charakterystyczne grzyby wyrosły nad Harbinem i Shenyang. Wiele osób ucieszył ten widok, zwłaszcza w kontekście pierwszego z miast, i nie byli w stanie zrozumieć słów prezydenta o dramatycznym dniu w dziejach Chin.

Jakież było zdziwienie chińskich naukowców, gdy kilkanaście godzin po detonacjach pojawiły się raporty o tym, że broń atomowa wpłynęła na populację jenotów jedynie śladowo. Dzięki jej zastosowaniu udało się jednak w końcu rozwiązać problem smogu w północnych Chinach.

Dwudziestego dnia padł broniony zażarcie (i za sumy w walutach zachodnich) Pekin. Wieczorem tego dnia jenoty przejęły Zakazane Miasto. Grupa japońskich turystów z narażeniem życia zrobiła ikoniczne zdjęcie jenota plądrującego ogród skalny.

Panika ogarnęła cały świat.

Kto żyw, próbował wydostać się z Chin i Korei Południowej – kraju, który wcześniej wierzył w chińską skuteczność, lecz został odarty ze złudzeń. Uciekano statkami, samolotami, a nawet na rowerach w stronę Syberii, jak również wplaw w kierunku niebios bram, kolejnych inkarnacji, nicości i wizji promowanych przez mniej popularne odłamy religijne, wszystkie zespolone na jednym morskim dnie. Miliony znalazły schronienie na Tajwanie, inni bezskutecznie próbowali dostać się do którejś z Ameryk. Żniwo śmierci było jednak okrutne. W ciągu miesiąca populacja całych Chin spadła do czterdziestu milionów ludzi, za to szacunki populacji jenotów oscylowały w okolicach dwóch miliardów. Jenoty zdobyły cały Syczuan, niemal cały Yunnan i kontrolowały większą część kraju. Świat przygotowywał się do wojny na niespotykaną wcześniej skalę. Powoli dawało się zauważyć pewną tendencję w zachowaniach podstępnego agresora, która pozwalała ludzkości żywić nadzieję na przetrwanie. Jenoty nie zapuszczały się w regiony cieplejsze, a jeżeli już, to nigdy nie zostawały tam długo. W ten klasyczny sposób z tej wojny światów udało się uratować Tajlandii i innym krajom Azji Południowowschodniej.

Kolejne druzgocące wiadomości pojawiały się niemal każdego dnia, aż nadeszła wiadomość najstraszniejsza: zauważono jenoty podwodne u wybrzeży Japonii. Kraj Kwitnącej Wiśni niejako tradycyjnie stoczył

heroiczną walkę z najeźdźcą. Przywrócono do służby kamikadze, ale nie wpłynęło to znacząco na przebieg działań zbrojowych. Pewnym intrygującym zjawiskiem socjologicznym był wzrost zadowolenia pośród młodzieży, która opuściła szklane wieżowce, by zaszczytnie zginąć za ojczyznę. Przez kilka dni indeks Nikei notował wysokie indeksy, głównie za sprawą funduszy emerytalnych. Cesarstwo razem z tokijską giełdą poległo w ciągu zaledwie tygodnia.

Jenoty nie sforsowały nigdy gór Himalajów. Ich ostatnią zdobyczą terytorialną był Tajwan. Chińscy uchodźcy, którym wydawało się znaleźć ratunek przed futrzanym okupantem, musieli po raz kolejny stawić czoła koszmarni inwazji jenotów. Atak jenocich jednostek pływających był tak nagły i niespodziewany, że jedynie kilkanaście samolotów zdążyło wzbić się w powietrze, zanim cała ludność wyspy została przemieniona w krwiożercze bestie.

Pewną nadzieją napawało odkrycie, że po podboju wyspy Hainan jenoty wycofały się na kontynent. Po siedemdziesięciu dniach od pierwszych opisanych incydentów, Chiny, Tajwan (to znaczy Chiny...), Japonia i obie Koree stały się terytoriami bezludnymi. Mongolia oczekiwała swego losu z przerażeniem, ale – być może z powodu niskiej gęstości zaludnienia, a tym samym kłopotów z zapewnieniem sobie pożywienia, lub też dzięki pustyni Gobi – większe ilości jenotów nie wyruszyły nigdy na północ.

Przeżyło bardzo niewiele Chińczyków. Tak mało, że stali się oni swoistymi atrakcjami antropologicznymi. Byli zapraszani do programów telewizyjnych, ich memuary drukowano w setkach tysięcy egzemplarzy. Najbardziej poczytnym stało się dzieło pisarza z Hubei, 'Zabić jenota' -

dramatyczna opowieść o uczuciu rodzącym się podczas wspólnej walki młodego rolnika i wiekowej rolniczki z watahą agresorów. Mnożyły się raporty o zespole pourazowym pośród tych, którzy przeżyli. W Ameryce Północnej i Europie Chińczycy mogli liczyć na profesjonalne wsparcie, jednak mimo tego masowo popadali w alkoholizm, narkomanię i kompulsywną masturbację. Rozpoczęto serię programów mających pomóc świadkom naocznym przezwyciężyć syndrom pekiński (jak nazwano zespół objawów występujących u tych, którzy przeżyli).

Cały świat wstrzymał oddech i obserwował dawną Chińską Republikę Ludową. Loty zwiadowcze pozwoliły stwierdzić, iż jenoty powstałe w wyniku mutacji wielkich zwierząt (tygrysów, bawołów lub pand), mogą mieć nawet do pięciuset kilogramów wagi i odpowiednio większy apetyt niż jenoty nieco bardziej salonowych rozmiarów.

Rakuny wydawały się kontent ze swych zdobyczy terytorialnych. Jednak brak ludzi zaowocował tym, że te mało rozgarnięte zwierzęta rozpoczęły pożerać się nawzajem. Po kilku miesiącach ostrożne szacunki zaczęły wykazywać, iż populacja jenota-mordercy spada. Po sześciu miesiącach ogłoszono, iż jenoty całkowicie zniknęły z Hokkaido.

Wyglodniałe zwierzęta stały się jednak postrachem żeglugi morskiej. Gnane głodem rzucały się do mórz w poszukiwaniu jedzenia, a statki (zwłaszcza pasażerskie) okazały się być idealnymi konserwami. Na falach Morza Chińskiego unosiło się wiele jednostek pływających pełnych wyglodniałych jenotów. Wstrzymano rejsy na całym świecie, wiele okrętów zostało zatopionych z powietrza. Udało się ustalić, iż jenoty nie są w stanie przepłynąć więcej niż pięćset kilometrów. Obie Ameryki odetchnęły z ulgą.

Chociaż głód doprowadził jenoty do kanibalizmu, to nie skłonił ich do opuszczenia terytoriów dawno już opanowanych. Całkowicie wyludniona Tajlandia okazała się ewakuowana na darmo. Na Syberii postanowiono ludziom zbyt wiele nie mówić, aby nie wstrząsnąć światowym rynkiem spirytusu. Powoli kwestia jenocia znikła z czołówek gazet i dzienników telewizyjnych. Świat postanowił nie czekać na rozwiązanie pomniejszych niesnasek azjatyckich, a powrócić do mniej nerwowych obserwacji giełd walutowych, ślubnych kobierców i boisk piłkarskich.

W dwa lata od pierwszego incydentu w Jilin, ostatni i wyjątkowo tłusty jenot wyzionął ducha w Fukuocie. Z krajów całkowicie dotkniętych konfliktem, Japonia pierwsza stała się strefą wolną od jenotów. W serca ludzkości wstąpiła ostrożna nadzieja: być może naszemu gatunkowi uda się przetrwać. Po czterech latach ludzie odzyskali Tajwan. Niemal dekadę zajęła walka o Koreę Południową, kolejne dwa lata o Północną. Jenoty zostały zgubione przez taktykę wyżartej ziemi, poza nimi nie było już żadnych innych zwierząt ani roślin. Gdy opuszczały któreś terytorium, pozostawiała po nich jedynie pustynia. Minęło jednak jeszcze szesnaście lat, zanim na przedmieściach Nankinu padł ze starości ostatni, wychudzony jenot. W miejscu jego zgonu postawiono pomnik i wmurowano tablicę pamiątkową. Współcześnie nieliczne wycieczki turystyczne robią sobie tam zdjęcia i z otwartymi ustami słuchają opowieści tych, którzy przeżyli najstraszniejszą batalię w dziejach ludzkości.

Uczniowie w szkole mają zaś przynajmniej jedną lekcję o jenocie z Jilin.

Dzikość serca

- *Musisz, kapralu, musisz!* - powiedział pułkownik Fomin znad biurka
- *Ale towarzyszu, to przecież poniżej godności pracownika FSB* - odparł Abushkin.
- *Kapralu Abushkin, musicie! MUSICIE!*
- *Ale...*
- *Będą pieniądze. Będzie weekend na daczycy. A jeżeli się postaracie, to może Varvara z działu kadr też tam będzie. A jak się nie postaracie, to będzie Dagestan!* - krzyczała czerwona twarz pułkownika Fomina.
- *WYJŚĆ!* - zakończyła tę przemowę i zatopiła się w fotelu zrobionym z karakalich futer.

Abushkin się zafrapował. Wiedział, że z listy wycieczek, podmoskiewska dacza interesowała go bardziej niż dagestański auł. Wstąpił do służb specjalnych jakieś dwa lata wcześniej. Był gotów na sabotowanie kapitalistów, był nawet gotów na zostanie szachidem w imię Rosji. Nie był jednak gotów na tę misję. Jego myśli popłynęły w stronę historii Związku Radzieckiego, wyzwania rzucających pracownikom KGB i FSB na przestrzeni lat. Przypomniawszy sobie spektakularne akty sabotażu. Zabójstwa. Działania terrorystyczne. Jednak według wiedzy Abushkina, jeszcze nigdy agent FSB nie zmierzył się z takim wyzwaniem.

Abushkin szedł do metra i przypomniało mu się jego dzieciństwo: dom dziecka w Krasnojarsku. Przyjęcie na studia za niesamowitą inteligencję, która objawiła się tym, że wygrywał w szachy z każdym, w tym z pijanym

Pietrowem, mistrzem okręgu sezonu 1963. Potem lata szkolenia dla FSB. Zimne prysznice i gorące pustynie. Kąpiele w zwierzęcej krwi. Strzelanie do dzieci na ulicach Groznego. Dwa lata w Arktyce. Tajna misja w Tadżykistanie. Nocne spotkania z Al-Kaidą w Chajber. Awans do FSB. Podobało mu się to, lubił czuć tę adrenalinę, to życie na krawędzi, tę niepewność powrotu do domu po misji. Nie chciał tego stracić. Nie potrafił żyć inaczej. *'Przecież nie pójdę sprzedawać gazet ani uczyć do szkoły'* - myślał sobie, kołyszając się w wieczornym potoku ludzi, którzy wracali moskiewskim metrem już po zapadnięciu ciemności. Jednak ta misja mogła sprawić, że wszystko przepadnie. *'Miałem bronić ojczyzny, a teraz takie coś? Rozumiem wyzwania, rozumiem poświęcenie dla Rosji, ale czy są jakieś granice? Czy są takie chwile, kiedy człowiek może się zawahać, ale nadal być nieodrodnym synem swojej ojczyzny?'* - bił się z myślami Abushkin, przepychał swoje kawałki układanki w tym wielkim systemie, jakim jest człowiek w Federacji Rosyjskiej. Potem zdał sobie sprawę, że to nie myśli, że przepycha się z imigrantami o miejsce siedzące. Kombinacja tych dwóch czynników sprawiła, że zapomniał się przesiąść, w końcu musiał wrócić dwie stacje. Przypomniawszy sobie o czasie, jaki był mu dany na decyzję. Wiedział przy tym, że tak naprawdę nie ma nawet tyle. Cierpliwość pułkownika Fomina miała bardzo poważne ograniczenia.

Przez te dwie stacje metra, które jechał ze względu na głębię własnej refleksji, Abushkin myślał o odwołaniu się do władzy wyższej. Jak szybko myśl ta go nawiedziła, tak szybko ją porzucił. Parę miesięcy temu jego współpracownik, Oleg Władimirowicz, zrobił właśnie to. Władza wyższa wysłała zapytanie do pułkownika Fomina, dlaczego jakiś tępą chuj spod Tambowa ośmielił się w ogóle do nich napisać i dlaczego Fomin do tego

dopuścił. Krytykę wierchuszki Fomin przyjął nieco bardziej emocjonalnie niż zażalenia agenta. Obecnie Oleg zmienił swój zakres obowiązków pracowniczych, z podsłuchiwania ambasady kanadyjskiej musiał przerzucić się na przemysł drzewiarski (czyli rąbanie tajgi) w okolicach Pietropawłowska Kamczackiego. *'Świeże powietrze, rzeczywisty kontakt z naturą o każdej porze roku, czasem pewnie przyjdzie jakiś lis, może nie byłoby to takie złe? -40, da się żyć, Czukcze przecież gdzieś tam żyją...'* - Abushkin próbował się zmotywować do wykonania postępu godnego moralnej aprobaty rodem z książek jego dzieciństwa. *'Borys Polewoj by tak zrobił. No, a przynajmniej jego bohaterowie'* - myślał Abushkin. Potem rozważał możliwe rezultaty swoich decyzji. Następnie rozważał samobójstwo. Pomyślał sobie co też wie o Pietropawłosku Kamczackim. Populacja 1798710. Kierunkowy +74152. Kody pocztowe: 683000–683099. Tablice rejestracyjne: 41, 82. Abushkin znalazł te informacje w głowie w ciągu sekund, nie na darmo szkolono go do bycia maszyną systemu. Poza nimi wiedział jeszcze coś: Pietropawłowsk Kamczacki, tam generał Fomin wybrał miejsce na dach dla córki. Wieża z kamienia bez kamienia, smok bez smoka. Córa generała była predestynowana do zostania świętą. Kilka lat temu generał strasznie się wkurwił, że potencjalna święta się puszcza, dlatego też wybrał jej takie miejsce dla dochowania ślubów czystości. Ten wielki projekt wchłonął już kilkudziesięciu pracowników stołecznego działu FSB.

Było to i tak lepsze niż placówka w Machackale, gdzie głównym zajęciem było robienie nalotu na jedyny burdel w mieście, bicie się z krajowcami, zazwyczaj trzeźwymi, i praca nad jachtem zacumowanym w kaspijskim

porcie w Kaspijsku (jakby chcieli jeszcze dobić dekonników FSB tym, że tak bez polotu nazwali ten port).

Abushkin wiedział, że albo złamie swoje zasady, albo złamie swoją karierę. Kupił sobie trzy szklaneczki wódki *Sibirnaja*.

Po pierwszej postanowił powiedzieć nie, ale zapalił, włączył Bruce'a Springsteena i wypił drugą.

Po drugiej stwierdził, że dawno nie był na urlopie, więc może jednak. Zapalił sobie i włączył *'Child in Time'* Deep Purple. Jebło go solidnie po kręgosłupie, gdy weszły chórki.

Po trzeciej przełączył na Joan Baez, spalił trzy pod rząd, płacząc rzewnie i poszedł dokupić kilka stakanczików. Za znak losu uznał to, że do sklepu wpadł o 22:50 i jeszcze zdążył zaopatrzyć się w symboliczne pół literka rozbitego na pięć części.

Abushkin przełączył się na *'Ne ver, ne bojsia, ne prosti'*. Począł się czuć nostalgicznie. Czemu też zostawiła go żona? Lesbijka zapewne.

Siódmą setę zakończył Iron Maiden *'Mother Russia'*.

Mother Russia

Dance of the Tsars

Hold up your heads

Be proud of what you are

Now it has come

Freedom at last

Turning the tides of history

And your past

Bardzo mu się to spodobało i uznał, że ta wesoła piosnka koresponduje z ofertą pułkownika Fomina. Jeszcze dosłuchał *'Fear of the Dark'*, ale tam nie znalazł zbyt wielu nawiązań do swojej sytuacji. Więc gdy o 3 rano sikał do zlewu, był przeświadczony o tym, że los uśmiechnął się do niego i że oferta Fomina związana jest z realizacją jego wymarzonej misji. Oczywiście ku chwale ojczyzny.

Następnego poranka żył w dramacie. Potrzebował setencji, żeby przejść do świata fabuły życia. Abushkin był pewien, że cały sklep patrzy na niego i go szpieguje. Z rozpędu wylegitymował nawet jakiegoś emeryta, który okazał się weteranem Stalingradu. Po tej operacji cały sklep naprawdę patrzył się na Abushkina. I na jego symboliczne piwko, czyli wstęp do setencji.

Podróż metrem była morderstwem, nawet bez pomyłonych przystanków. Stukot kół wbijał się w mózg agenta niczym ślepią wilków w padlinę porzuconą koło Magnitogorska. Koło godziny 11 doczołgał się do centrali i zaniósł pułkownikowi Fominowi swoją odpowiedź. Wziął głęboki oddech i wyrzucił z siebie:

- Towarzyszu pułkowniku, misję wykonam! Ku chwale ojczyzny!

Pułkownik Fomin oszalał ze szczęścia, ale był wytrawnym żołnierzem szkoły FSB, więc nie dał tego po sobie poznać. Jednak nawet w jego myślach przewinęły się obrazy Anapy i biuściastych stażystek z biura położonego w tej części kraju. Próbował pokazywać, że mu to wszystko lata, ale Abushkin widział dobrze, że pułkownik chce skakać pod sufit, niczym dobrze wyszkolony akrobata. Widział też dorodną erekcję na spodniach swego przełożonego. Walcząc z ekstazą, Fomin wydał mu kwity rodem ze

swego nalanego ryja na wydanie kwitów na wydanie pieniędzy potrzebnych na misję. W zestawie: zastrzeżona karta SIM, która miała stać się aktywna za dwanaście godzin. Abushkin podziękował, bo nie miał wyboru. Poszedł z kwitami, które zamienił na inne kwity, a potem te dokumenty udało mu się zamienić na rosyjskie ruble. Otrzymał 280 rubli. Wzniesił wielką kłótnię. W końcu jakieś pieniądze do defraudacji należały mu się. Po dramatycznych zajściach podbił kwotę do 500 rubli. Dumnie dzierżąc banknot z Archangielskiem, poszedł do pobliskiego baru prowadzonego przez imigrantów z Azji Środkowej. Musiał przygotować się do swojej wielkiej misji.

- *Kebaba ze wszystkimi możliwymi dodatkami!* - rzucił władcym tonem.

W końcu on tu płacił, więc i on wymagał.

- *Na ostrio, z majoneziem, z chrzianem?* - odparła kobieta zza lady.

- *NA OSTRO! KU CHWALE OJCZYZNY!* - krzyknął Abushkin. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że może nie wszyscy wiedzieli o tym, że nienawidzi ostrego jedzenia i że spożycie takowego związane jest dla niego z pewnym poświęceniem. Ludzie zdawali się raczej zamawiać według własnych upodobań, a nie ku chwale ojczyzny. Po czterech minutach, odmierzonych zegarkiem Rakiety, otrzymał zamówione jedzenie. Zjadł je z obrzydzeniem.

- *JESZCZE JEDEN! Wszystkie dodatki i ostrzej!* - zakrzyknął Abushkin. Sam był pod wrażeniem swojej odwagi. Imigranci zebrani w barze wydawali się nie podzielać jego zachwytu. Kończyli dzień pracy i chcieli iść do domu. Nikt nie wiedział, że siedzący w ich pobliżu chłopak właśnie realizuje misję, newralgiczną z punktu widzenia bezpieczeństwa kraju. A ten jeszcze dolewał sobie sosu piri-piri do swojego posiłku.

- *KU CHWALE OJCZYZNY!* - krzyczał sobie w duszy z każdym kęsem, który go mdlił. Nienawidził ostrego jedzenia, ale wiedział, że tego dnia nie ma wyboru. Dopłacił 10 rubli za majonez. Jego kanapka spłynęła majonezem. Solą. Pieprzem. Jeszcze przed jej końcem wiedział, że jest gotów na misję. Za oknami tadżyckiego baru ściemniało się, a Abushkin już rwał się do działania. Wiedział, że musi wczekać do 22. Była 20:15, gdy skończył swój posiłek.

Zamówił piwo.

20:25

Chciał wódkę, ale nie mieli. Poszedł do pobliskiego sklepu sieci *Piateroczka* i kupił połówkę.

21. Wódka w obiegu.

21:15. Wytrzymać. Dać radę. Chociaż klucz do toalety tak bardzo kusi...

21:30. Już bliżej niż dalej.

21:45. A gdyby tak iść wcześniej? Nie, jeżeli Fomin się dowie, to zniszczy. Lepsze te cierpienia niż tajga na Kamczatce.

22:00. Rozpoczynamy walkę o lepszą Rosję!

Abushkin ruszył ciężkim krokiem. Ledwo był w stanie iść. Tak bardzo chciał do toalety. Tyle tego ostrego jedzenia. Ten majonez...

“KU CHWALE OJCZYZNY! ZA RODINU, ZA STALINA!” - dobiegły go głosy pokoleń. Człapał ostrożnie w stronę płotu rezydencji zachodniego dyplomaty. Wyciągnął przecinak do drutu i podziękował niebiosom, że mieszkający nie zdecydowali się na płot, a na siatkę z drutu. Przełożenie nóg przez płot zabiłoby go. Kilka minut później dopadł domu amerykańskiego

ambasadora. Wywiad pułkownika Fomina nie zawiódł. Dom był pusty. Abushkin zlokalizował salon i rozpoczął realizację swojej misji.

Kilkanaście minut później opuszczał rezydencję. Wypełnił swoje zadanie. Ku chwale Rosji. Na pochybel imperialistom! Abushkina czekały piękne wakacje w Anapie. Razem z Varwarą z działu kadr.

Abushkin wiedział jeszcze jedno: amerykańscy imperialiści nigdy już się nie podniosą po takim ciosie.

The Washington Post, 27 czerwca 2016 roku:

“But many of the recent acts of intimidation by Russian security services have crossed the line into apparent criminality. In a series of secret memos sent back to Washington, described to me by several current and former U.S. officials who have written or read them, diplomats reported that Russian intruders had broken into their homes late at night, only to rearrange the furniture or turn on all the lights and televisions, and then leave. One diplomat reported that an intruder had defecated on his living room carpet.”

Droga na daczę

Całą mądrością życia jest czekać i mieć nadzieję.

“Hrabia Monte Christo”

Był ciepły, czerwcowy moskiewski poranek. Nadszedł dzień, ten dzień! Dzień, na który Grisha czekał od ponad dziewięciu lat. Nadchodziła chwila, dla której poświęcił niemal całą dekadę swego istnienia. Nadchodził dzień jego ślubu!

Grisha nie był przypadkowym młodzieńcem, którego los rzucił w objęcia nastoletniej miłości, nie dał się omamić szeroko rozumianym porywom serca. Był czterdziestodwuletnim nauczycielem języka angielskiego w jednej z prywatnych moskiewskich szkół. Oznaczało to, że Grisha mógł z zazdrością spojrzeć na samochody swoich sąsiadów i gotować kaszę Gerkules w przeciekającym garnku, bo jego wypłata nie pozwalała na ekstrawagancje większe niż wódka 'Czerwona jarzębina' i papierosy Jawa. Grishy zawsze bardzo podobało się wystawne życie, ale jego pasja do osiągnięcia go kończyła się zazwyczaj po czwartym piwie i na otwarciu trunku wiadomej marki zakupionego za pieniądze oszczędzone na paście do zębów, herbacie i ciastkach. Nie można więc powiedzieć, że był on całkowicie pozbawiony ambicji, tylko jakoś tak zwykła się ona rozlewać w miarę upływającego czasu.

Gdy wydawało się, że gorzej być nie może, los zesłał mu prezent w postaci uczennicy Weroniki. Był rok 2006, Grisha miał 33 lata, początki marskości wątroby, ciężki koklusz, parę nerwic i opryszczkę organu rozrodczego. Jego wybranka lat miała zaledwie 9. Grisha nie był pedofilem, ale kilka lat życia za bardzo pocieszne pieniądze znacznie odmieniło jego postrzeganie tego jednego z wielkich dylematów ludzkości, czyli tego, czy lepiej być, czy mieć. Pociągu fizycznego do Weroniki nie odczuwał żadnego, pociągu duchowego to nawet wartości ujemne, ale w jego głowie zakiełkował dość odważny, a jeszcze bardziej karkołomny plan poprawy swej sytuacji życiowej. Plan nie dość, że karkołomny, to zdecydowanie długofalowy, jednak już Związek Radziecki przyzwyczaił swych obywateli do mierzenia się z takowymi i do myślenia w kategoriach pięciolatek, a wielu nawet do życia w wieczności. Grisha postanowił przyjąć optykę właściwą poprzedniemu systemowi, bo kto desperatowi zabroni? Zdawał sobie sprawę, że istnieje ryzyko, że jego pomysł skończy podobnie jak wiele właściwych socjalizmowi (wliczając w to i sam socjalizm), ale lepszych pomysłów na życie nie miał, więc po kilku wieczorach z wódką stwierdził, że tędy droga, dopił Jarzębinę i poszedł spać.

Zaczął się wszystko od tego, że pewnego listopadowego dnia pedagog nakazał swoim uczniom opisać ich typowy weekend. Otrzymał kilkanaście wypracowań będących raczej bełkotliwą wariacją na temat wszystkiego, odmieniających słowa 'telewizja', 'McDonalds', 'kino' i Playstation. Oczywiście doświadczonego pedagoga widział jak za parę lat jego uczniowie zamienią McDonalds na piwny bar, kino na burdel, a Playstation na wódkę. Pośród tych wszystkich, raczej depresyjnych, prac otrzymał też dzieło Niki, które koncentrowało się na radosnych chwilach spędzanych z prywatnym

arabskim kucykiem o rodowodowym imieniu Ahmed na jednej z podmoskiewskich dacz. Ten zestaw weekendowy zwykł zmieniać się na posadę w państwowych spółkach, najlepiej takich zajmujących się wydobywaniem surowców naturalnych. Grishy coś zaświtało, ale nie był pewien co, więc postanowił przyjrzeć się sprawie nieco dokładniej. Kolejne zadanie pisemne dotyczyło tego, jak uczniowie spędzają wakacje. Dostał ścisnąjące za serce opowieści o kanikułach z dziadkami z KGB w ogródkach działkowych Saratowa, spacerach po starówce Niżnego Nowgorodu i wizycie w fabryce w Woroneżu, ale na nie ledwo rzucił okiem, w czasie gdy wyszukiwał tej jedynej pracy. Twórczość uczennicy nie rozczarowała go, Nika oddała zapiski o kilku tygodniach, które spędziła w Tajlandii. Prośba o narysowanie obrazka z wakacji dała nauczycielowi dość pocieszny bohomas baraku, na którym wisiało pięć gwiazdek, a dookoła którego przechadzały się słoniki z pociesznymi krajowcami w jeszcze bardziej relaksujących liberiach.

Kilka kolejnych prac pisemnych pozwoliło Grishy ustalić, że Nika w życiu nie jechała moskiewskim metrem, bo na zajęcia woził ją prywatny kierowca. W zamian za to Nika miała doświadczenie odwiedzania salonu regeneracji skóry i elektrycznej pielęgnacji pięt. Po ustaleniu tego, że jego uczennica na śniadania jada bagietki francuskie, a jej tatuś bardzo lubi ryby, zwłaszcza Bieługę w płynie, Grisha postanowił się zakochać długofalowo. Wcześniej jeszcze ustalił, że ojciec dziecka jest pracownikiem Rosnieftu i że jeżeli chodzi o finanse, to miesięcznie zarabia mniej więcej tyle, co Grisha - pod warunkiem że wypłatę pedagoga przeliczyło się na kopiejki, a starego Niki na funty. Tygodniówka uczennicy przebijała jego miesięczne wynagrodzenie, chociaż to akurat przesadnie szokujące nie było i nie

musiało świadczyć o wysokim statusie społecznym, jednak w tym wypadku tak było. Suma tych odkryć dała pedagogowi ostateczny impuls do działania.

Mimo tego, że Grisha był nauczycielem, to nie był idiotą, co stanowiło dość rzadko spotykaną konfigurację. Wiedział dobrze, że jego plan wymaga dość długiego okresu na wcielenie w życie. Postawił na dwie pięciolatki, bo czas akurat był luksusem, którego miał w nadmiarze. Dał sobie dekadę na realizację swego dość ekscentrycznego planu. Trzy razy szybciej wykopano kanał białomorski, chociaż jego plan nie groził zbyt wielu istnieniom ludzkim. Do tego czasu postanowił żyć na nauczycielskiej pensji, czyli na promocyjnych produktach z sieciowych sklepów. Ilekroć jednak schylał się po buraki z promocji, w głowie Grishy zapalała się lampka czerwona niczym kremlowska gwiazda.

Jeszcze parę lat.

Wytrwaj.

Warto.

Walczysz o lepsze jutro!

Dlatego też zielone światło, które nigdy nie miało należytego odpowiednika w rosyjskich realiach, świeciło jeszcze jaśniej. Zwłaszcza, gdy ceny owoców cytrusowych zbliżały się do okolic sufitu, a potem przebiły nieboskłon. Patrzył wtedy z pogardą na stada emerytów wyrywających mu promocyjną rzepę i marchew i mentalnie rechotał:

- Ach biedni idioci! Do końca świata będziecie sobie wyrywali te rzepy i tykwę, a ja już za parę lat będę skutecznie rybołówstwo na skalę 40%! Nędzarze! Żebracy!

Będąc nauczycielem z jako takim doświadczeniem, Grisha wiedział, że istnieją zadania o wiele trudniejsze, niż zostanie najlepszym przyjacielem dziewczynki dziewięcioletniej. Cały jego misterny plan zasadzał się na tym, żeby być przy Weronice przez wiele, wiele lat, omamiać ją swoją serdeczną przyjaźnią, która pewnego dnia wyewoluuje w uczucie. Grisha zezwalał sobie na pewne pomyłki i potknięcia, ale opracował też liczne plany B na wypadek tego, gdyby jego podopieczna miała się od niego przesadnie oddalić. Parę wieczorów i jeszcze więcej litrów Jarzębiny pochłonął problem rodziców i analiza ich różnych możliwych zachowań. Ostatecznie Grisha miał opracowane gigantyczne schematy, biorące pod uwagę nawet takie alternatywy jak wojna z Japonią i powszechny pobór.

Kolejne miesiące pracy z Weroniką Grisha spędził na ustalaniu, jak bardzo rozpuszczonym dzieckiem jest ona, a także nad tym jak daleko sięga miłość papy. Jego badania przyniosły rezultaty więcej niż zadowalające: dziewczyna rozpuszczona była poza granice Federacji Rosyjskiej, a nawet międzykontynentalnie. Wielmożny papa w swej naftowo-pijackiej głupocie gotów był wydać dowolną sumę pieniędzy, żeby jego córka była szczęśliwa i żeby nikt nie miał do niego pretensji o sporadyczne raczej wizyty w domu. Gdy Weronika miała dwanaście lat, jej rodzice rozwiedli się. To, jak mama jego przyszłej małżonki wydoła tatusia, nawet Grishę wprawilo w podziw. Nawet w tak dziwnym tworze jak Federacja Rosyjska, udało jej się

wywalczyć alimenty, które wykraczały poza życiowy budżet rodziny prezydenta-premiera Putina.

Nie miało to wielkiego przełożenia jeżeli chodziło o plan nauczycielski. Grisha był samcem, łączył dwa w jednym: trwał przy swojej przyszłej ukochanej Niko, a na boku zajmował się bibliotekarką Tanią. Z Tanią łączyło go wiele, od pasji do pancерnej historii Związku Rządzieckiego przez zamiłowanie do swetrów z angory i dominacji. Ilekroć Grisha był z Tanią. Wiedział, że szampan z truskawkami nigdy nie będzie smakował mu tak, jak wódka Kalina z cebulą, gdy to właśnie strażniczka lektur szkolnych była przy jego boku. Po kilku miesiącach owocnej współpracy wyjawiał jej swój wielki plan. Wiele ryzykował, ale skończyło się na tym, że było dużo krzyku, jeszcze więcej płaczu, a potem wiele zapewnień, że sprawa ma charakter przejściowy. Grisha zostanie takim trochę bardziej długoterminowym żigolakiem, w ten sposób załatwi im emeryturę nieco odmienną od państwowej, a potem na starość zamieszkają razem i będą spożytkowali owoce jego łajdactwa. Tania zgodziła się więc trwać u boku dzielnego nauczyciela do momentu aż Nika osiągnie wiek umożliwiający zamążpójście, by usunąć się w cień i żyć nadzieją na lepszą starość.

Bywały dni, chwile i momenty, gdy Grisha zastanawiał się nad tym, jak bardzo poświęcano mu losy całych rodów, gdy oddawano mu ich potomków. Z racji swego wieku i swych sum doświadczeń życiowych, dzieci śmiało i szczerze dzieliły się opowieściami o tym, co też dzieje się u nich w domach. Koncentrował się więc na Weronice, która co jakiś czas pozwalała mu się zorientować w sytuacji rodziny. Dzięki ćwiczeniowym

kinestatycznym, Grisha wiedział, kto bije, a kto zbiera sine żniwa. Dzięki ćwiczeniom z rysowania drzewa rodziny, Grisha dowiedział się, kto ma chłopca na boku i kto kazał mówić do biuściastej sekretarki ciociu. Korzystał więc skwapliwie z wiedzy zdobytej w pocie czoła. Na wiele mu się ona nie zdawała, ale wychodził z założenia, że zaszkodzić też nie może, więc dbał o to, żeby przynajmniej raz na semestr skontrolować stan wiedzy uczniów, a także ich stan posiadania i sytuacje rodzinne.

Czas płynął nieubłaganie, więc Nika z dziecka stała się dziewczynką, potem nastolatką, następnie zaś kimś, kto mógł uchodzić za kobietę. Grisha nie myślał w tych kategoriach, myślał o tym, że stabilny dochód usprawiedliwia bardzo wiele, w tym jego jestestwo. Bibliotekarka Tania nie młodziła, co wydaje się być cechą dość przynależną ludziom, podobnie nie młodził Grisha, a także i Nika nie młodziła. O ile zmiany związane z przemijaniem czasu nie wpływały korzystnie na dwójkę z nich, o tyle wpływały raczej katastrofalnie na córkę naftowego potentata. Nie pomagało to Grishy w pielęgnowaniu uczucia do nastolatki. Jednak jego zaangażowanie w proces edukacyjny dziewczynki było tak wielkie, że w końcu pewnego dnia wyważył drzwi: jako ukochany nauczyciel najmłodszej z rodu został zaproszony na urodziny do jednej z podmoskiewskich dacz.

Co tam się nie działo!

Klaun tańczył na środku ogrodu. Pawie spacerowały między gośćmi. W baseniku pływał wynajęty specjalnie aligator, który jednak szybko znudził zebrane dzieci, bo naturą aligatorów jest nudzenie dzieci, dorosłych i wszystkich zebranych w okolicy. Grisha złożył wyrazy szacunku rodzicom i wręczył Nice symboliczny prezent. Symboliczny prezent, jedna kurwa

czwarta wypłaty - myślał sobie przekazując wielką lalę Jasminy z "Aladyna". Poobijał się po kątach i spróbował zrobić wrażenie na tatusiu swej uczennicy. Zrobił, tatuś szybko zrozumiał, że ten facet wygląda jak idiota, zachowuje się jak idiota, ale nie pozwolił, żeby go to zmyliło: zrozumiał, że Grisha naprawdę jest idiotą.

Rytuał ten powtarzał się przez kolejne lata. Grisha robił wszystko, co w ludzkiej mocy i jeszcze trochę poza nią, żeby Nika czuła się dobrze w jego towarzystwie i żeby wywalczyć zaproszenie na kolejne urodziny, na prezent do wręczenia, który pozwoli mu zrujnować się. Grisha coraz bardziej nie był pewien, czy wie w co się pakuje, ale kolejne jego plany ulegały zawężeniu: wojna z Japonią nie wydawała się możliwa, jego wiek również gwarantował, że nie pójdzie na pierwszy rzut na front.

Powoli, aczkolwiek skutecznie, Grisha zostawał najlepszym przyjacielem swojej ukochanej Niki. Nika kochała lekcje angielskiego ze swym nauczycielem, cała reszta klasy ich nienawidziła. Z całego grona pedagogicznego, tylko Grishę zapraszano na kolejne urodziny jego uczennicy. Nika sadziła więc okrutne żniwo pał z większości przedmiotów, no ale nie z angielskiego, gdzie zawsze była w czołówce dzielnicy. Bo tak się złożyło, że to Grisha oceniał testy Olimpiady, i tak się złożyło, że wyszło mu, że Nika przejawia niesamowity talent do języków. Poglądu tego nie podzielał pan od niemieckiego, wiekowy gej, który oblewał Nikę z regularnością godną szwajcarskiego zegarka. No a Grisha powoli dochodził do tego wymarzonego etapu. Nika ledwo potrafiła się podpisać w alfabecie wroga, ale nie przeszkadzało jej to w zdobywaniu niemal kompletu punktów w testach z angielskiego, a nawet w dostaniu biletu na olimpiadę językową.

Tam początkowo nikt nie poznał się na geniuszu dziewczynki. Dopiero jak słyszeli, że Rosnieft, to im się poprawiło rozeznanie mądrości kandydatki. Dzięki temu Nika wygrała dwie edycje, a w czterech była na podium-dyrektorzy Gazpromu też mają dzieci, które chcą wygrywać nagrody w konkursach językowych, a jaką siłą Rosnieft by nie był, to bóg jest jeden.

A Grisha czekał. Roztaczał sieć opieki nad swoją uczennicą. Przez lata Nika zostawała po zajęciach, żeby porozmawiać z ulubionym panem nauczycielem. Gdy rodzice Niki się rozwodzili, Grisha zawsze był gotów wysłuchać płaczów swej uczennicy. W duszy miał ochotę skrócić jej kark i w życiu więcej nie widzieć, ale był człowiekiem opanowanym. Kropla drażni skałę - powtarzał sobie mądrość ludową. Gdy Nika skończyła 16 lat, zabrał ją do kina. Jej głupota przerażała go, nawet *'Tron Man 3'* był dla niej dziełem zbyt wysublimowanym. Nika całe życie spędzała na oglądaniu telewizji i lansowaniu się na portalach społecznościowych. Bywały dni, że Grisha obawiał się, że zepsuje lewy klawisz myszy od ciągłego klikania w *lubię to* na czterech różnych stronach. Oczywiście wypadało też coś skomentować, więc do etatu doliczał sobie jeszcze dobrą godzinę wieczorem, kiedy to mógł popisać o tym, że Nika wspaniale wygląda i że jest królową świata.

Jasne było, że Nika nigdy nie pójdzie na żadne studia, ewentualnie tata kupi jej dyplom którejś uczelni. Praca nie wchodziła w rachubę, nie była wystarczająco ładna na modelkę, do tego dorastała brzydko, dosłownie żrąc zestawy z najpopularniejszej sieci restauracji na świecie. W wieku 18 lat ważyła 79 kilogramów przy wzroście 165 centymetrów, a pasja do noszenia kabaretek sprawiała, że wyglądała jak baleron. Grishy to pasowało, wielu

amatorów uczuć Niki nie było, więc z czasem ich spotkania stawały się coraz częstsze, a jak zaczął dochodzić do nich płacz i żale, to wiedział, że już powoli wita się z gąską. Jasne było, że rodzice nie przyjmą go z radością, więc budował grunt pod to, że pewnego dnia jego cudowna uczennica opowie o ich związku w domu. Jeszcze w ostatniej klasie szkoły plan Grishy wydawał się zagrożony, bo Nika znalazła sobie chłopaka. Szczęśliwie dla pedagoga, relacja potrwała całe trzy tygodnie, padła, gdy chłopcu skończyły się pieniądze na zabawianie swojej królowej. Ponieważ płace nauczycieli sekretem nie są, od niego nie oczekiwano zbyt wielu prezentów i wyjść do ładnych restauracji. Chwilę potem Nika została pierwszy raz na noc u swego wieloletniego przyjaciela. Kilka tygodni później Grisha strzelił gola. Wiedział, że wieloletni plan zbliża się do finału. Spędził całą noc u Tanii, która zrozumiała, że nadszedł ten czas i że gdy w końcu przyjdzie przesyłka z biczkiem z pawich piór, to będzie musiała poczekać, być może lata, zanim użyje jej zawartość. Odkładali moment rozstania kilka tygodni, licząc przy tym na to, że uda im się wspólnie przetestować nowy sprzęt.

W końcu nadszedł ten dzień, za długo odkładane pieniądze nabył ogromny bukiet kwiatów, padł przed swą wybranką na kolana i rozpoczął błagania o rękę. Posiadaczka ręki wydawała się zaskoczona, ale w końcu kto oprze się propozycji matrymonialnej złożonej przez najlepszego przyjaciela? Takiego, którego zna się całe życie i który zawsze był w pobliżu, żeby pomóc, wysłuchać, wesprzeć, podać pomocną dłoń? Na pewno nierozpuszczona moskiewska nastolatka, wyhodowana na telewizji, KFC i petrorublach.

Rodzice zareagowali dość przewidywalnie. Chociaż byli rozwiedzeni, to wytyczyli wspólny front przeciwko związkowi. Szczęśliwie dla Grishy, Nika była tak rozwydrzona, że uparła się postawić na swoim. Już pięć minut po przyjęciu oświadczyn przeglądała internetowe katalogi mody ślubnej i jakieś tam racjonalne argumenty ze strony rodziców nie mogły odwieść jej od możliwości puszczenia w kanał pieniędzy tatusia. Oczywiście wszyscy mieli być powaleni jej kreacją, a lista gości liczyła ponad dwieście osób. Grisha ostatecznie pożegnał się z bibliotekarką Tanią i obiecał jej, że jak tylko odłoży trochę pieniędzy, to rozwiedzie się z tym tępym bachorem i wróci do niej. Zwyczajem rosyjskich kobiet, Tania zgodziła się na taki układ, zresztą pochodząc z Workuty i pracując w bibliotece, miała dość małe pole manewru, a jej walory zewnętrzne sprawiały, że ostatnie próby podrywania kogoś przerobiła jeszcze za pierwszej kadencji Jelcyna. Ponieważ są sprawy, których nawet bogowie nie mają w swojej mocy, na biczyk z pawich piór się nie doczekali, bo Poczta Rassiji jest nie z tego świata.

W trakcie ślubu Grisha znacznie bardziej interesował się teściem niż panną młodą. Upił się oczywiście totalnie, zwłaszcza gdy jego usta poczuły Bieługę, jakże odmienną od Czerwonej Jarzębiny, którą spożywał przez tyle lat. Grisha miał na sobie garnitur, w którym ponad dwadzieścia lat wcześniej zdał na studia. Tradycyjnie już, pawie spacerowały po ogrodzie, a w sadzawce leżał aligator, niektórzy podejrzewali, że martwy. Lista gości w końcu objęła około czterystu osób. Tempo wrzucania zdjęć na portale społecznościowe przypominało serię z katusz podczas wielkich bitew Wojny Ojczyźnianej. Nie mając wielkiego wyboru, teść postanowił robić dobrą minę do złej gry i przepijał do nowego członka rodziny. Grisha czuł ruble. Grisha czuł pieniądze. Czuł też, że ma koło czterech promili w wydychanym i że nawet Bieługą można się zatruć. Panna młoda oczywiście wyglądała jak

nieudany produkt cukierniczny, czyli koślawą beza. W dłoniach dzierżyła bukiet jakichś cholernie rzadkich kwiatków z importu, chyba z Indii, ale Grisha nie słuchał, na wszystko musiał odpowiadać, że jest pięknie, cudownie i że marzył o tym całe życie. Grisha widział, że wartość wiązanki była wyższa niż pensja jego ukochanej Tanii. Gorzkie łzy tryumfu popłynęły po jego twarzy, gdy zdał sobie sprawę, że przyjdzie mu spędzić kolejne kilka lat z córką potentata naftowego. Przypomnił sobie te upojne noce, gdy tarzał się z Tanią w cieniu regału z dziełami Dostojewskiego. Zebrani byli przeświadczeni, że Grisha płacze ze szczęścia i stadnie gratulowali mu tego wspaniałego dnia. Nie mógł nikomu powiedzieć, jak długo na niego czekał. Tony rzepy, hektolitry Jarzębiny, wagony papierosów Jawa, zimowe noce w niedogrzanym mieszkaniu, przeciekające krany w kuchni i łazience, odpadające klepki podłogowe, wiekowe tapety... Dziewięć lat i koniec tego gnoju!

W końcu koło 1 ktoś odholował go do bardzo pięknej limuzyny, którą jeszcze kilka godzin wcześniej Grisha gardził, ale gdy tylko usiadł w jej wnętrzu, to jego optyka uległa pewnej zmianie, pozwolił się więc łaskawie odnieść do łóżka z satynową pościelą. Następnie z satysfakcją znaną żołnierzom Armii Czerwonej, zwymiotował na ten burżujski przeżytek. Zasypiając myślał sobie, że nigdy więcej walk o rzepę i buraki z promocji. Każdy jego kolejny dzień życia będzie wyglądał właśnie tak. Wóda, depresja, płacz, paw. Życie nabrało nowych kolorów i innego wymiaru.

Rano Grisha obudził się w kilku równoległych stanach po spożyciu, i w jednym stanie cywilnym wobec prawa swej ojczyzny. Został mężem Niki. Zapłakał gorzko, gdy zdał sobie sprawę ze swego położenia. Jednak widok dziwnego wazonika od designera przypomniawszy mu co, jak i w jakim celu.

Jego przyszłość, kolejne kilkanaście lat jego życia zostało zdecydowane. Było to założenie dość optymistyczne, bo jak większość ludzi ma wątrobę po prawej, tak Grishy zawijała się niczym wąż wokół ciała. Grisha nie widział powodów do przeciwstawiania się losowi, który tak pięknie ułożył się dla niego. Wyliczył, że jeżeli będzie wyciągał koło stu tysięcy miesięcznie od tatusia, to w ciągu około pięciu lat powinien zebrać sumę wystarczającą na spędzenie reszty życia z Tanią.

Minęły trzy dni od ślubu Grishy z Niką. W tym czasie nie doszło nawet do podjęcia współżycia, bo Grisha wolał podziwiać wdzięki Onri Akity w zaciszu domowej łazienki niż tarzać się w satynowej pościeli (dar babci Niki, tę orzyganą musieli wyrzucić) z małżonką. Małżonka zaś musiała wszystko urządzić, jeździła więc z kierowcą do GUM i CUM, bo przecież tylko tam są dobre rzeczy. Na jedną rzecz nabytą do użytku domowego, kupowała kilka ciuchów. Zresztą i tak nie miało to znaczenia, bo mieli służącą z Uzbekistanu, sprzątającą z Tadżykistanu, a kierowcę z Magadanu. No i gdy w trzeci dzień po ślubie Grisha oddawał się ulżeniu sobie podczas podziwiania kunsztu aktorskiego Mii Kalify, oczy jego ujrzały przypadkiem kurs waluty, który ktoś beczelnie wywiesił na stronie z filmami przyrodniczymi. Z przerażenia jądra schowały mu się do moszny na wzór odrzutowca chowającego podwozie. Rubel rozpoczął podróż na dno. Chwilę potem poprawiła ropa. A gdy już dołożył gaz ziemny... Ci, którzy byli tego dnia w Gazpromie lub Rosniefcie, do dzisiaj mówią, że Wołga jest mniej obfita niż oczodoły rosyjskich nafciarzy. Realia zmieniły się jak w kalejdoskopie. Już w kilka dni później kucyki z podmoskiewskich dacz zmniejszyły swą populację. Nieszczęsne za nic nie mogły zrozumieć, co się

dzieje. Zamiast wozić dzieci po pobliskich parkach, szły kolejno na ubój na kielbasę. Bielugi spokojnie leżały na półkach marketów. Mięso z filipińskich krokodyli gniło i było rzucane kotom bezdomnym, tym samym zaburzając nieco prawa ekosystemów.

Po początkowym przerażeniu Grisha się uspokoił. Teść na pewno miał jakieś rezerwy walutowe.

Nie miał.

Teść okazał się być wielkim patriotą, który nawet na wakacjach w Egipcie płacił rublami. Gdy Grisha się z nim zobaczył po raz pierwszy po odwróceniu tendencji na rynkach, teść miał na stole Jarzębinę Czerwoną i pytał Grishę, czy ten by mu nie dorzucił do piwa Żygulowskiego.

Grisha kupił sobie trunek wiadomej marki. Dni Bielugi się skończyły. Było ich całe trzy, cztery jeżeli doliczymy wesele. W okolicach połowy drugiej butelki, dzielny nauczyciel stwierdził, że przyjdzie mu zostawić Nikę i poczołgać się w stronę Tanii z biblioteki. Wybaczanie mężczyznom ma pewną tradycję w Rosji, więc istniała szansa, że jeszcze w wieku 42 lat uda mu się związać z kimś, kto nie uważa, że da Vinci to jedynie DJ z moskiewskiego klubu i odróżnia banknoty, bo czasem płaci czymś innym niż złotą kartą. Konieczne było zdobycie wielkiego bukietu, kartonu wina Kaberne i paru główek cebuli. Plan nie do końca się powiódł, ale Grisha wierzył, że zawsze pozostawał wierny rosyjskiemu klasykowi: rób, co trzeba, a będzie, co będzie.

Grisha miał jeszcze jeden mocny atut po swojej stronie: Poczcie Rassiji udało się w końcu dostarczyć biczyk z pawich piór.

Śmiertelny mandat

Niektóre sprawy kryminalne są tak skomplikowane, że policja decyduje się ich nie ujawniać, tłumacząc to samej sobie dobrem ogółu i potencjalnie destrukcyjnym wpływem na więzi społeczne. Do tej kategorii należy przypadek Józefa K., europośła z Podlasia.

Piękna i dynamiczna kariera Józefa K. skończyła się, zanim na dobre się zaczęła. Na dzień przed rozpoczęciem obrad europarlamentu szczątki doczesne wybrańca narodu wyłowiono z rzeki Senne. Belgijskie służby żywo zabrały się do ustalenia, jakże też doszło do przedwczesnego zgonu Polaka. Bez większych problemów i ponad wszelką wątpliwość stwierdzono, iż Józef K. opuścił rodzinny Białystok na trzy dni przed swoją śmiercią. Ze względów finansowych udał się do Brukseli liniami autobusowymi. Policja była wielce zaskoczona tym, jak dobrze zapamiętano tego pasażera w firmie przewozowej. Chociaż był to jego pierwszy wyjazd zagraniczny, w trakcie przesłuchania obaj kierowcy przerzucali się historiami o *‘łysym, brzuchatym bucu’*, który *‘darł ryja i śpiewał ruskie piosenki, a nawet obmacywał pasażerki’* i wdał się w bijatykę z robotnikami budowlanymi zmierzającymi na belgijskie budowy. Udało się też ustalić, że Józef K. palił papierosy w autobusowej toalecie, spożywał alkohol w ilościach przemysłowych, a na wszystkie próby usunięcia go z pojazdu mówił, że policja i w ogóle wszyscy mogą go *‘pocałować w dupę’*, bo on jest europośłem i dopiero wszystkim pokaże. Z racji na emocjonalne nacechowanie swych wypowiedzi, kierowcy zostali wpisani na listę osób mogących chcieć śmierci pośła.

Przy denacie znaleziono klucz do jednego z hotelowych pokoi w tureckiej dzielnicy. Wydawało się, że śledztwo może tam utknąć - dzielnica nie słynęła z zamykania do pomagania policji, ale w tym wypadku recepcjonista okazał się wyjątkowo cennym źródłem informacji. Nie musiał on długo szukać w pamięci detali pobytu polskiego gościa. Jak zeznał, ledwo Józef K. wprowadził się do pokoju, a już biegł do pobliskiego marketu i przyniósł sobie kilka litrów najtańszego piwa Diamond (0,6 euro za 0,5 litra, 1,99 euro za czteropak). O ile noc upłynęła w miarę spokojnie, o tyle do serii przykrych incydentów doszło przy śniadaniu. Tłumaczami Polaka zostali goście z Ukrainy, którzy właśnie po tym posiłku postanowili skrócić swój pobyt w stolicy Belgii. Szanowny gość najpierw zrobił awanturę o brak napojów alkoholowych, potem krzychał coś w szeleszczącym języku o konieczności powstrzymania islamizacji Europy. Doszło do przepychanki z właścicielem hotelu, gdyż europoseł próbował wynieść sześć kanapek z dżemem w kieszeniach. Wobec argumentów siłowych i okrzyków, których tłumaczenia Ukraińcy odmówili, pozwolono mu się oddalić z suchym prowiantem i mokrym kartonem mleka. Wpływ na decyzję hotelarza miał też stan kanapek po krótkim pobycie w garderobie Polaka.

Po porannym incydencie, Józef K. ponownie odwiedził sklep monopolowy. Śledczy już nieco mniej dziwili się wysoką rozpoznawalnością gościa z Europy Wschodniej. I w obiekcie handlującym spirytualiami wizyta Józefa K. została więcej niż zauważona, prawdopodobnie dlatego, iż podczas swych pierwszych zakupów próbował uregulować rachunek w polskich złotych. Po długiej i nużącej walce komunikacyjnej, a także dzięki pomocy jednego z rodaków, europoseł dał się przekonać do wizyty w kantorze. Belgijska policja miała pewne podejrzenia, że i tam mogły mieć miejsce sceny gorszące.

Intuicja nie zawiodła stróżów prawa: po odkryciu relacji złotówki do euro, Józef K. był wielce niepokieszony z racji stosunków ekonomicznych, które zaistniały we współczesnej Europie, czemu dał wyraz używając wyrazów powszechnie uznawanych za obraźliwe. Towarzyszący mu rodak odmówił wówczas przetłumaczenia rozbudowanych wypowiedzi, jednak podczas policyjnych przesłuchań zgodził się im przytoczyć słowa europośła, które to podkreślały doniosłą rolę polskich wojsk w oswobodzeniu Belgii w latach 1944-45, jak również rysowały przekonania Józefa K. o tym, co należało pozwolić zrobić Hitlerowi z mieszkańcami Belgii, skoro oni teraz mu chcą zabrać tak wiele złotówek za marne kilka euro.

Denata wyłowiono o poranku, ale już przed wybicciem godziny 12 prowadzący śledztwo mieli dość długą listę osób, które mogły życzyć śmierci przybyszowi z Polski. Listę otwierała dwójka kierowców autobusowych (*‘Jak zobaczę tego idiotę, to go zabiję, a nie wpuszczę do autobusu!’*), kolejnym podejrzanym był właściciel hotelu (*‘To, co zrobił w toalecie...Jestem w tym biznesie od 23 lat, nigdy nie widziałem czegoś takiego! Nawet brytyjscy nastolatki tak nie robią! Zwierzęta się tak nie zachowują...’*), zaraz za nim pracownicy sklepu (*‘Nigdy nie miałam uprzedzeń rasowych, ale wczoraj poszłam zapisać się do partii walczącej o zamknięcie granic’*), prowadzący kantor (*‘Wystąpiłem o pozwolenie na broń palną, na wypadek gdyby to indywiduum tu powróciło’*). Listę zamykał Polak, który świadczył usługi translacyjne (*‘Mieszkam w Belgii od 10 lat i zapomniałem, że na tym świecie istnieją jeszcze takie okazy’*).

Prowadzący śledztwo ustalili, że w feralny dzień Józef K. udał się w okolice dworca Brussel Noord, około dwudziestu minut piechotą od zamieszkiwanego przez siebie hotelu. Wielu Turków zapamiętało pijanego

mężczyznę, który oddawał mocz oparty o rynnę i krzyczał bardzo dużo w chropowatym języku. Próbowano mu pomóc, ale okazało się to awykonalne, gdyż stawiał opór siłowo-werbalny. O ile Turcy nie rozumieli dokładnie słów Polaka, o tyle bez większych kłopotów udało im się zrozumieć intencje nadawcy. Nakręcono nawet dwuminutowy filmik telefonem komórkowym, jednak tłumacz przysięgły rozłożył ręce i poinformował policję, że chociaż ma pewne doświadczenie zawodowe, to obawia się, iż słowa używane przez europosła nie znajdują się w żadnym znanym mu słowniku języka francuskiego, jak również polskiego, niemniej sugestie, które dawał Turkom, są niemożliwe do zrealizowania nawet przez cyrkowych akrobatów.

Bez większych kłopotów policji udało się ustalić, że Józef K. pokierował swe kroki do dzielnicy burdeli. Nie był to ulubiony rewir policjantów, podwoili nawet swój status liczbowy przed wkroczeniem w mroczne tunele i aleje przy dworcu północnym. Jednak w odróżnieniu od wielu poprzednich interwencji, w tej konkretnej sprawie cały półświatek chciał współpracować więcej niż chętnie. W ciągu kolejnych paru godzin zebrano ponad siedemdziesiąt zeznań i portretów pamięciowych. Portret polskiego europosła kreślono dość zgodnie: facet przyszedł, na widok pań w burdelowych oknach wywalił oczy na wierzch, a potem rzucił się do pierwszego z brzegu. Po odbyciu cyklu masażu odmówił zapłaty, tłumacząc się, że to jemu za odbycie stosunku powinno się zapłacić, a nie *‘tej szpetnej kurwie’*. *‘Ta szpetna kurwa’* okazała się być absolwentką gdańskiego konserwatorium muzycznego (specjalność: altówka), która to nieco się zagubiła na drodze do grania w operach świata. Jak zeznała, próbowała wyjaśnić Józefowi K., że jest w dzielnicy burdeli i że, owszem, ludzie w Belgii są przyjaźni, jednak nie aż tak i że naprawdę będzie dla niego zdrowiej jeżeli

zapłaci, bo za chwilę przestanie z nim rozmawiać ona, a zacznie grupa dorodnych imigrantów z Maroka. Józef K. donośnie oznajmił, że jest europoseł i co mu może *'ten asfalt'*. Koncepcja immunitetu dyplomatycznego nie dotarła jeszcze w okolice dworca północnego, więc *'ten asfalt'* wziął grupę kolegów i dołożył starań, by Józef K. nieco lepiej zrozumiał koncepcję wynagrodzenia za usługi.

Po dotarciu do tego punktu śledztwa, prowadzący je byli pewni, że to marokański gang sutenerów odpowiedzialny jest za przedwczesny zgon Józefa, jednakże szybko okazało się to ślepą alejką. Grupa Marokańczyków sama się do nich zgłosiła i opowiedziała, że jak różnych idiotów już w życiu przerobili, to ten Polak pobił wszelkie rekordy. Zaproponowali nawet policji współpracę, że jeżeli kiedyś jeszcze trafi się taki cymbał, to sami po nich zadzwonią, bo choć są w sutenerstwie od lat, to jeszcze jakieś szczątki sumienia mają. Przyznali się do wygzekwowania należnej sumy pieniędzy od Józefa K., spuszczenia mu tzw. kontrolnego wpierdolu oraz wyprowadzenia go na kopach z ich okolicy. Zaprzeczyli jednak jakoby mieli cokolwiek wspólnego z jego śmiercią, gdyż - jak zeznali - uznali, że taki sam się wykończy, wystarczy pozostawić go samemu sobie.

Po wizycie w dzielnicy burdeli, lista osób mogących pragnąć śmierci Józefa K. wzrosła do 237. Co gorsza, większość z nich wypowiedziała się w bardzo doraźnych słowach nt. tego, że chociaż deszcz nieco siąpi, to jest to wspaniały dzień, skoro europoseł przeniósł się na łono Abrahama i już go więcej nie będą musieli oglądać.

Policyjny trop urwał się w okolicach godziny 23, kiedy to widziano posła jak spacerował po brzegach rzeki Senne i śpiewał jakąś hałaśliwą piosenkę (jak

później ustalono, był to hymn Polski). Należy zrozumieć, że belgijska policja działała pod presją czasu: euro obrady miały rozpocząć się w ciągu kilkunastu godzin. Strona polska została poinformowana o zaistniałej sytuacji, jednakże zdecydowano się nie informować mediów. Ambasada Rzeczypospolitej wskazywała jasno na możliwość zamachu dokonanego przez rosyjską agenturę, jednak tę wersję strona belgijska uznała za umiarkowanie prawdopodobną.

Problemem było oczekiwanie na wyniki sekcji zwłok denata, gdyż okazało się, że wszystkie możliwe aparaty do pomiaru poziomu alkoholu we krwi zepsuły się. Gdy w końcu udało się sprowadzić sprzęt z Niemiec (na gwizdkach i na koszt podatnika), ustalono ponad wszelką wątpliwość, że jednak belgijskie działały wcale dobrze. Mimo spędzenia kilku godzin w rzece, Józef K. nadal miał około sześciu promili alkoholu we krwi - wynik początkowo obalony jako nieprawdopodobny i winny zdyskredytowaniu sprzętu z Beneluksu. Co wydało się policjantom jeszcze dziwniejsze, w płucach denata nie stwierdzono wody, czyli był martwy już w momencie wrzucenia do rzeki. Jednak nie znaleziono na ciele żadnych obrażeń, czy to zadanych tępym, czy też ostrym narzędziem. Jedynie kończyny górne nosiły ślady otarcia, prawdopodobnie związane z zaburzeniem percepcji na wysokości około metra, czyli po ludzku mówiąc: się wziął i wywalił na ryj.

W końcu dokładna analiza wykazała zatrucie organizmu denata alkoholem metylowym. Zagmatwało to znacznie śledztwo: skąd Józef K. wziąłby metyl w Brukseli? Mógł sobie kupić spirytus medyczny w aptece (zakładając optymistycznie, że udałoby mu się skomunikować ze sprzedawcą, co policja po poznaniu znajomości języków obcych Polaka odrzuciła jako dziko nieprawdopodobne), ale ten był bezpieczny, każdego dnia piły go setki

Polaków w całej Belgii. Zdobycie spirytusu technicznego było raczej poza zasięgiem Józefa K., żadna ze służb używających go nie zgłosiła kradzieży.

Śledztwo stanęło w martwym punkcie, a czasu nie przybywało, dziennikarze niebezpiecznie interesowali się sprawą, skandal międzynarodowy mógł wybuchnąć w każdym momencie. Lista osób życzących śmierci europosłowi sięgała ponad 300 osób, do tego dochodziło kilkaset tysięcy wyborców. Wydawało się, że sprawa może pozostać po wsze czasy nierozwiązana.

Zagadkę rozwikłał policyjny rysownik, który ze względów światopoglądowo-finansowych dzielił mieszkanie z polskim gejem. Gdy zmęczony stróż prawa powrócił do domu, jego współlokator powitał go słowami:

- *Ty, jaja, pięciu chłopu zapilo się na śmierć w Białymstoku.*

Jego zmęczony mózg nie zareagował od razu, kolega wielokrotnie informował go o specyfice kraju położonego nad Wisłą, więc przez dwa lata zdążył uodpornić się na historie o tym, że tam dzieci trzymają w beczkach, księżom płacą miliony, każde święto religijne kończy się odsiadką połowy kraju za jazdę po pijanemu, a dzieci w szkołach nie mają czego żreć. Jednak po chwili zapytał:

- *W Białymstoku?*

- *Tak* - usłyszał w odpowiedzi.

Poprosił o detale opowieści. Drobną wzmianką w lokalnej prasie głosiła, że grupa lokalnych bezdomnych włamała się na bocznicę kolejową i spuściła sobie z drezyny kilkadziesiąt litrów alkoholu metylowego. Wydarzenie to, raczej umiarkowanie doniosłe w dziejach ludzkości i Polski, stało się powodem do wielkiej libacji, którą uczestnicy zakończyli w Hadesie.

Rysownik pozwolił sobie zakłócić spokój swego przełożonego po 23, argumentując to tym, że te dwie sprawy mają pewne styczne: ludzi z Białegostoku, chłanie metylu i śmierć z przepicia. Jeszcze tego samego dnia wysłano serię pytań do polskiej policji. Tu śledztwo utknęło na wiele miesięcy. Szczęśliwie, posłów w europarlamencie jest wielu, większość i tak na obrady nie chodzi, więc nieobecności Józefa K. nie zauważono przez kolejne półtora roku. W tym czasie polska policja odesłała pytania belgijskiej, informując ją, iż wysłali je na złym druku. Gdy wysłano je na dobrym, Poczta Polska dzielnie zgubiła wszystkie dokumenty. W końcu okazało się, że druk jest mniejszym problemem niż język, w jakim jest wypełniony, więc poproszono rysownika, żeby poprosił współlokatora o przekład na polski. Tu sprawa utknęła na trzy tygodnie, bo chłopaki akurat byli w podróży poślubnej. Gdy w końcu wysłano odpowiedni formularz w odpowiednim języku i używając innego dostawcy, zagadka rozwikłała się niemal natychmiastowo.

Józef K. był dobrze znanym białostockiej policji alkoholikiem z trzydziestoletnim stażem i licznymi osiągnięciami. Na wieczór przed swym odjazdem w stronę stolicy europejskiej, ściągnął z kolegami spirytus metylowy z cysterny. Koledzy wypili go od razu, jednak Józef wziął sobie na drogę tę specyficzną pamiątkę z Polski. Atakowany ze wszystkich stron przez okrutną rzeczywistość świata Unii Europejskiej, społeczeństwa wielokulturowego i mniejszości etnicznych, zasiadł owego feralnego wieczora na brzegu rzeki Senny, zapewne zapłakał, i wypił swoją połówkę cykuty. Czyli spirytusu metylowego. Następnie spokojnie oślepl i umarł, a potem samoczynnie przeniósł swój podmiot prawny w tonie rzeczne, by tam utracić ten zaszczytny status.

Belgijska policja była bardzo dumna z rozwikłania bardzo zawilej zagadki kryminalnej. Jednak zanim do tego doszło, akta przesłuchań podejrzanych zdążyły zająć ponad czterysta metrów archiwów. W porozumieniu ze stroną polską zdecydowano się nie podawać do wiadomości publicznej szczegółów wygaśnięcia mandatu Józefa K. Jego zwłoki pochowano w grobie nieznanego żołnierza, uznając, że jego śmierć była równie głupia jak wielu młodych wysłanych w latach 1914-18 na wojenne fronty.

Aby uczcić śmierć polskiego posła, burdele i sklepy monopolowe przy stacji Brussel Noord są zawsze zamknięte 23 czerwca - w dzień, gdy przedstawiciel ludu był łaskaw odwiedzić lokalny proletariat.

Od czasu wizyty Józefa K. w Brukseli liczba wniosków o zerwanie Unii Europejskiej wzrosła o 20%.

Śródmieście

Śródmieście powitało nas jak dawno niewidziany, dynamiczny i kipiący życiem świat. Było nas około setki w autobusie 525, wszyscy zmierzaliśmy w tym samym kierunku i podobnym celu. Poniedziałek, godzina 7:40. Zapach wewnątrz sugerował, że wielu pasażerów wybrało ten sam sposób spędzenia weekendu, i nie był to czas spędzony na mityngach AA. Mnie także nie wypadało rzucać kamieniem. Przystanek Metro Politechnika spowodował, że wpadło nieco świeżego powietrza. Również Plac Konstytucji przyniósł ubytek w liczbie pasażerów zmierzających w te smutne miejsca, do których udają się ludzie pracujący. Były nawet miejsca do siedzenia, wizja chwilę wcześniej fantastyczna, gdy autobus zbierał kolejne dusze wzdłuż Alei Stanów Zjednoczonych. Jeszcze Centrum, znowu sporo osób wysiadło nieść swój krzyż w którejś z korporacji. Powoli widać było Dworzec Centralny. Tu opustoszało. Na pokładzie pozostał tylko śpiący, pewnie bezdomny, zdecydowanie bez dostępu do prysznica, za to z dostępem do piwa Kustosz. Za kilka minut mógł rozpocząć podróż powrotną w stronę Międzyzlesia. Pomyślałem, że może go obudzę - może chciał na Centralny, a nie Międzyzlesie? Szóstym zmysłem wyczuł me zamiary. Otworzył oczy i zmierzył mnie wzrokiem. Moją firmową torbę na laptopa, koszulę z lumpeksu i dwuletnie lakierki od Baty. Może nawet wyczuł dezodorant z przeceny i perfumy, które dostałem od matki na Gwiazdkę. Przez jakieś trzy sekundy patrzyliśmy na siebie, aż sam przerwał krępujące milczenie:

- *Panie, życia panu nie żal?*

Płockie łowy

Wiosenny poranek wstawał nad doliną Wisły. Zapowiadał się ciepły i pogodny dzień. Słońce powoli rozświeślało pobliskie drzewa.

- *To dobry dzień na łowy* – stwierdziła Kaja wyglądając przez okno. „*Wczesnie zacznę, wczesnie skończę. Kto wie, może to dzisiaj będzie ten dzień?*” – pomyślała sięgając po strój przygotowany na takie wyprawy. Jednak zanim wyruszyła, musiała zmierzyć się z niespodziewanym wyzwaniem. Ktoś próbował wyważyć drzwi do jej sypialni.

- *Kto to może być? Czy to ojciec, czy też brat?* – zadumała się Kaja. Im więcej o tym myślała, tym bardziej skomplikowaną stawała się zagadka. Zarówno protoplasta, jak i krewniak drugiego stopnia niezależnie wyszli spożywać alkohol dzień wcześniej. Za ojcem przemawiała tradycja wielu lat wpadania do jej sypialni w stanie upojenia całkowitego. Za bratem ostatnie wydarzenia z jego życia uczuciowego, czyli zerwanie z Roksaną. Który z nich by to nie był, wiadomo było, że przychodzi po usługę seksualną. Kaja nie była osobą przesadnie drobnomieszczańską, którą frapowałoby współżycie z byle kim i byle gdzie, ale jednak, na trzeźwo, miewała pewne opory przed zjawiskiem zwanym zwyczajowo kazirodztwem. Wiedząc, że po burzy nastaje cisza, i bazując na swoim wieloletnim doświadczeniu, postanowiła udawać, że śpi. Strategia ta okazała się być optymalną. Po kilku minutach walenie w drzwi ustało, a po następnych kilku Kaja odważyła się otworzyć wyżej wymienione. Oglądając ciało leżące pod drzwiami odkryła, że tego dnia był to tatuś, którego ostatecznie pokonało stężenie alkoholu w organizmie. Przeszła spokojnie nad jego ciałem i udała się do kuchni.

Lodówka nie rozpieszczała zawartością, ale skoro tyle pokoleń Polaków dało radę żyć na parówkach, to dlaczego ona miałaby mieć z tym jakiś problem? Bakterie żyją nawet w świetle – przypomniła sobie przeczytaną w sieci mądrość. Zaparzana po raz trzeci torebka herbaty „India” dała wodzie wystarczająco koloru, żeby oszukać zmysły i uwierzyć, że naprawdę wypilo się coś innego niż wrzątek. Kaja dobrała kolor bielizny do bluzki, odważnie wyeksponowała dekolt. Skrupulatnie oczyściła obuwie sportowe szarym papierem toaletowym. Stało się ono na powrót bardziej białe niż szare. Stanęła przed lustrem i powiedziała sama do siebie:

- *Dzisiaj łowy się powiodą!*

Pierwszy przystanek miała w sklepie z odzieżą używaną. Chociaż otwierali się dopiero o 8, jej rozmowa była umówiona na nieco wcześniej, bo na 7:30. *“Pewnie dlatego, że chcą dać mi pracę i poproszą, żebym zaczęła już dzisiaj od 8,”* myślała Kaja. *“W końcu, jak może wyglądać rozmowa do sklepu z odzieżą na wagę?”* – racjonalnie pytała sama siebie.

- *Czy jest pani gotowa założyć działalność gospodarczą i współpracować z nami na zasadzie „bi-tu-bi”* – po powitaniu pani kierownik sklepu przeszła do konkretnego, podkreślając przy tym swoje przekonanie, że nikt poza nią nie chodził na angielski.

Kaja przemyślała, co ją spotkało. Odpowiedziała w jedynym języku jaki знаła:

- *To ile zarobię?*

Pani kierownik wydawała się być przygotowaną na taki obrót spraw. Wzięła kartkę A4 (zadrukowaną z drugiej strony) i rozpoczęła rysowanie wykresu,

który w jej mniemaniu wyjaśniał dramatyczny wyzysk pracownika przez ZUS, Urząd Skarbowy i NFZ. Kaja jednak nie była w ciemną bitą, i powtórzyła swoją mantrę:

- To ile zarobię?

Po kolejnym wywodzie z pogranicza matematyki abstrakcyjnej, Kaja zrozumiała, że fortuny z tego nie będzie. Może nie do końca zrozumiała, ale miała w pamięci opowieści innych bojowniczek o pracę z Płocka. Różnicowały się one tym, czy bycie wyruchanym należało rozumieć dosłownie, czy też bardziej metaforycznie. Zrozumiała, że trafiła do firmy jebaki-mistrza, pogromcy pracownika wszech czasów, miejsca, które redefiniowało nędzę. Odmówiła więc dołączenia do tej drużyny mimo tego, że jeszcze trzydzieści minut wcześniej perspektywa przygody sprzedawania używanych ubrań lokalnej biedocie wydawała jej się wielce interesująca.

Kolejnym przystankiem w tej misji był sklep ogólnospożywczy, z płazem w logotypie. Tu rozmowa szła dobrze. Aż do niedzieli. Bo okazało się, że jeżeli ktoś chce podawać piwo pijanym i wódkę relatywnie trzeźwym, to musi być przeświadczony o misji do robienia tego w niedzielne wieczory. Na drodze przeszkód wszelakich, Kaja pomyślała o tym, że przecież jej niedzielne wieczory w kościele były czasem odpoczynku. Regeneracji many. Kaja powiedziała więc, że na wiele sprostności może się zgodzić, ale jednak nie na aż takie, które wymagałyby od niej siedzenia za ladą sklepu monopolowego w święty dzień. Jeszcze te niedziele może by jakoś przeszły, ale Boże Ciało? Dzień Męki Pańskiej? Narodzin Chrystusa? Można czasem sypiać z bratem, czasem z ojcem, ale są rzeczy, których robić nie wolno. Nie wolno pracować, kiedy pan Jezus miał bardzo zły dzień.

Z powodu wyśrubowanych standardów moralnych aplikantki, sprawa się, kolokwialnie rzecz ujmując, jebła. Dlatego też drugi odcinek płockich łowów Kai zakończył się porażką. Ostatnia misja pracowniczego polowania Kai zmusiła ją do przejazdu autobusem na Nowe Boryszewo. Z racji wyzwania ekonomicznych stawianych przez los, postanowiła przejechać bez ważnego biletu. Czas przejazdu trochę ją przeraził, ale stwierdziła, że mogłaby i tak żyć. W końcu był tam sklep z owadem w logotypie, który słynął w okolicy z płacenia pensji, co wystarczało, żeby błyszczeć na firmamencie lokalnych pracodawców. Z wszystkich możliwości zatrudnienia, z tą Kaja wiązała największe nadzieje. Wiedząc, że rozmowę przeprowadzał będzie z nią pan Jakub, Kaja poszła do toalety na stacji benzynowej i upewniła się, że widać jaki ma ładny koronkowy stanik, a także, że gdy nachyli się, uwidoczni się jej pasja do noszenia stringów.

Płocczanka zmierzała dziarskim krokiem do znanego w całej Polsce dyskontu spożywczego. Nie zdążyła jednak wejść do niego, gdy zadzwonił jej telefon. Pan Jakub powiedział, że czeka przy wejściu i że jego znakiem rozpoznawczym będzie trzymana w ręku reklamówka termiczna z logiem sklepu. W kilka chwil później zobaczyła swego potencjalnego dobroczyńcę.

- *Dzień dobry pani. Nie przedłużajmy, chodźmy do biura* – powiedział dziarsko pan Jakub. Kaja nieco się zdziwiła, że do biura szli dobre dziesięć minut. Zapytała nawet o to, ale pan Jakub wyjaśnił jej, że przecież nie będą rozmawiali przy ladzie chłodniczej. Cała ta trasa była nieco stresująca, bo kandydatkę pytano o dotychczasowe doświadczenie zawodowe (tu Kaja musiała się nagimnastykować, żeby użyć słowa nieco innego niż „nikłe”), edukację (tu mogła pochwalić się zdaną maturą, niekoniecznie już tym, że tylko dzięki giertychowskiej reformie). Jednak pan Jakub wydawał się

zachwycony potencjalną pracowniczką, co dodawało Kai otuchy. Wydawało się iść tak dobrze, a jeszcze nie miała okazji pokazać stringów.

Dotarli do biura. Pan Jakub wyjaśnił, że budowa to pewien proces i że może jeszcze potrwać, bo to jest Polska i urzędasy utrudniają życie rekinom biznesu. Kai coraz bardziej zaczynał podobać się styl jej potencjalnego szefa. Weszli do pokoju, gdzie był stół i kilka krzeseł.

- *Pani Kaju, ja panią bardzo polubiłem, naprawdę bardzo mi się, że tak powiem, pani podoba.*

„*To chyba nadszedł ten moment, że trzeba będzie dać dupy*” – pomyślała sobie Kaja. Pan Jakub kontynuował

- *Wie pani co, mam coś lepszego niż kasa w dyskoncie. Poza byciem dyrektorem Biedronki, jestem też głównym udziałowcem w firmie, która zajmuje się marketingiem bezpośrednim. Niech pani pomyśli, zajmowałaby się pani sprzedażą nie marchewki, a produktów luksusowych. Do sklepu przychodzą pijani po piwo, emeryci po warzywa, bywa nerwowo, długie godziny i pracujące soboty, a ja mam dla pani możliwość bycia kowalem własnego losu. Prowadzenia własnego, lukratywnego biznesu!*

Kaja mało rozumiała z tej przemowy. Miała wprawdzie w liceum zajęcia z przedsiębiorczości, ale koncentrowały się one na tym, że planowali kiermasz szkolny. Podobała jej się jednak ta część wypowiedzi jej nowego mentora o tym, że własny biznes, że produkty luksusowe. Słuchała dalej wywodu pana Jakuba.

- Ja może pani pokazać, proszę, niech pani popatrzy jakie ja tu mam piękne garnki. Ten do bigosu, ten do zupy, ronderek, a zestaw uzupełnia patelnia. Lubi pani jajecznicę? To świetnie, to ja zrobię jajecznicę – powiedział pan Jakub i wyjął spod stołu karton jajek z chowu klatkowego – i pani sama zobaczy jakie to są wyjątkowe produkty. Dobrze, może ma pani jakieś pytania? Nie? Świetnie, świetnie. To ja jeszcze opowiem o tym jakie tu są możliwości finansowe. Taki zestaw od nas wychodzi za 600 PLN, a potem sprzedaje go pani za 3000 PLN. Z tego dla nas jest 1000 złotych. Tak, tak, pani chyba właśnie to policzyła. Ile pani zarabia?

Kaja przerażona dokonała obliczeń w głowie:

- Cztery stowy?

- Ależ nie! Tysiąc czterysta złotych!!! Tak, tak, dobrze pani słyszy. Ile pani sprzeda dziennie, to już zależy tylko od pani. Proszę spróbować jajeczniczki. Dobra? Dobra? Dobra?

- Ale ja nie mam 600 złotych, żeby kupić te garnki i potem zarobić 1400 sprzedając je – płaczliwie powiedziała Kaja.

- Proszę pani, przecież ja nie chcę od pani pieniędzy tak teraz-zaraz. Pani tylko tutaj podpisze i weźmie. Ja panią bardzo polubiłem, niech pani weźmie ze trzy zestawy. Szybko pani sprzeda, szybko się dorobi. Trzy razy 1400 złotych, niech pani policzy ile to będzie!

- 3900 złotych! – krzyknęła podekscytowana Kaja.

- Lepiej, 4200!!! – z podobnym entuzjazmem podniósł się pan Jakub.

“4200 złotych... Za takie pieniądze to można kupić pół Płocka” – pomyślała sobie Kaja.

- To co? Będzie pani pracowała dla mnie bezpośrednio? – zapytał z nadzieją w głosie i widelcem w dłoni pan Jakub.

- Tak, tak! Dziękuję, obiecuję, że pana nie zawiodę!

- Zawiodę... To proszę tu podpisać. I tu pokwitowanie odbioru trzech zestawów garnków. Proszę się nie martwić, że tam jest wpisane 20000 złotych kary umownej, to takie tylko prawne zapisy, głupotki. Już idę po towar – powiedział pan Jakub i szybko oddalił się do bocznego pokoju, z którego po chwili wyszedł trzymając trzy pudełka towaru. – Zamówię pani taksówkę, przecież nie będzie pani z tym jechała autobusem.

Kaja taksówką jechała cztery razy w życiu i nigdy to nie ona za nią płaciła. Ale skoro miała wkrótce zarobić 4200 złotych, to pomyślała, że stać ją na przejazd do domu. Czekali na przybycie pojazdu, pan Jakub zniósł jej nowy nabytek na dół i wyjaśniał szybko, że poleca odwiedzić znajomych i to od nich zacząć sprzedaż. Że jak tylko sprzeda te trzy zestawy, to żeby dzwoniła i że dostanie kolejne. Że będzie musiał teraz na parę dni wyjechać, bo musi jechać do Olsztyna, Łomży i rodzinnych Siedlec, żeby tam kontrolować sieci dystrybucji, ale w przyszłym tygodniu znowu będzie w Płocku i wtedy muszą się koniecznie spotkać. Zresztą na pewno uda jej się bez problemu sprzedać te produkty i to pewnie w jeden dzień, więc będzie potem miała trochę wolnego. Jakby ktoś pytał o paragon fiskalny, to mówić, że z paragonem to by było 20% drożej. Ten kraj okrada ciężko pracujących ludzi i trzeba mu to utrudniać.

Przyjazd taksówki przerwał przemowę pana Jakuba, co było z pewną stratą dla Kai, bo miał jeszcze kilka dobrych przemów o tym, że czerwona hołota nawołuje do podnoszenia podatków, bo dzięki temu mogą potem kraść przez kolejne kadencje dla siebie, swoich rodzin i dziwek. Kaja jednak nie miała okazji wysłuchać tego cennego strumienia świadomości, bo odjechała w stronę domu. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Jutro zarobi dużo pieniędzy, a potem będzie zawsze jeździła taksówkami, wyprowadzi się od rodziców, a na wakacje pojedzie na Chorwację. Szczęście jej dopisało, łowy zakończyły się sukcesem!

Utopia

Zanim Staszek stanął przed bramą prowadzącą do gospodarstwa *Phantasmagoria*, spędził około 60 godzin w podróży. Składały się na nią lotniska, dworce kolejowe, przejścia graniczne, restauracje sieciowe, trochę dokumentów i dużo hałasu. W tym czasie udało mu się i przegrzać, i wychłodzić. Zawsze wydawało mu się, że dobrze znosi podróże, ale tego dnia zaczął się nad tym poważnie zastanawiać.

Najpierw musiał dolecieć do Mińska przez Warszawę. O ile wyzwania rzucane przez Centralny Port Lotniczy w Baranowie były mu znane, o tyle terminal 2 w Mińsku był czymś nowym. Okazało się, że nie wolno mu skorzystać ze strefy bezcłowej, więc nie kupił sobie żadnej pamiątki. Do tego białoruscy pogranicznicy zasypali go formularzami wjazdowymi, gdzie trzykrotnie musiał powielić swoje dane. Staszek wypełnił je skrupulatnie, wiedząc z krajem, jakiego formatu ma do czynienia. Jego serce jęknęło, gdy po szybkim rzuceniu okiem, białoruski pogranicznik cisnął nimi o podłogę i przepuścił go do wyjścia do samolotu.

Lot do Alma Aty trwał niecałe pięć godzin. Wsiadając w dawnej stolicy Kazachstanu, Staszek myślał, że najtrudniejsza część podróży za nim. Mylił się i popełnił poważny błąd, bo zamiast rozbić podróż na krótsze etapy, postanowił od razu złapać pociąg do Karagandy. Mijało dwadzieścia godzin, odkąd wyszedł z domu. Dopiero po trzech godzinach podróży dotarło do niego, że Kazachstan jest krajem nieco większym niż Belgia i że nie

przejechał jeszcze nawet połowy drogi dzielącej dawną stolicę kraju z miastem słynącym z kopalni węgla i gułagów.

Przyjaźni krajowcy próbowali z nim nawiązać rozmowę, ale czynili to po rosyjsku. Staszek miał lat 27 i był z tego pokolenia, które w szkole przerabiało *Headwaya*, a nie *Russkij Jazyk Sjewodnia*, przez co jego możliwości komunikacji z lokalnymi ograniczały się do spazmatycznego powtarzania *spassiba*. W rzadkich chwilach, gdy jego telefon łapał zasięg, z przerażeniem zauważał, że niebieska kreska drogi do Karagandy skraca się bardzo powoli.

Będąc nowicjuszem w świecie krajów byłego Związku Radzieckiego, Staszek z zaskoczeniem odkrył, że przysługuje mu prycza do spania. Powoli łapiąc skalę kraju, wyliczył, że o ile pociąg nie wejdzie w podświetlną, to może spokojnie spać przynajmniej przez jakieś dwanaście godzin.

Gdy we wczesnych godzinach popołudniowych następnego ranka wysiadał w Karagandzie, kusilo go pocałować pamiętający sowieckie czasy peron. Jego początkowy plan zakładał przedostanie się na obrzeża miasta, gdzie mieścił się cel tej wielkiej wyprawy, ale zarówno fizycznie jak i psychicznie nie był w stanie użyć kolejnego środka transportu. Poszedł do jakiegoś hotelu, chwilę potargował się o cenę, potem zdał sobie sprawę, że nie do końca umie przeliczać tenge i po ustaleniu, że tysiąc pieniążków w tej walucie, to jakieś dziesięć złotych, wynajął pokój. Czując się tak, jak czuje się człowiek po takiej wyprawie, Staszek padł na łóżko w ubraniu. Po godzinie wstał, bo dotarło do niego, że w pokoju nie grzeją. Ubrał się we wszystko, co miał. Potem poszedł na recepcję, ale nie było tam nikogo. Zresztą możliwości komunikacji Staszka z Kazachami były tak ograniczone, że nawet nie miałyby jak opowiedzieć im o swoim problemie. Podczas

poszukiwań obsługi odkrył, że istnieje wspólna łazienka na korytarzu. Z ciepłą wodą. Następną godzinę spędził, ogrzewając się pod prysznicem. Po tym czasie woda skończyła się, a po powrocie do pokoju Staszek odkrył, że włączono ogrzewanie. Zrobiono to w stylu właściwym regionowi i już po godzinie temperatura sprawiała, że siedział w samych gaciach. Po dwóch otwierał okna na oścież.

Postanowił trochę popracować i pozbierać myśli. To, co było mu dane zobaczyć z Kazachstanu,

pozwoliło mu zrozumieć, że naprawdę jest na końcu świata. Zaczął się zastanawiać, jaką fantasmagorię mógł tu ktoś budować. Z okien pociągu widział stepy, w wielu miejscach jeszcze przykryte śniegiem. Przejrzenie kilku stron internetowych pozwoliło mu ustalić, że po zimie dość szybko nastanie koszmarnie upalne lato. Cały rok można było trafić na wichury.

Zastanawiając się nad różnymi strefami klimatycznymi, Staszek nie mógł wymyślić miejsca, które byłoby mniej przyjazne do życia niż środkowy Kazachstan. Dość łatwo było zrozumieć, dlaczego Stalin ulokował tam tak wiele obozów pracy. Po upadku Związku Radzieckiego i gospodarki centralnie planowanej nastąpił oczywisty odpływ ludności. Aż do roku 2019, kiedy okolice te wybrane zostały przez grupę obcokrajowców z tak zwanych społeczeństw rozwiniętych. Postanowili oni założyć osadę poza światem. Staszek musiał przyznać, że jeżeli chodzi o wybór lokalizacji, to odrzucając miejsca takie jak Antarktyda, trudno byłoby znaleźć coś bardziej niszowego niż Azja Środkowa.

W roku 2025 dziennikarstwo było potężną domeną freelance'u, umów śmieciowych, darmowej pracy i współzawodnictwa, które można określić jako wyścig do dna. Pisać chciały setki ludzi, więc portale internetowe

i ostatnie drukowane media płaciły grosze i nie oferowały niczego, co można by nazwać zatrudnieniem. Staszek odbył już kilka staży, pracował w dwóch redakcjach i ośmiu portalach. Zaprowadziło go to do mieszkania z dwójką współlokatorów, kupowania najtańszych produktów z popularnego sklepu z owadem w logotypie i ogólnego biedowania. Ciągłe przeglądanie portali internetowych w poszukiwaniu pracy zaprowadziło go na stronę amerykańskiego magazynu *Outback*, z którym wymienił serię emaili. W pewnym momencie zapytali go o temat, który mógłby opracować jako mieszkaniowiec niemalże drugiego — z amerykańskiej perspektywy — końca świata. Staszek szybko skompilował listę tematów dotyczących polskiej historii, z naciskiem na II Wojnę Światową. Dowiedział się, że nie ma to być turystyka śmierci i że małe są szanse, że modelowy czytelnik *Outback* rzuci wszystkim i poleci do Europy, żeby zwiedzać miejsca uświęcone krwią Polaków. Staszek panikował, przygotował kolejną trasę, tym razem z naciskiem na zróżnicowanie kulinarne regionów Polski. Ten temat też nie chwycił, i mimo cierpliwości, której niewyczerpane ilości zdawali posiadać się amerykańscy wydawcy, Staszek miał poczucie, że grunt pali mu się pod nogami.

Przeglądając setki wpisów podróży i blogów, znalazł wpis blogera ze Szwecji, który odwiedzając dawne muzeum Karłag pod Karagandą całkowicie przypadkiem trafił do bardzo dziwnej społeczności. Pomyślał, że może amerykański czytelnik byłby zainteresowany czymś takim, więc postanowił zobaczyć oficjalną stronę tej grupy ludzi.

Zero wyników.

Wpis Szweda pochodził z 2020 roku, miał prawie pięć lat. Staszek pomyślał, że mógł to być taki fake news, próba napisania o czymś niesamowitym

i mało prawdopodobnym, żeby tylko zdobyć wejścia na stronę i czytelników. Jeżeli tak było, plan się nie powiódł, bo blog Szweda miał ledwo 27 like'ów, a ostatni wpis był z 2021 roku. Dłuższe szukanie zwróciło Staszкови wpis pary ze Szwajcarii, która spotkała w hotelu w Nursułtanie (czyli dawnej Astanie) członka tej samej społeczności. Nie byli oni zbyt dokładni i wylewni w opisywaniu swych przeżyć. Po kilkudniowej przyjaźni zabrał ich ze sobą, minęli muzeum KarŁag i po jakiejś godzinie jazdy po stepie trafili do wioski. Do wpisu dodano jedno zdjęcie bramy wjazdowej, na której wisiał szyld „*Wspólnota Phantasmagoria*”. Można było się dowiedzieć, że spędzili tam dwa dni, że pogoda była straszna, ale samo doświadczenie z tych wzbogacających.

Mimo kilku kolejnych godzin, niczego więcej Staszкови znaleźć się nie udało. Godzina od KarŁag mogła oznaczać cokolwiek od 20 do 70 kilometrów, pewnie nie po głównej drodze, właściwie w dowolnym kierunku, tylko nie Karagandy. Szwajcarzy wspominali samochód, więc należało odrzucić położenie przy trakcji kolejowej. Widok z satelity pokazywał małe osady ludzkie, rozrzucone co kilkanaście kilometrów, i step. Wszechogarniający step. Jakość zdjęć była zbyt niska, żeby próbować znaleźć cokolwiek charakterystycznego. Jednak nie mając lepszego pomysłu, Staszek wysłał wszystko, co miał do wydawcy *Outback*. Po dwóch dniach dostał wstępne zielone światło: jeżeli pojedzie do Kazachstanu, znajdzie to gospodarstwo i okaże się, że żyje tam jakaś komuna, która postanowiła odciąć się od świata i tworzyć nowe społeczeństwo, to *Outback* byłby zainteresowany takim tekstem i partycypowaniem w kosztach wyprawy. Głównym problemem było to, że magazyn skłonny był zwrócić pieniądze dopiero po otrzymaniu tekstu. Poza zwrotem wydatków zaoferowali też honorarium.

Nie była to łatwa decyzja dla Staszka, bo oznaczała postawienie wszystkiego na jedną kartę. Po tym mailu to on trzymał redakcję *Outback* w niepewności. Ponieważ jednak odrzucono mu kolejny tekst, postanowił zaryzykować wszystko. Gdyby cały projekt okazał się porażką, musiałby iść do pracy. Znalezienie pracy w sklepie lub na stacji benzynowej było złotym strzałem, bo postępująca automatyzacja doprowadziła do eksplozji bezrobocia, które od kilku lat gnębiło dużą część świata Zachodu. Staszek pospacerował, rozważył za i przeciw, pomyślał i napisał, że to zrobi. Pojedzie do Kazachstanu, znajdzie tę tajemniczą społeczność i napisze o niej. Potrzebował tygodnia, żeby znaleźć kogoś na swoje miejsce w mieszkaniu. Dzięki temu miał kilkaset złotych z kaucji, które wystarczały na przelot do Alma Aty i z powrotem.

Symboliczne oszczędności pozwalały mu na pokrycie około trzech tygodni pobytu w kraju – tak mu wyszło z wyliczeń opartych o *Numbeo*. Im bliżej daty wyjazdu, tym więcej skupiało się na jego głowie: opróżnienie mieszkania, wizyta u rodziny, wysłanie do redakcji szczegółowego planu pracy i pobytu w Azji Środkowej. Podróż miała być dla Staszka czasem odpoczynku i regeneracji sił przed zabraniem się za pracę. Oczywiście było dokładnie na odwrót i siedząc w karagandzkim hotelu, Staszek był bardziej zmęczony niż kiedykolwiek w swoim życiu, a przejście przez serie ekstremalnych temperatur nie poprawiło mu humoru. Koło godziny 21 zasnął i przespał nieprzerwanym snem dziesięć godzin.

Następnego poranka zaczęło do niego docierać, że porwał się z motyką na słońce. Mieszkańcy Karagandy wydawali się mili, ale z mało kim mógł się porozumieć. Ostatecznie mówienie po polsku i odgadywanie, czego się dało

z rosyjskiego, pozwoliło mu ustalić, jak dojechać do KarŁagu. Niebagatelną rolę odegrał w tym wszystkim przewodnik Lonely Planet. Jednak publikacja ta nie wspominała, że czekając na autobus, zobaczy się bezdomnych bijących się o pozostałości dworcowej popielniczki. Staszek przytulił się nieco bardziej do swojego plecaka, gdy widział te walki. Kobieta z rozdartą bluzką pluła w twarz dość masywnemu chłopu w watowanej kurtce. Na to, on uderzył ją w twarz. Wydawało się, że będzie to koniec starcia, ale ona rozdarła koszulę i ze swoją czerwoną piersią rzuciła się na ziemię, wydając z siebie wrzask, który przerażał. Staszek zrozumiał, że tylko jego, bo cała reszta dworca udawała, że nie widzi zajścia.

Karaganda nie robiła niczego, żeby ułatwić turystom dotarcie do największej atrakcji okolicy. Staszek spędził jakieś czterdzieści minut na peronie, aż w końcu udało mu się zaprzyjaźnić z górnikami z Temirtau, którzy pokazali mu, jak ma jechać. Będąc już na pokładzie, Staszek często klikał Google Mapy i widział, że zbliża się do KarŁagu. Im bardziej oglądał mapę, tym mniej miało to sensu. W końcu autobus wyrzucił go na końcu świata. Rzucił okiem na znak witający odwiedzających i poszedł na piechotę. Jakies dwa kilometry później wyszedł na muzeum KarŁag. Zapłacił za wstęp i oddał się zwiedzaniu. Zajęło mu jakieś dziewięćdziesiąt minut i dwadzieścia zdjęć. Wyszedł. Stał przed muzeum. Zrozumiał, że nie ma pojęcia, gdzie jest i co robi. Zasepił się.

Stałby tak pewnie do dzisiaj, gdyby nie taksiarz, który go zawołał.

- *Bus stop?*

Wychodziło mu, że nie. Że musi odejść od muzeum i iść w step. Ale gdzie, dokąd? Gdzieś, dokądś. Gdzieś tam była wioska skandynawskich hipsterów. Poszedł z buta, przeszedł kilka osad ludzkich. Zaczynało się ściemniać.

Robiło się chłodno, ale jego namiot był gotowy na takie wyzwania. Ostatecznie gościna Kazachów wygrała, i Staszek spędził noc przy kominku, w jakimś rozpadającym się baraku. W cieple i luksusie, chociaż nie miał jak się umyć.

Zrozumiał już dobrze, że woda na stepie to pewien luksus. Właściwie im bardziej patrzył, tym bardziej widział, że niemal wszystko na stepie to luksus, jedynie pył dostępny był bez ograniczeń.

O poranku wyruszył przed siebie. Gospodarze poklepalili go po plecach i pytali, po co idzie w step. Staszek nie wiedział, jak im powiedzieć, że poszukuje utopijnej wioski pośrodku niczego. Powiedział nazwę, ale wyglądało na to, że lokalni nigdy jej nie słyszeli.

Po jakichś dwóch godzinach spaceru spotkał starego Kazacha z kozami. Staszekowi udało się skomunikować i człowiek ten powiedział mu, że dobrze idzie, że tak, że jest tam takie coś, gdzie mieszkają *inostrańcy*. Że jeszcze jakieś pięć kilometrów prosto i znajdzie. Staszek nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, przez cały dzień snucia się po stepie stracił nadzieję, że *Phantasmagoria* istnieje. Gdyby nie to, że jego finansowe być lub nie być zależało od tego projektu, wycofałby się już dawno. Teraz ruszył pełen energii i wiary w sukces. Wprawdzie na stepie trudno zorientować cokolwiek, ale iść prosto przed siebie nie jest przesadnie trudno, nawet dla kogoś mało zaznajomionego z realiami Azji Środkowej. Już po trzydziestu minutach Staszek zaczął widzieć swój cel. Jakieś zabudowania. Jeszcze piętnaście minut i stanął przy osiedlu.

W tym momencie dopiero dotarło do niego, że za bardzo nie wie, co powiedzieć. Czy przyznawać się, że jest dziennikarzem? Ludzie zamieszkujący w takim miejscu raczej nie szukali rozgłosu. Skłamać? Ale co

wtedy, zgubiłem się i przypadkiem szedłem jakieś dwa dni po stepie, w kierunku przeciwnym do cywilizacji? W końcu Staszek postanowił powiedzieć kawałek prawdy. Potrzebował jeszcze znaleźć kogoś, kto mógłby być nią zainteresowany. Tymczasem wszedł już między zabudowania, a nikt się nim nie interesował.

„Używają paneli słonecznych, czyli tak pozyskują energię” – zanotował w głowie, patrząc na dachy zabudowań. Każda przestrzeń zwrócona ku niebu miała panele. Staszek chodził chwilę i obserwował. Zdążył zobaczyć, że wszystkie budynki są jednopiętrowe, że jest kilka szklarni, że stoi wielka cysterna z wodą. W końcu z jednego z budynków wyszli ludzie. Prawie ich cofnęło, gdy zobaczyli, że mają gości. *„Teraz albo nigdy”* – pomyślał Staszek, modląc się w duchu, żeby nie wzięli go za złodzieja.

- *Dzień dobry, nazywam się Stanisław, jestem z Polski* – odezwał się po angielsku, zakładając, że napotkani ludzie będą znali ten język.

- *Dzień dobry, jestem Sven, ze Szwecji* – odpowiedział wysoki blondyn. - *Skąd się tu wzięłeś?*

- *Przeczytałem o was na blogu twojego rodaka i przyjechałem was odwiedzić.*

„Teraz albo spuszcza po brzytwie, albo mnie kupią” – pomyślał Staszek.

Jego obawy okazały się przesadzone. Powitano go i zapytano, co wie o ich eksperymentalnej społeczności. Staszek przeczytał wpis na blogu jakieś dwadzieścia razy, więc miał coś do powiedzenia. Że wie, że eksperyment, że wie, że ekologia, że życie poza światem. Zastanawiał się, czy wypada pytać, ale szczęśliwie okazało się, że Sven jest rozmowny. Stali na środku osady i Szwed opowiadał mu o koncepcji miejsca. Że jakieś sześć lat wcześniej

grupa młodych i dynamicznych pracowników prężnej firmy międzynarodowej spędzała wspólnie popołudnie w rodzimej Szwecji. Była niedziela, w poniedziałek musieli wrócić do pracy w jednym ze szklanych wieżowców Sztokholmu. Wszyscy zebrani dostawali niemal torsji na myśl o tym, że będą znowu musieli odbić kartę w korporacji i spędzić pięć dni za biurkami wykonując prace, których celowość poddawali w wątpliwość. Ktoś powiedział, że trzeba to wszystko rzucić i jechać w diabły, inni podchwycili. Oczywiście odbywali takie rozmowy już wcześniej, ale tego dnia było inaczej. Zamiast to wyśmiać, iść do domów, a potem wrócić do szklanych wieżowców, zaczęli traktować to na poważnie.

- Ten trend w Polsce jest dość popularny, tylko zwyczajowo ludzie rzucają wszystko i wyjeżdżają w Bieszczady.

- I jak im idzie? – zainteresował się Sven.

- Zazwyczaj tak sobie, po jakichś dwóch latach wracają do pracy, bo odkrywają, że życie na wsi to nie bajka, zarabianie pieniędzy z pracy rąk nie jest łatwe, a rachunki z czegoś jednak muszą płacić.

- Widzisz, tu popełniają błąd. Odjechanie kilkudziesięciu kilometrów od miasta nie oznacza zerwania z cywilizacją. Zawsze cię dopadnie jakiś urząd skarbowy, podatki, rachunki – widać było, że Sven ma gotową dużo dłuższą listę nieprzyjemności, które oferuje obywatelowi państwo.

- W Kazachstanie nie ma podatków?

- Są, ale to grosze. Jak pewnie zauważyłeś po drodze, nikt tu nie chce mieszkać. Kraj jest ogromny, ludności niewiele, a kto może, dawno wyjechał lub mieszka w miastach. Na stepie zostało trochę potomków zesłańców i pasterzy, którzy nie mają dokąd się wynieść. Przestrzenie są tu ogromne, mieszkamy w miarę blisko osad ludzkich, ale w środkowym Kazachstanie nie ma żywej duszy nierzadko przez setki kilometrów.

Kupiliśmy kawałek ziemi na stepie za dwa tysiące dolarów, a urzędnik, który nam ją sprzedał, prawie tańczył ze szczęścia. Krajowi marzy się ściąganie nowych inwestycji. Raczej nie chodzi im o ludzi naszego pokroju, ale to nie ma znaczenia. Nikt nie chce tu mieszkać, nigdy nie mieliśmy żadnej wizyty od skarbówki. Jedyne, co nas co jakiś czas dopada, to konieczność wyprawy do Nur-Sultan w celu przedłużenia wizy. Czasem komuś kończy się ważność paszportu, a nie chcemy mieć kłopotów z prawem międzynarodowym. To są nasze jedyne wydatki. A, jest jeszcze woda. Co kilka tygodni przyjeżdża cysterna. Zbieramy deszczówkę, topimy śnieg, powoli dochodzimy do punktu, w którym będziemy samowystarczalni. Śniegu tu nigdy nie brakuje, kwestią jest tylko zbudowanie zbiorników do jego przechowywania, co powinniśmy wkrótce ukończyć – z prędkością karabinu maszynowego Szwed wyjaśnił gościowi aspekty życia poza światem. Staszek zrozumiał już, dlaczego czasem zdarzało się komuś spotkać członków komuny w innych miastach. Miał ochotę robić notatki, ale nie chciał się ujawnić, więc miał tylko nadzieję, że zapamięta wszystko, co dość żwawo wyjaśniał mu Sven. Miał jakąś setkę pytań, szybko zadał pierwsze z brzegu:

- To jak zarabiacie pieniądze na opłaty wizowe i wodę?

- Nie potrzebujemy pieniędzy, wystarcza nam to, co kiedyś zarobiliśmy. Nie wybraliśmy tego miejsca bez powodu. To znaczy, jeden z nas był kiedyś w Kazachstanie i stwierdził, że to idealny kraj do życia poza światem. Jeszcze zanim wszystko rzuciliśmy, przyjechaliśmy tu na kilka tygodni. Miejsce wydało się nam stworzone do naszych celów. Już ci mówiłem, że ludności lokalnej jest bardzo mało, turyści się tu nie zapuszczają. Lokalny koloryt korupcyjny pozwolił to tanio kupić, i tyle.

- Co robicie całymi dniami? – zapytał Staszek.

- Co chcemy – odpowiedział Sven. - *Chodź, pokażę ci, co już stworzyliśmy. Widzisz ten niebieski budynek? To szkoła. Na razie mamy tu tylko dwójkę dzieci, ale pewnie kiedyś będzie więcej. Oczywiście nie ma ocen, czy egzaminów. Gdyby jednak pewnego dnia nasze dzieci miały ochotę wrócić do świata, to będą miały taką możliwość.*

- *Jakiego języka ich uczycie? Szwedzkiego?*

- *Rodzice decydują, ale ponieważ mamy ludzi z kilku różnych krajów, to postanowiliśmy, że wszyscy mówią po angielsku, bo i tak ten język znaliśmy. Dołączyła do nas dwójka Kazachów, oni tak sobie, ale powoli się uczą. Za to uczą nas rosyjskiego, co może okazać się dość przydatne w kontaktach z urzędami. Poza tym uczymy matematyki, rolnictwa i czegoś, co nazwałbyś ekologią, a dla nas jest wiedzą niezbędną do życia. Zresztą nie tylko dzieci się uczą, my wszyscy się uczymy. Nie miałem pojęcia o rolnictwie na stepie, ale znałem Akse, rolniczkę z Finlandii. Zgodziła się przyjechać tu z nami na dwa tygodnie. Została cztery, wyjechała, a po pół roku wróciła na stałe. Początki wyglądały strasznie, ledwo skończyło się lato, które wszystko nam wysuszyło, zaczęła się zima, mrozy po -30 stopni. Musieliśmy pojechać do Karagandy i tam przeczekać do marca. Nauczyliśmy się, że koniecznie musimy opracować system ogrzewania. Kupiliśmy panele, a jeden z nas znał architekta, który zgodził się przygotować dla nas plan domu z przepływem powietrza. Dzięki temu nawet w lecie jest o wiele przyjemniej, niż gdy zaczynaliśmy.*

Staszek słuchał z pasją. Zaczynał mieć coraz więcej do napisania dla *Outback*. Właściwie już miał tyle informacji, że by wystarczyło, a Sven nie wydawał się znużony opowiadaniem o swoim niecodziennym projekcie. Szkoła była niebieska, klasa to po prostu pokój, bez tablicy, z krzesłami

ustawionymi w koło. Potem przeszli do pralni, najnowszej dobudówki do kampusu. Sven zapewniał go, że nie chcieli mieć pralki, a pranie w warunkach ograniczonego dostępu do wody nie jest łatwe, więc postawili na kijanki, które nie potrzebowały zbyt wiele wody, a zużyta można jeszcze było wykorzystać w toalecie lub rolnictwie. Ogródek był względnie tradycyjny, aczkolwiek z wykorzystaniem zdobyczy wiedzy z gospodarstw innych krajów. Jakość gleby była fatalna, ale kombinacja upraw sprawiała, że coś rosło. Rósł nawet tytoń. Staszek zastanawiał się, czy nie potwierdzi stereotypu Polaka jeżeli zada pytanie, które nagle go naszło, ale szczęśliwie jego przewodnik powiedział pierwszy, że mają nawet bar, pędzą bimber i robią trzy odmiany piwa. Jedynie wino było poza ich zasięgiem.

- *Nie jesteśmy zakonem* – powiedział Sven widząc niedowierzanie w oczach Staszka. – *Niektórzy siedzą w barze co wieczór, inni nigdy tam nie chodzą. Robisz, co chcesz. Staszкови przybywało pytań, zaczął robić Svenowi niemal przesłuchanie.*

- *Ile godzin dziennie trzeba pracować?*

- *Ile chcesz.*

- *To niemożliwe. Nikt by w takim układzie nie robił niczego.*

- *Ha, widzisz, w świecie, w którym mieszkasz - tak. Bo tam prace nie mają sensu. Już w XIX wieku Marks pisał o alienacji pracy, co by powiedział, gdyby zobaczył, jak wyglądają nasze życia współcześnie? Wszyscy wybraliśmy, żeby tu żyć. Robimy dla siebie. Jednak nie, nie rozliczamy się z czasu pracy. Jeżeli masz gorszy dzień, chcesz spać, możesz spać. Chcesz się upić, możesz się upić. Nikt nie będzie ci przeszkadzał ani poganiał. Ale takie rzeczy się nie zdarzają, ludzie chcą tu być, chcą poprawiać sobie poziom życia. Wiem, że to dziwne, sam się początkowo bałem, czy to się uda, ale działa już od kilku lat. Zazwyczaj nowi członkowie społeczności*

najpierw pracują jak dzicy, żeby się wykazać, potem mają zjazd i patrzą, czy naprawdę można odpuścić, a potem wylapują sensowny balans między jednym a drugim.

- To jeszcze zapytam: Czy zdarzają się kradzieże, łamanie prawa? W ogóle, jak definiujecie prawo?

- Nie definiujemy. Przecież my tu chcemy być. Kraść za bardzo nie ma czego, jedzenie jest wspólne, jesz, ile masz ochotę, chociaż bywało czasem, że tyle, ile jest. Biblioteka i multimedia są dostępne dla każdego. Co innego ukradniesz, ubrania? I co, będziesz nosił cudze, czy sprzedasz? Zresztą i tak już udaje nam się odchodzić od produktów szwalni na rzecz własnego życia. Mamy trochę baranów, wszystkiego z wełny nie zrobisz, ale wcale niemało rzeczy tak.

- Jak spędzacie czas wolny?

- Jak tylko chcesz. Pozbieraliśmy trochę książek, mamy kilkanaście tysięcy filmów. Nie mamy internetu, ale z wyboru. Nawet gdybyśmy mogli mieć, to byśmy go nie mieli. Jeżeli czasem czegoś potrzebujemy, dotarcie do Karagandy zajmuje pół dnia, chociaż znamy parę osób, które mieszka na stepie i mają łączą. Trzymamy to na możliwość dramatycznych sytuacji. Jedyne, czego nam się nie udało, póki co, rozwiązać, to służba zdrowia. Mamy jedną byłą pielęgniarkę. Idziemy też na pewien kompromis: jeżeli ktoś miałby zawał, to nie ma mowy, że bylibyśmy w stanie dostarczyć go do szpitala. Jednak to ryzyko nie spędza nam snu z powiek, średnia wieku jest raczej niska, najstarsi dobijają do pięćdziesiątki. No jak często ktoś z twoich znajomych zapada na zdrowiu i trafia do szpitala?

- Czy zdarzyło się, że ktoś uciekł?

- Nie ma jak uciec, nikt tu nikogo nie trzyma na siłę. Bywali ludzie, którzy przyszli, a potem odeszli. Niektórzy po jakimś czasie wrócili, inni odeszli na dobre. Uprzedzę twoje kolejne pytanie: nie mam pojęcia, co z nimi.

Kolacja składała się z produktów stepu i przetwórstwa. Ser kozi, do picia woda lub maślanka, pieczywo z pieca typu tandoori, papryka, ziemniaki, małe pomidory, dużo kiszzonek, dżem z jakichś podejrzanych jagód, których nazwy Staszek nie mógł zrozumieć.

„W lecie mamy więcej świeżych warzyw, ale zima i początek wiosny to czas przetworów” – wyjaśnił mu ktoś przy posiłku. Staszka dziwiło, że nikogo nie interesuje, po co przyjechał. Również temat noclegu wydawał się rozwiązać sam, zaproponowano mu osobną chatkę zbudowaną w poetyce jurty. Jeszcze przed snem poszedł do łazienki. Spodziewał się dziury w ziemi, a tymczasem czekała na niego toaleta w drewnie, ze zbiornikami do zbierania odchodów. Gdzieś w trakcie rozmów wyjaśniono mu, że ludzkie fekalia nie są zbyt dobrym nawozem, ale po odpowiednim przetworzeniu można je wykorzystać do niektórych upraw.

W nocy Staszek słyszał dziwny szum. Dopiero po jakimś czasie zauważył, że teren za jego domem, ostatnim w osadzie, pełen był wiatraków, które przetwarzały wiatr na energię. Przy tym jak bardzo wiało, zdał sobie sprawę, że na kazachskim stepie tego zasobu nigdy nie zabraknie, tak więc energetycznie wioska była bezpieczna.

Obudził się dość wcześnie rano i zaczął myśleć o tym, czego jeszcze chciałby się dowiedzieć. Zapisywał skrętnie wszystko, co pamiętał z poprzedniego wieczora. Wiedział już, jak mieszkańcy zaspokajają zapotrzebowanie na energię, jak rozwiązyali problem wody i jedzenia pośrodku pustkowia.

System grzewczy też działał bez zarzutu, mimo niskich temperatur, w środku było rozsądnie ciepło. Oczywiście nie aż tak, jak w karagandzkim hostelu, ale bez problemu dało się komfortowo siedzieć bez kurtki, można nawet było pokusić się o zdjęcie bluzy. Miał już dobre kilka stron notatek, kiedy rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi.

- *Wstaniesz, czy chcesz zjeść później?*

Staszek pospieszył na śniadanie. Zastanawiał się, czy w pewnym momencie nie wykończy gospodarzy, jednak wydawało się im nie przeszkadzać odpowiadanie na setki pytań. „*Może to przez siedzenie w tej głuszy?*” – myślał Staszek. „*Nudzi im się, to gadają z byle kim*” – pomyślał nieco bardziej realistycznie.

Podczas śniadania jakoś wywiązało się z rozmów, że Staszek zostanie jeszcze dzień, potowarzyszy mieszkańcom w ich codziennych obowiązkach, a następnego poranka wróci do cywilizacji. Nawet nie wiedział do końca, jak to się złożyło, że nakierowali go w stronę przemysłów tego typu, że powinien się spakować.

Najpierw poszedł do szkoły. Pooglądał chwilę lekcję matematyki, wyglądała raczej podobnie do tego, co można zobaczyć w szkołach. Trochę zaczął się nudzić i poszedł do pralni. Tam trwało wielkie zwijanie prania, które wyschło. Chciał być przydatny i nawet mu się to udało. W kuchni działo się to, co zazwyczaj dzieje się w kuchni; dwóch Kazachów gotowało. Przywitali go przyjaźnie, ale umiarkowanie wylewnie. Pokazali mu piecyk, w którym palili kombinacją drewna i łąjna. Ku jego zaskoczeniu, zobaczył w kuchni opakowania po soli. Oczywiście o nie zapytał, w odpowiedzi usłyszał, że nie ma skąd wziąć soli, więc co jakiś czas kupują. Jeden z Kazachów, Timur, wyjaśnił mu, że proces pozyskiwania soli ze słonej wody jest banalny, ale nie

będą jeździć setek kilometrów, żeby w sposób chałupniczy zdobywać sól, skoro można kupić ją na kilogramy kilkanaście kilometrów od ich osady.

Staszek miał nadzieję złapać ich na jakiejś strasznej hipokryzji, głupocie, fanatyzmie, ale nie udawało mu się to. Postanowił nie pytać o religię, bo nie znalazł żadnych śladów, które wskazywałyby na to, że ktokolwiek z mieszkańców był wierzący w sposób widoczny z zewnątrz.

Został mu już tylko jeden budynek. Spodziewał się kolejnego magazynu (znalazł już kilka, wszystkie idealnie czyste i zinwentaryzowane), a tymczasem trafił na bibliotekę, o której słyszał dzień wcześniej. Książki skatalogowane były mniej więcej systemem Deweya. Leżało kilka czytników, trochę płyt i dużo dysków twardych. Biała ściana służyła jako ekran, projektor wisiał pod sufitem, kable prowadziły do szafki. Fotele obite materiałem o różnych kolorach stały w rzędach. Kino sprawiało wrażenie większego niż niejedno studyjne. *„Pewnie nie mają reklam”* – pomyślał, patrząc z pewną przyjemnością na to, jak zorganizowano życie kulturalne we wiosce. Na ścianach wisiało kilka obrazków.

W odróżnieniu od pierwszego dnia, drugiego jakoś nie wpadał na mieszkańców tak często. Zastanawiał się, czy go unikają, czy chcą dać mu wolność, czy mieć pewność, że następnego dnia zniknie. Atmosfera podczas kolacji była jednak przyjazna. Staszek dopytał o świątynię wiedzy i dowiedział się, że z czasem ich zainteresowanie dobrami kultury spadło. Że przez pierwszy rok chłonęli filmy i książki. Potem częstotliwość seansów zaczęła spadać. Oczywiście, zgadza się, że coś oglądają, że ktoś coś przeczyta i zachęca innych do tego samego, ale trudno porównać to z pierwszym rokiem ich życia na stepie, kiedy to mieli poczucie nadrabiania wszystkich książek, których czasu czytać nie mieli i gdy zaczytali na śmierć papierową

kopię „*W poszukiwaniu straconego czasu*”. Oczywiście, podczas wizyt w mieście zdarzało im się zaopatrzyć się w nowsze filmy, ale pewnym momencie prawie zapomnieli, że taki aspekt życia istnieje. Staszek miał kłopoty ze zrozumieniem tego, że ci ludzie mają tak wiele czasu, że nie znają poczucia tracenia go, że może nie w proustowski sposób, ale znaleźli go. Nie spieszyli się do pracy, nie spieszyli się z niczym. Oczywiście, mieli niemało obowiązków związanych z dbaniem o budynki i zapewnieniem sobie podstaw bytu, ale Staszek widział, że opracowali system współpracy, który pozwalał im maksymalizować rezultaty i minimalizować nakład sił. I to nie podług tego, jak definiują to korporacje, ale naprawdę.

Staszek zaobserwował, że mieszkańcy zajmowali się czynnościami mogącymi być zdefiniowane jako praca przez jakieś trzy-cztery godziny dziennie. Potem niektórzy drzemali, niektórzy uprawiali sport, dwie osoby grały w ping-ponga, jedna z kobiet rysowała. Ktoś palił skręta. Dwójka dzieci nie wydawała się nudzić, zajmowały się sobą, co jakiś czas przebiegając między budynkami. Najgłośniejszym dźwiękiem była cisza, której towarzyszył słabszy lub mocniejszy wiatr. Przez początkowe kilka godzin Staszek czekał, aż coś się wydarzy, ale potem zrozumiał, że nic się nie wydarzy. Że odkąd upadło ZSRR, nic się tu nie wydarzyło, a pewnie już nawet wcześniej miejsce w wydarzenia nie obfitowało. Że to jest świat poza światem, że nawet jak wybuchnie wielka wojna, to nie dotrze pewnie nawet do Kazachstanu, a jeżeli, to dopiero na samym końcu na ten step.

Po wieczery postanowił spróbować dopaść Svena i wymęczyć go końcówką pytań. Ten nie krył się przed nim, a nawet sam go zapytał:

- *Jak wrażenia?*

Staszek pomyślał, że może mówić szczerze. Zanim zaczął, dostał kolejne pytanie:

- *Czego u nas nie ma, co masz każdego dnia w każdym tak zwanym kraju rozwiniętym? A nawet w Karagandzie?*

- *Reklam. Telefonów. Komputerów.*

- *A także planów pracy, pieniędzy, tłoku, kolejek, automatyzacji pracy i ruchu ulicznego. Zresztą listę można ciągnąć. Czego ci z tego brakowało?*

- *Internetu, wiadomości ze świata.*

- *Po miesiącu tutaj zapominasz, że istnieje. Gdy po pierwszej zimie pojechałem do miasta, to myślałem, że będę siedział godzinami i czytał wiadomości, bo przecież przez kilka miesięcy musiało wydarzyć się tak wiele. Po dwudziestu minutach nie miałem już na to ochoty. Mam skrzynkę pocztową, czasem ktoś napisze. Sprawdzanie jej raz na sześć miesięcy wystarcza.*

- *A jedzenie? Coś do picia innego niż woda?*

- *Możesz sobie dowolnie dodawać ziół, estragon rośnie wszędzie. Jeżeli nie lubisz, to cytryna. Jeżeli masz ochotę na słodczy, bo chyba nie miałeś okazji spróbować, nauczyliśmy się od Gruzinów robić churchellę. Nie jesteśmy pustelnikami, nie chcemy cierpieć. Chcemy tylko żyć według innych zasad niż te, którymi znęca się nad światem legendarny 1%.*

- *A co jeżeli przybędzie więcej osób? Myślicie, że uda wam się utrzymać ten świat poza światem?*

- *Nie wiemy. Na razie akceptujemy każdego. Z jednej strony nie kryjemy się, z drugiej też nie reklamujemy.*

- *To prawda, z trudem znalazłem o was dwie informacje.*

- *O, jakie?*

- Jedna na blogu Twego rodaka, drugą w relacji z podróży pary Szwajcarów.

- Zapomniałem o tym. To mój blog.

- Myślałem, że założyłeś to miejsce?

- Nie, nie, przyjechałem nieco później. Dowiedziałem się od kolegi kolegi, że coś takiego istnieje. Miałem fantazję przejechania całej Azji Środkowej, zwiedzenia Samarkandy i Buchar. Po drodze postanowiłem zobaczyć, czy to miejsce naprawdę działa. Najpierw zostałem na kilka dni, potem wróciłem do świata. Po kilku miesiącach wiedziałem, że wolę być tutaj niż tam.

Potem nastąpiły pożegnania. Następnego ranka Staszek zjadł śniadanie, dostał na drogę duży lawasz z ogórkami i ruszył przed siebie. Miał iść około trzech kilometrów prosto, a po dojściu do drogi czekać na autobus, który zazwyczaj jeździł tamtędy między 10 a 12. Jeżeli nie byłoby go do 13, miał iść w prawo kolejne pięć kilometrów i po dojściu do skrzyżowania, czekać tam. Tam zawsze w końcu coś pojedzie i mieszka kilka osób.

- Mówiłeś, że jesteście poza czasem, a używacie godzin?

- Bo ty ich używasz. Nikt tu nie ma zegarka. Dość łatwo nauczyć się czytania czasu ze słońca. Jednak muszę się wysilić, żeby przeliczyć go na godziny, bo nie używamy tego systemu.

Powrót był znacznie mniej emocjonujący. Droga była, gdzie miała być, autobus pojawił się po jakichś czterdziestu minutach. Wczesnym popołudniem Staszek był z powrotem w Karagandzie. Postanowił spróbować innego hotelu, z ulgą stwierdził, że w tym mieli internet i chyba nawet czasem sprząтали. Mało go to interesowało, bo miał wszystko, czego

chciał. Ba, miał więcej informacji o tajemniczej osadzie. Siedział i pisał jak w transie przez kilka godzin.

Potem poszedł coś zjeść, wrócił, zobaczył swój tekst i go poprawił. Odpisał na wszystkie maile. Redakcję poinformował, że będzie hit i że do dwóch dni będą mieli wszystko. Nie zrobił zbyt wielu zdjęć, ale kilka miał. Gdy na nie patrzył, widział głównie step i smutne budy, ale wiedział, że z odpowiednimi podpisami będą działały na wyobraźnię. Reportaż o *Phantasmagorii* powoli nabierał kształtu.

Następnego dnia skończył. Postanowił wyjść na spacer, wrócić, po raz ostatni poprawić tekst, wysłać go i spakować się z pięknego Kazachstanu. Zaczął wierzyć w to, że czeka go kariera, że będzie stałym współpracownikiem *Outback* i będzie mógł tak jeździć po świecie, pisać, a przy tym nawet zarabiać.

Gdy spacerował po Karagandzie, uderzył go natłok hałasu. Centrum handlowe wystawiło głośnik przed wejściem i informowało o promocjach, Staszewski wydawało się, że na kawior. Gdy przechodził przez ulicę, prawie przejechał go autobus. Kierowca zareagował w sposób standardowy, czyli wymachując rękoma i pokrzykując. Staszek poszedł na dworzec i gdy kupował bilet do Ałma Aty, zobaczył bójkę dwóch najpewniej bezdomnych. W kasie nakrzyczała na niego pani, że nie podoba jej się jego paszport, bo kto to widział, żeby takie dziwne litery wpisywać i jej tego system nie przyjmie. Bilet w końcu kupił, ale zajęło mu to ponad trzydzieści minut. Pociąg odjeżdżał następnego dnia o 11:42, więc miał jeszcze dużo czasu na różne przyjemności. Wysłał w końcu swój artykuł do *Outback* i poszedł świętować do baru. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że jest obcokrajowcem, więc co jakiś czas chciano z nim rozmawiać. Jego zdolność do

komunikowania się po rosyjsku uległa znacznej poprawie w ciągu tych paru dni, głównie dzięki temu, że wszyscy zadawali dokładnie te same pytania. Skąd jesteś, po co przyjechałeś, czy podoba ci się Kazachstan. I tak co chwilę. Zamówił lokalne danie, *beshbarmak*. Dostał talerz dymiącego makaronu z mięsem. W połowie się poddał. Wszystko było za tłuste i za ciężkie. Do tego chciał wyjść, bo doczepił się do niego dość wiekowy Kazach, który chciał ustalić, dlaczego Staszek nie jest muzułmaninem i kiedy się konwertuje.

Do hotelu wrócił po północy. Wypił jeszcze dwa piwa i poszedł spać. Rano skrzynka mailowa powitała go kilkoma mailami, ale najważniejszy był ten z czasopisma. Dziękowali, pisali, że trochę korekt, sugerowali wpojenie sobie, że nie ma *will* po *if*, ale ogólnie byli kontent.

Staszek pomyślał sobie o tym, co go spotkało, odkąd powrócił do cywilizacji. Jedzenie było fatalne, miasto nieprzyjemne. Zrozumiał, co mówił Sven o tym, że po przerwie, internet nie jest taki fajny jak wtedy, gdy używa się go nałogowo. „*Ludzie, ludzie to piekło*” – właściwie wszystkie interakcje ze światem powodowały, że przypominała mu się myśl Sartre’a. Przeszedł się, zapalił i powoli napisał maila do *Outback*.

Droga redakcjo,

Postanowiłem przyznać się, że zmyśliłem cały artykuł. Tak naprawdę nigdy nie wyjechałem z Warszawy, a zdjęcia wam przesłane, pochodzą z Żerania wschodniego. Nie ma żadnej wioski. Chciałem zobaczyć, czy dam radę was oszukać.

Z poważaniem,

Stanisław

P.S. Zapamiętam, że nie ma will po if, a if po will

Wziął głęboki oddech. Wcisnął “wyślij”. Wyłączył komputer. Poszedł w stronę dworca autobusowego. Drogę już znał. Wiedział, że przy odrobinie szczęścia zdąży na kolację.

Fenek Mossadu

Dzień zmierzał ku końcowi. Słońce powoli przesuwało się nad Morzem Kaspijskim, jak to zwykle czynić o tej porze. Było dokładnie 19.4 stopni Celsjusza. Od wody wiał przyjemny, orzeźwiający wiatr, który niósł ze sobą charakterystyczny zapach prymitywnej infrastruktury przemysłowo-ryboprzetwórczej. Nad młodym miastem panowała cisza czasem jedynie zakłócana przez przejeżdżający samochód lub autobus. Gdyby Aktau znajdowało się we Francji lub we Włoszech, mieszkańcy siedzieliby w licznych nadmorskich kawiarenkach i pili kawę. Jednak w Aktau nie było kawiarenek ani żadnej infrastruktury, bo Aktau znajdowało się w Kazachskiej Republice Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i nie było zainteresowane wzorowaniem się na zachodnich modach. Nawet gdyby było, to panujące trendy urbanistyczno-kulturalne nie pozwoliłyby na zbytnie rozwinięcie skrzydeł tej tendencji zagospodarowania przestrzeni. W zamian Aktau zainteresowane było ropą, gazem ziemnym i budową elektrowni atomowej. Chociaż trudno uznać to za magnes na turystów mogący się równać z wieżą Eiffla lub piramidami w Gizie, to tego majowego wieczora jedyna przyjezdna osoba w mieście była właśnie tymi tematami bardzo, ale to bardzo, zainteresowana. Jeżeli dodamy do tego kilkanaście osób żywo kibicujących jej wyprawie, to wówczas osiągniemy poziomy fascynacji, jakich nadmorskie miasto nie zarejestrowało w swej historii nigdy wcześniej ani później.

Szulamit Gabbai, kryptonim >>Fenek<<, zmęczonym krokiem przeszła koło stadionu piłkarskiego klubu *Stroitiel*. Nogi wchodziły jej we wiadomą część ciała, ukrytą pod czarnym strojem. Odczuwając ten dyskomfort związany

z długim spacerem, miała serdecznie dosyć niekompetencji swoich przełożonych. To właśnie dzięki niej spędziła ostatnie czternaście godzin w pełnym słońcu pustyni, przemierzając jedno z najbardziej zapomnianych miejsc w Związku Radzieckim, a nawet w Kazachskiej Republice Radzieckiej.

Jej przybycie zaczęło się od skoku ze spadochronem. Ten nie był dla niej żadnym wyzwaniem, wytyczne głośiły, że po lądowaniu ma kierować się do rachitycznego światełka na południe od miejsca zrzutu. Po kilku godzinach nocnego przemykania się po plażach Morza Kaspijskiego Szulamit odkryła, że pilot samolotu, lub też nawigator, musiał nieco pomylić trasę, bo po przemaszerowaniu odpowiedniej liczby kilometrów, zamiast dotrzeć do Aktau, dzień przywitała w Jeraliewie. Odtwarzając w głowie mapę regionu zrozumiała, że zamiast przelecieć nieco na północ od miejsca docelowego, to przefrunęli nieco na południe. Z perspektywy niebios, dystans siedemdziesięciu kilometrów jest ledwo zauważalny, jednak z perspektywy butów, to już odległość znacznie bardziej odczuwalna. Coś, co miało być względnie krótkim zadaniem, okazało się być męką.

Względem początkowego planu, Szulamit miała dziesięć godzin opóźnienia, gdy docierała do Aktau. Była też okrutnie zmęczona, brudna i głodna. Aby nie przyciągać uwagi, początkowo przemieszczała się z dala od głównych dróg. Gdy wylądowała, noc była ciemna niczym pióra kruka. Przemykała się spieszonym krokiem, wybierając najciemniejsze miejsca, czyli właściwie jakiegokolwiek. Po dwóch godzinach zaczęła nieco łagodzić środki ostrożności i pozwoliła sobie na spacer drogą. Okazało się, że przez wiele godzin nie zobaczyła żywej duszy ani pojazdu mechanicznego. Właściwa dla tej części Związku Radzieckiego struktura infrastruktury powodowała, że nie było

możliwości zdobycia niczego do picia. Dopiero po dotarciu na przedmieścia Aktau znalazła sklep, w którym nabyła jedyny dostępny napój, czyli piwo Szymkient i suszoną rybę. Transakcja ta mogła ściągnąć podejrzenie na Szulamit: kobieta kupująca piwo? Płacąca pięciorublowką i nieprzeliczająca dokładnie wydanych kopiejek? Dająca się oszukać na 20 kopiejek? Mówiąca po rosyjsku w dziwnym wariacie, który spece mogli zdiagnozować jako dalekowschodni? To powinno wzbudzić podejrzenia, ale w tej części świata i rzeczywistości mieszkańców nic już nie dziwiło. Szulamit spożyła piwo, zagryzając suszoną rybą i wymęczona całodziennym spacerem kontynuowała swój pochód do Aktau. Gdyby ktoś ją spytał, to przyjechała z Birobidżanu w poszukiwaniu wujka. To powinno wystarczyć, by wyjaśnić sposób, w jaki Fenek mówi po rosyjsku i jej brak obycia z lokalnymi zwyczajami.

Gdy mijала stadion piłkarski, dochodziła godzina 20. Na spotkanie ze swoim kontaktem była spóźniona około jedenastu godzin. Była też wykończona, a nawet nie zaczęła realizować bardzo ważnej i tajnej misji.

Oczywiście w świecie służb wywiadowczych nikt nie umawia się na bardzo konkretną godzinę. Tu dodatkowym problemem było to, że nie do końca udało się ustalić, czy obie strony tak samo rozumieją różnice w strefach czasowych. Dopiero po dotarciu do Jeraliewa, Szulamit zorientowała się, że nie do końca potwierdzili strefę czasową tej części ZSRR i wybrali czas moskiewski. Pocieszyła się myślą, że godzina w jedną, czy drugą, to nie taki wielki problem, gdy spóźnienie przebiega godzin jedenaście. Przy stadionie Szulamit miała spotkać lokalnego sympatyka ich sprawy. Wiedziała, że ma na imię Żanat, a jego znakiem rozpoznawczym miała być watowana kurtka i to, że będzie palił papierosa. Miał być pośród tłumu nielegalnie sprzedających bilety przed stadionem. Hasło: *czy mogę kupić bilety na*

dzisiejszy mecz na trybunę gospodarzy? Odzew: dzisiaj wstęp tylko dla gości. Sprawa wymyślona genialnie i minimalizująca szanse wpadki.

Pod warunkiem że nie wyląduje się kilkadziesiąt kilometrów w złą stronę od punktu docelowego!

Odgłosy dobiegające ze stadionu wskazywały ponad wszelką wątpliwość na to, że mecz trwa. Okrążenie obiektu pozwoliło na stwierdzenie, że potencjalnych Żanatów jest kilkunastu, bo watowana kurtka i palenie papierosa były absolutnie obowiązkowym elementem stroju każdego mężczyzny w zasięgu wzroku. Szulamit zastanawiała się, czy jej misja ma jeszcze szanse powodzenia i czy Żanat nie pomyślał, że skoro nie pojawiła się o umówionej godzinie, to została zdemaskowana. Gdy tak rozmyślała, podszedł do niej mężczyzna i powiedział:

- Dzisiaj wstęp tylko dla gości.

Ten sposób nawiązania kontaktu łamał wszystkie zasady konspiracji. Desperacja nie jest dobrym doradcą, ale znajdująca się w tym stanie duchowym Szulamit postanowiła zaryzykować:

- Czy mogę kupić bilety na dzisiejszy mecz na trybunę gospodarzy?

- Ha, to ty, to ty!!! Feeeneeeek! Już myślałem, że nie przyjdiesz. Czekałem od rana, tyle godzin, spaliłem trzy paczki papierosów, myślałem, że mnie okłamali i zrobili sobie ze mnie jaja, ale w końcu jesteś – kontakt z Aktau machał entuzjastycznie ramionami i donośnie cieszył się ze spotkania.

- Aby długo i szczęśliwie żyć, oddychaj przez nos i miej zamknięte usta – syknęła uciszająco ludową mądrość Szulamit. W duchu poczuła się znacznie lepiej. Misję może się jeszcze uda wykonać!

Podczas odprawy powiedziano jej, że Żanat to kontakt wybitnie ekskluzywny, którego zdobycie graniczyło z cudem i związane było z wielkim

ryzykiem. Przyjazna rozmowa podczas spaceru do jego mieszkania nie pozwoliły jej na odkrycie żadnych sekretnych powodów, które mogłyby zdradzić wyjątkowość tego człowieka. Żanat pełnym głosem i z dużą ilością śmiechu pytał ją o to, jak minęła podróż, a przede wszystkim: jak tam w Izraelu? Nagrodą za jego wkład w wielką misję miała być ewakuacja do Tel Avivu. Po dwudziestu minutach Szulamit zaczęła zastanawiać się, czy chce, żeby ten człowiek został za jej sprawą ich kolejnym rodakiem. Po czterdziestu wiedziała już, że nie. Na plus musiała mu zapisać, że zabrał ją do zakładowej stołówki, która, chociaż oficjalnie zamknięta była już od wielu godzin, zgodziła się przyjąć trzy ruble za wydanie dwóch zestawów robotniczych, czyli kaszy gryczanej z małutkimi rybkami smażonymi w głębokim tłuszczu. Po tej wielce prowizorycznej strawie Szulamit poczuła się senna. Po raz pierwszy jej kontakt operacyjny zdobył u niej plusy dodatnie, gdy zaoferował jej nocleg w swoim mieszkaniu. Na pytania o bardzo ważną misję, powiedział, że przecież jutro też jest dzień. Chociaż kwaterunek był daleki od standardów, do jakich przywykła, to możliwość spoczęcia w pozycji horyzontalnej pozwoliła jej przymknąć oko, a nawet oboje, na panujące warunki sanitarne.

Następnego poranka kilkanaście sekund po przebudzeniu Szulamit potrzebowała, żeby zrozumieć, gdzie jest. I po co. Elektrownia nuklearna Mangystau. Czas uciekał, ryzyko rosło z każdą minutą. Przeraziło ją, że zmarnowała tak wiele czasu. Na jej tropie mogły już być lokalne siły wywiadowcze. Przeszukanie mieszkania pozwoliło jej stwierdzić, że Żanata nigdzie nie ma. A co jeżeli zdradził? Postanowiła działać. Wyszła na balkon i stwierdziła, że w razie konieczności może uciec na dach. Zastanawiała się przez chwilę, czy stojąc na balkonie, nie przyciągnie ciekawskich

wspomnień, ale zanim dokonała pełnej analizy ryzyka, usłyszała, że ktoś zмага się z drzwiami wejściowymi. Pseudonim Fenek nadano jej nie bez powodu – jej bardzo długie włochate uszy bezbłędnie wylapywały szelesty otoczenia. Wiedziała więc, że ktoś się zbliża, na długo przed tym, zanim drzwi od mieszkania się otworzyły. Przeczując najgorsze, chwyciła rynnę i bardziej niczym wiewiórka niżli fenek wspięła się na dach.

Panowała złowroga cisza, którą łapały jej szpiczaste uszy. Po chwili Szulamit zajrzała do środka. Po mieszkaniu chodził Żanat, najwyraźniej szukając jej. Skierował się na balkon, więc szybko powróciła na z góry upatrzoną pozycję na górze. Gospodarz wyszedł na balkon i zaczął krzyczeć:

- GDZIE JESTEŚ? HEJ!!! GDZIE JESTEŚ? FENKU, GDZIE JESTEŚ?

W głowie Szulamit zaszedł szybki proces myślowy: nikt tak przeraźliwie głupi nie może być agentem służb specjalnych. Chyba że naszych – dodała szybko, gdy zrozumiała pewną pułapkę myślową, w którą się sama złapała. W kilku słowach poinformowała Żanata o swojej lokalizacji i postanowiła wrócić do mieszkania swojego kontaktu operacyjnego. Gospodarz przyniósł śniadanie i wydawał się być z tego bardzo dumny. Spożywali pilaf z kozim mięsem, a Żanat wspominał więcej niż dobre kilka razy, jak trudno współcześnie zdobyć jakąkolwiek, o dobrej nie mówiąc, koźlinę. Zaprezentował przy tym dość imponującą opowieść o pensji robotnika i problemach ekonomicznych socjalizmu w ZSRR, oferując przy tym wyliczenia zahaczające o liczby urojone, gdy wykazywał, ile lat pracy potrzebne mu będzie do kupna samochodu nie za dewizy.

Szulamit myślała, że misja w samym sercu Związku Radzieckiego będzie tą z najbardziej wyzywających: konspiracja. Dodała dodatkowe dwa piętra trudności na to, że będzie się to działo w Kazachskiej Republice.

Wyskakując z samolotu, była przeświadczona, że każdy jej krok będzie pilnie obserwowany. Zero marginesu na popełnienie błędu. Tymczasem od początku wszystko szło źle, a rzeczywistość wydawała się nie mieć niczego przeciwko. Jej łącznik wydawał się być krańcowo niekompetentny, a podstawowe zasady konspiracji były mu całkowicie obce. Fenek sama przed sobą nie miała odwagi przyznać tego, co dyktowały jej wszystkie, wytrenowane w Mossadzie, zmysły: jej łącznik był idiotą. Myśl ta jednak była zbyt przerażająca, by ją zaakceptować. Zwłaszcza że nadchodził czas wielkiego zadania.

Powodem obecności Szulamit w tej części świata był reaktor atomowy BN-350. Jej młoda ojczyzna chciała zdobyć jego dokładne plany celem budowy takiej samej struktury u siebie. W tym celu wysłali ją przez taki kawał świata. Na miejscu miał czekać na nią kontakt, który za cenę migracji do Izraela zgodził się zdradzić swoją socjalistyczną ojczyznę. Wszystko wskazywało na to, że był to Żanat. Po zakończeniu konsumpcji śniadania i podczas spożywania kolejnej szklanki herbaty nie wydawał się specjalnie zainteresowany bardzo ważnym zadaniem. Szulamit wręcz przeciwnie, dobyła ze swojego podróznego tobołka strój maskujący i korzystając z łazienki, przyodziała się w niego. Gdy wróciła z łazienki (dwuczęściowej, gdzie w jednej części była tylko muszla klozetowa, a w drugiej prysznic, który według zapewnień gospodarza od dawna nie działał), odkryła, że jej człowiek z Aktau zapadł w letarg. Gdy próbowała go przebudzić, użył słów, które wprawdzie знаła bardzo dobrze z syberyjskiego domu rodzinnego, ale już bardzo dawno ich nie słyszała. Po długich próbach nawiązania kontaktu zrozumiała, że czas na start misji został wyznaczony na 16:00 czasu lokalnego. Wtedy jeszcze nie rozumiała, że jakiegokolwiek umówienie godziny

w tej strefie umysłowej było niemożliwe. Nie bez powodu Związek Radziecki wymykał się rozumieniu świata zachodniego. Siedziała więc w swoim kostiumie maskującym w rogu pokoju, czekając na dalsze wskazówki od życia, świata i kontaktu operacyjnego. Stroszyła przy tym swoje długie uszy, monitorując, czy agenci KGB nie wbiegają po schodach.

Wczesnym popołudniem Żanat powstał, odcharknął, jęknął znacząco i rozpoczął przygotowywanie się do misji. Taką przynajmniej nadzieję miała Szulamit widząc, że ten opryskuje się wodą nad miską, potem coś myje w zlewie. Rytuały te zwieńczyło przywdzianie szarego uniformu – *‘To jego strój maskujący!’* – pomyślała, ekscytując się, że wkrótce rozpocznie się zasadnicza część jej pobytu w kraju przodków. Musiało to jeszcze poczekać, bo jej kontakt udał się do toalety i czynił tam rzeczy, które trudno zakwalifikować byłoby jako wielkie momenty w historii człowieczeństwa. W końcu Żanat wynurzył się z czeluści łazienki, wzuł buty i powiedział to magiczne, unikatowe, i z dawna wyczekiwane przez Szulamit, rosyjskie słowo:

- *Pajdiom!*

Po początkowej ekscytacji związanej z rozpoczęciem działania Szulamit zaczęła zastanawiać się, czy nie wychodzą za wcześnie. Było jakieś kilkanaście minut po 17, pełne światło słoneczne, jak to w ładny, majowy dzień. Z balkonu widziała dzieci bawiące się na pustynnym podwórku. Wiele osób chodziło po ulicach, jedni wracali z pracy, inni do niej wychodzili.

- *Może lepiej poczekamy do zmroku?* – zapytała, nie do końca pewna, czego oczekuje, bo opóźnienie wykonania zadania sięgało już doby.

- *Nie, nie można. Bo będę miał wtedy naganę za spóźnienie do pracy, a Wasyl się wścieknie, będzie krzyczał i obetną mi pensję. Zaczynam o 18, musimy już iść, bo nie zdążymy na autobus. Musimy iść!*

Szulamit nie do końca zrozumiała, co też się dzieje, ale przypominając sobie liczne przysłowia i mądrości ludowe, postanowiła uznać, że weszła między wrony i musi krakać tak jak one, więc poszła za przyodzianym w szarą kurtkę Żanatem.

Ledwo wyszli na ulicę, zaczęła denerwować się tym, że jej strój maskujący znacznie odbiegał od tego właściwego dla kobiet w tej części świata. *‘Znowu rozpoznanie skorzystało z niemieckich atlasów z XIX wieku’* – pomyślała do siebie, widząc, jak bardzo jej wygląd odbiega od ogólnie przyjętego w tej strefie kulturowej. Wszystkie kobiety, czy to w jej, czy bardziej podeszłym wieku, chodziły w sukniach do kostek, więc obcisły czarny kombinezon maskujący w warunkach nocnych odcinał się na tle lokalnej społeczności w godzinach popołudniowych. Jednak nie wydawało się to nikomu przeszkadzać, bo i cały ten świat nie wydawał się być zainteresowany niczym poza swoją implozją.

Fenek zastanawiała się, w jaki sposób przemieszczą się do elektrowni skrywającej w sobie reaktor BN-350. Suma jej doświadczeń mówiła, że powinien to być szybki, lokalnie niewyróżniający się, samochód. Szukała takiego wzrokiem. W pewnym momencie Żanat przystanął, oparł się o metalowy słupek, spojrzał na zegarek i powiedział:

- *Dobrze, chyba zaraz będzie.*

W ramach czasu określonych przez niego nadjechał autobus miejski. Jej człowiek z Aktau wsiadł do niego, więc Fenek poszła w jego ślady. Zasady

konspiracji znowu nie były dochowywane, Żanat kupił dwa bilety, płacąc bilonem, potem kłócił się o wydaną resztę, coś tam wytargował i w końcu jeden bilet wręczył jej, a drugi zachował dla siebie. Pasażerowie nie wydawali się w ogóle zainteresowani jej osobą. Potem rozpoczął z kimś rozmowę, która wydała się Szulamit być bardzo zaszyfrowaną. Mówili głównie o cenach ryb i tym, że kawa może będzie w przyszłym tygodniu. Nic nie wydawało się mieć przełożenia na ich obecną sytuację, ale szybko pomyślała, że w realiach Związku Radzieckiego konspiracja musi być na najwyższym poziomie, żeby uniknąć wsypy. W końcu zaczęła mieć poczucie, że misja wkroczyła na właściwy poziom utajenia, skoro tak dobrze wpasowali się w realia lokalne.

Po dokładnie 29 minutach i 14 sekundach odmierzonych na zegarku Tissot, z serii dedykowanej pracownikom Mossadu, autobus zatrzymał się przed wejściem do elektrowni jądrowej Aktau. *‘To tu skrywany jest największy sekret wielkiego mocarstwa, którego zdobycie może odmienić losy świata!’* – pomyślała Szulamit, wysiadając z komunikacji zbiorowej. Jej wyćwiczony wieloletnim treningiem umysł pracował na najwyższych obrotach, myśląc o tym, jak dostać się do środka. Czy czekać do zmierzchu? Czy zdąży przed świtem? Żanat ruszył śmiało przed siebie i, widząc jej wahanie, zachęcił ją do uczynienia tego samego. *‘Może to pułapka?’* – pomyślała nerwowo. Kapsułkę z cyjankiem miała na szyi i była gotowa rozgryźć ją w razie ujęcia. Ruszyła za Żanatem.

Pierwszą bramę pokonali bez przeszkód. Siedzący w budce strażnik drzemał i nie był zainteresowany grupą około dwudziestu osób, które dostały się na teren zakładu. Drugiej bramy nie było. Po prostu weszli do zakładu i szli przed siebie. Niektórzy odchodzili na lewo, inni na prawo, a ona z Żanatem zdobywali kolejne metry budynku o strategicznym znaczeniu dla Związku

Radzieckiego. W pewnym momencie i Żanat skrzył, wybrał lewo. Weszli do ciemnego pomieszczenia. Jej przewodnik otworzył szafkę i dobył długi, drewniany kij ze szmatą na końcu. Nieco zadziwiona takim doborem sprzętu, Szumilat przywarła plecami do ściany i nasłuchiwała – to właśnie z powodu długich uszu wiele lat wcześniej wybrano dla niej kod operacyjny >>Fenek<<. *‘Czyli tu się wszystko zaczyna!’* – pomyślała. *‘Teraz!’*. Jednak zachowanie jej kontaktu odbiegało znacznie od tego, czego się spodziewała. Żanat ruszył środkiem hali i wycierał podłogę. Po kilkunastu metrach zaczął pogwizdywać. Po kolejnych kilkunastu śpiewać i nie wydawać przesadnie zatroskanym tym, że mogą zostać usłyszani.

- *Co się dzieje? Kiedy pójdziemy po plany reaktora?* – zapytała go, nieudolnie maskując zdenerwowanie.

- *Najpierw muszę zrobić halę fabryczną. Potem korytarze. Potem dopiero gabinety administracji.*

Kolejne kilkadziesiąt minut Szumilat przemieszczała się obok Żanata, przywierając plecami do ścian i wybierając najbardziej zaciemnione miejsca. Ku jej niedowierzaniu, nie spotkali nikogo zainteresowanego ich działaniami. W końcu koło 21 weszli do głównego gabinetu dyrektora. Żanat niespiesznie otworzył jedną z szafek i poinformował ją, że cel misji znajduje się w środku, to któraś z kilkunastu teczek, ale nie jest pewien, która. Szumilat aż zawirowało w głowie, gdy zobaczyła, jakie dobra skrywają kolejne segregatory. Plany reaktora. Plany okolicznych pól roponośnych. Informacje o bratnich elektrowniach atomowych w innych republikach Związku Radzieckiego. Rozpoczęła robienie zdjęć, jednak jej człowiek powiedział, że może sobie wziąć wszystkie te papiery, bo i tak nikt nigdy tam nie zagląda, a dokumenty giną niemal nieustannie. Gruba warstwa kurzu

i dość chaotyczny sposób organizowania archiwów wydawały się potwierdzać jego słowa. Szumilat opuszczała gabinet dyrektorski, mając przy sobie pełne trzy klisze – wszystkie, z jakimi przybyła z mikroaparatu – i dwa opasłe segregatory. Nie spodziewała się, że jej misja może zakończyć się aż takim sukcesem, że zdobędzie dokumenty nie tylko dotyczące tej elektrowni, ale jeszcze kilku innych. Nauczona doświadczeniem, wychodziła już, idąc środkiem korytarza. Spowalniał ją Żanat, który nalegał na kompleksowe przeprowadzenie prac porządkowych i cały czas mył podłogi, co jakiś czas wyrzynając szmatę do kratki odpływowej i napełniając wiadro z wodą w zakładowych umywalkach, którymi dość szczerze obdzielono korytarze.

W końcu dotarli do punktu wyjścia, czyli kantorku Żanata. Jakby nie podchodząc poważnie do zadania i presji czasowej, rozpoczął on ostateczne płukanie szmat i szczotki.

- *Uciekajmy!* – zasugerowała Szumilat
- *Nie możemy! Zmiana kończy się o 4.*
- *Przecież stąd uciekasz, chodźmy!*
- *Stąd nie da się uciec! Nie ma autobusu pracowniczego przed 4 rano.*

Następne dwie godziny agentka Mossadu spędziła, ucząc się na pamięć planów reaktora w Aktau i kilku z innych miejsc Związku Radzieckiego. W tym czasie Żanat spokojnie spał na biurku. W pewnym momencie zaczął nawet bardzo zdrowo chrapać. W tym czasie Szumilat nerwowo reagowała na każdy dźwięk, których łącznie zebraloby się ze cztery. Coś jakby komuś upadł młotek, kiedy indziej stukot upadającej butelki, potem odpalanej

zapalki. O 4 zawyla fabryczna syrena, a jej kontakt powstal, ogarnal spojrzeniem okolice i wypowiedzial tak dawno oczekiwane przez nia slowa:

- *Idziemy.*

Poszli. Znowu przez wielka hale fabryczna, obok budki straznika. Po drodze mineli przynajmniej kilkadziesiat osob, ktore wchodzil y do zakladu pracy ze smiercia w oczach, wlasciwa dla ludzi w kazdym miejscu swiata, gdy zaczynaja prace i wiedza, ze do jej konca zostalo im jeszcze wiele godzin. Nikt nie interesowal sie tym, ze Szumilat dzwiga segregatory. W koncu dotarli na przystanek przed zakladem, gdzie juz czekal autobus. Usiedli w srodku, a wkrótce przyszl i inni pracownicy. Panowala cisza, niektorzy spali. Kilkanaście minut tryumf Związku Radzieckiego nad dystansem ruszył i powiół wszystkich w strone Aktau. Po kolejnych kilkudziesieciu nieniepokojeni przez nikogo Szumilat i Żanat wysiedli w centrum miasta.

- *Nu, wsjo haraszo* – odezwal sie czlowiek Mossadu w Aktau.

- *Uciekajmy!* – odezwala sie agentka Mossadu.

- *Po co uciekac? Dokad uciekac?*

- *Do Izraela!* – agitowala Szumilat.

- *A co ja w Izraele?* – pytal Żanat.

- *Życie inaczej* – reklamowala swa ojczyzne Szumilat.

- *Ja nie chce życia inaczej* – odparł Żanat.

I tak sie rozstali. Fenek poszla w strone punktu odbioru tajnych agentow, a on do swojego mieszkania. Potem on wiódł proste i szczesliwe życie, a ona nie.

Dalej pracowala ku chwale ojczyzny.

Otchłań

Kiedy spoglądasz w otchłań, ona również patrzy na ciebie.

Szedłem przez centrum europejskiej stolicy. Padało. Po trzech miesiącach w Kiszyniowie nabrałem przeświadczenia, że w tym mieście zawsze pada. Ewentualnie, dla niemiłej odmiany, może też panować wściekły upał. Stanów pośrednich nie stwierdziłem, pewnie dlatego, że byłem uprzedzony. Bycie uprzedzonym rozpocząłem jeszcze zanim wiedziałem, że Kiszyniów istnieje. Dopiero gdy dostałem się tam fizycznie, miałem więcej okazji, niż bym chciał, żeby empirycznie odkryć, że przepisy ruchu drogowego podlegają permanentnej negocjacji społecznej, definiowanej raczej materialistycznie. Owocowało to nierzadko fascynującymi widokami, gdy zderzały się ze sobą racje miejskiego trolejbusu i sportowego samochodu. Po 89 dniach życia w miejscu, o którym nie chce pamiętać Europa, a i za czasów nieboszczki zwanej Związkiem Radzieckim nie cieszyło się przesadną popularnością, przestało mnie to ekscytować.

Przyjechałem we wrześniu, tak żeby załapać się jeszcze na końcówkę upałów, a potem płynnie przejść w szare i deszczowe dni.

Początkowo robiłem zdjęcia dziurom w chodnikach i nawierzchni, ale dość szybko stało się to zajęciem wielce powtarzalnym. Po tygodniu pobytu w stolicy Mołdawii wiedziałem, że życie tamże będzie raczej ciężkie. Kolejne kilka tygodni pocieszałem się tym, że zarabiam dobre trzy krajowe i że mieszkam w najlepszej dzielnicy miasta. Jednak i ten adres nie był wolny od przerw w dostawie energii. Mogłem płakać za Polską i wysmarkiwać się

w banknoty oznakowane jako leje, ale było to kontrproduktywne, a leje były wyjątkowo brudne.

Po pierwszym miesiącu wiedziałem, że popełniłem błąd, przyjmując awans połączony z relokacją na wschód, i to niedaleki. Na dalekim hajs się zgadza, na tym bliskim mniej. Dobijając do końca trzeciego miesiąca pracy w tym kraju, ostatnimi siłami chwytałem się tzw. władz psychicznych. Miałem dosyć i chciałem uciekać. Coraz częściej kwestionowałem sens mojego pobytu w Mołdawii i miałem coraz więcej wątpliwości co do słuszności mojej decyzji związanej z wyjazdem do tego kraju w celu zarobkowym.

Przeżyłem swój moment zaćmienia umysłowego i dałem się ponieść wizji wielkich zarobków, awansów i bycia dyrektorem krajowym. Zachłanność dopada każdego, a gdy pan bóg chce kogoś pokarać, to mu rozum odbiera.

Przez wiele lat bawiły mnie przepychanki, które obserwowałem z punktu widzenia szczębla średniego.

Trzymałem się od outsourcingu tak daleko, jak tylko mogłem. Siedziałem spokojnie w moim kubikulum w szklanym wieżowcu i wiele nie robiłem, poza hodowaniem sobie bębna i wynoszeniem sprzętu biurowego, z naciskiem na owocowe wtorki. I kawy każdego dnia. Jak się ogarnęło termos na dwa litry, to potem w ogóle nie trzeba było już kupować kawy do domu, a dało się nawet zaprosić znajomych na brydża z kawką.

W ten tryb działania przeszła cała firma i okazało się, że nasze wyniki finansowe poprawiły się w stosunku do czasów, gdy trochę bardziej udawaliśmy, że pracujemy. Wynosiliśmy więc owoce, kawkę i zbierali punkty w programach lojalnościowych na koszt kapitalistycznego krwiopijcy czasem zwanego

pracodawcą. Życie było banalnie i rozmowy kulturalne krążyły wokół tematu tego, że podobno komuś kiedyś udało się wymienić punkty lojalnościowe na godzinę z prostytutką, która cierpiała na epilepsję.

Poza prymitywną radością zwierzęcą to wieść gminna głosiła, że potem można odebrać cztery godziny pracy na rzecz aktywizacji chorych. Moja praca w Krakowie sprowadzała się do pozorantwa, udawania, że jestem łąbędziem, a nie gołębiem (tak nam kiedyś kazali na szkoleniu: życie dzieli ludzi na łąbędzie, wróble i gołębie, gdzie TY się znajdziesz?) i czekaniu albo na weekend, albo na święty dzień wypłaty.

Oczywiście takie szczęście nie mogło trwać zbyt długo. Smutni panowie z różnych krajów uznali, że musimy poprawić wydajność, stopę zwrotu, strukturę zatrudnienia i inne wskaźniki. Myślę, że istnieje piekło dla ludzi, których jedynym celem jest optymalizacja. Jedyne, co robią, to krzyczą: poprawiajcie! No to poprawiajcie, może wam nawet zabawnie wyjdzie, tylko czy my też musimy? Czy moglibyście wykluczyć nas z tej imprezy?

Niestety, okazało się, że w tym odcinku przygód mojej korporacji, to ja mam poprawiać. *‘Dobra, zrobi się jakiś durny wykres i napisze, że za dwa lata zarobimy 3%, chyba że inflacja i pogorszenie sytuacji w Nigerii’* – naiwnie myślałem. Zawsze warunkowałem moje prognozy w oparciu o sytuację w Nigerii. Nikt w mojej firmie nie miał pojęcia, gdzie ten kraj się znajduje, w jaki też sposób jest powiązany z naszą działalnością (odpowiedź: w żaden). Nie zdarzało się często, żeby ktoś pytał o tę nieszczęsną Nigerię, ale jeżeli już, to podkreślałem, że to bardzo duży kraj, z niestabilną sytuacją, ale potencjałem możliwości. Ewentualnie dorzucałem jakiś raport o dramatycznej sytuacji kobiet. Obraz sytuacji był tak zaciemniony, że wszyscy zapominali o tym, że mieliśmy zrobić jakiś pieniądz, bo trochę głupio piłować o pieniądz, oglądając obrazki z czystek etnicznych. Przed

dobrze kilka lat Nigeria była moją Kalifornią, Krzemową Doliną i Shenzhen w jednym.

Tym razem jednak miało nie być tak prosto. Przygotowałem obrazki z Nigerii, jakaś susza, jakaś studnia, zagłodzone dzieci, fruujące przy tym owady, zdjęcie krwiożerczego sępa (kto by tam drażył, że padlinożerca), żołdacy z bronią ostrą (jakoś afrykańskie bojówki nie przekonały się do gazowej), smutni ludzie, depresja na całego, parę raportów z gazet o tym, że dramat goni dramat. Że ogólnie na tę chwilę pizda z Nigerią, dochody w dół. Jakieś tęgie głowy uznały, że tym razem Nigeria ich nie interesuje, nasze zyski są za niskie, śrubę pracownikom oczywiście się dokręci i odbierze owocowe wtorki. W telegraficznym skrócie Polska jest zbyt droga, bo tu zapanował jakiś dziki komunizm i matki na bruk nie można wywalić, do tego ludzie chcieliby urlopów. Ale i z takimi wyzwaniem udało się wygrać batalię! Poradzimy sobie z nimi, bo zaraz za płotem mamy o wiele bardziej atrakcyjny kraj.

‘Ukraina...’, naiwnie pomyślałem. Ukraińców w polskich biurach mieliśmy całkiem wielu, więc więcej sensu miało sprowadzenie ich do nas niż nas do nich. Z Ukrainy też bym mógł robić długie prezentacje, że bieda i wojna. Po kilku latach pracy z materiałami z Nigerii mogłem robić nawet wzruszające prezentacje o tym, że w Warszawie jest bieda i wojna, o wioskowej Małopolsce nawet nie mówiąc. Dobra, to zrobi się smutną prezentację o Ukrainie. W tym sezonie to Donbas sprawi, że bogaci kierownicy nie staną się jeszcze bogatszymi kierownikami.

Okazało się, że jaka tam Ukraina, żaden kraj Aleksandrów i Anastazji. Że da się jeszcze taniej. Że jest jeszcze jedna kopalnia złota w dziedzinie outsourcingu. Że jest kraj, gdzie dzieciom dają Alexandru i Ana Maria. Mołdawia.

Co? Jak? Gdzie? Znaczy się: dokąd??? Nigerię to bym jeszcze zrozumiał, ale Kiszyniów, Mołdawia?

Chyba oszaleliście, żeby tam wysłać pracę.

Zanim oddelegowano mnie do pracy w Kiszyniowie, moje jedyne związki z tym krajem ograniczały się do tego, że piłem dwa razy ich wino i mi nie smakowało. Potem więc koncentrowałem się na piciu win z krajów, które mogłem zlokalizować i które mi smakowało. Spotkałem też kiedyś Mołdavianina w pociągu i miał on dobre wino, domowe. Pamiętałem też, że graliśmy z nimi w piłkę na poziomie narodowym i wyjątkowo nie dostaliśmy w ryj. Poza tym moje zainteresowanie tamtą częścią świata było takie, jak statystycznego obywatela, czyli żadne.

Pewnego dnia ludzie, którzy myślą, że drugie S w homo sapiens odpowiada za liczbę mnogą, postanowili wysłać mnie w tę smutną część świata.

Ledwo spadł na mnie zaszczyt wyjazdu i rozwoju kariery w tej byłej republice ZSRR, rozpocząłem szukanie nowej pracy. Jedyne, co znalazłem, informowało dumnie, że tworzy nowe połączenia między Polską a Zachodnim Bengalem w Indiach. Strach przed relokacją do Kalkuty sprawił, że załamany przyjąłem posadę w kraju ze stolicą w Kiszyniowie.

Już wylądowanie na lotnisku pozwoliło mi zrozumieć, dlaczego tak wielu obywateli tego kraju wyjechało szukać szczęścia gdziekolwiek indziej. Obsługa nie mówiła po angielsku, za to skutecznie nakrzyczała na mnie za to, że miałem wizę pracowniczą. Ku memu zaskoczeniu, bagażu mi nie zgubili. Na pociechę oszukał mnie taksówkarz, który wiozł mnie do hotelu.

Wieczorem miałem kolację z przełożonym oddziału mołdawskiego. Próbowałem znaleźć jakieś wskazówki dotyczące różnic kulturowych, które mogłyby mnie zastać w Mołdawii. O Indiach znalazłem bardzo wiele, ale

Mołdawia była terenem nieskalanym działaniami firm zachodnich. Doświadczenia pierwszego wieczoru wskazywały na to, że należy koncentrować się na spożywaniu wina i niemęczeniu się z zadawaniem pytań dotyczących pracy, bo odpowiedzi nie doczekałem się na żadne. Od wtedy minęło prawie 90 dni, a dłużyło się jak 90 lat...

Następny dzień pracodawca zostawił mi na zorientowanie się w nowym mieście. *‘Może minąć jeszcze trochę czasu, zanim Kiszyniów zostanie Paryżem wschodu’* – myślałem, spacerując po bocznych uliczkach i odkrywając, że niektóre miejsca dopiero czekają na tak zwaną rewitalizację. Niektóre, czyli wszystkie.

Dopiero po powrocie do mieszkania na opuszczonym nowoczesnym osiedlu i lekturze internetu zrozumiałem, że miałem trochę szczęścia, że ja ten spacer przeżyłem. Właściwie czego nie czytałem o Kiszyniowie, to okazywało się, że bycie w tym mieście jest zagrożeniem dla życia. Jak nie bandytyzm, to zanieczyszczenie i ruch uliczny wymykający się zdrowemu rozsądkowi. Przeżyjesz te niedogodności, to otruje cię restauracja (jeżeli w jakiegokolwiek się dogadasz). Dyplomatycznie ujmując sprawy, nie zakochałem się w stolicy Mołdawii. *‘Dobra, przysłali mnie tu do roboty, a nie na wakacje, zobaczymy, co będzie w pracy’* – tak sobie wtedy myślałem.

Ledwo włączyłem laptopa następnego dnia, spadły na mnie maile podkreślające wagę wykwalfikowania pracowników. Ilość internetowych szkoleń była raczej przerażająca. Rzucenie ich wszystkich w pracowników spowodowałoby, że nie robiliby niczego innego przez następne kilka dni. Po serii przemysłów stwierdziłem, że mam dwie opcje:

- Napisać do centrali, że jeżeli mamy cokolwiek osiągnąć, to lokalna siła robocza znienawidzi mnie za rozpoczęcie od posadzenia ich

przed serią bezsensownych zadań. Pod znakiem zapytania było, czy naprawdę zrobiliby te kursy. Jeżeli nie, to ryzykiem było, że to ja zostanę obarczony winą za niewykonanie zadań przez pracowników. Wpiszą mi to w papiery, potem uwalą awans, smród za mną będzie się ciągnął latami, cofną mnie do Warszawy – akurat ta część sankcji mi się podobała, pozostałe nie bardzo.

- Znaleźć jakiś sposób, żeby oni te kursy przeklikali i w systemie wyszło, że nasz mołdawski zespół wszedł na najwyższy poziom wtajemniczenia, i że można im zlecać poważniejsze zadania.

Posiedziałem, podrapałem się, gdzie trzeba i poszedłem na spotkanie. Już wchodząc do sali konferencyjnej, miałem poczucie, że nie szanują mnie przesadnie. Wyszedłem do nich z motywującym uśmiechem, który miał im pokazać, że jesteśmy w jednej drużynie, że gramy do jednej bramki. Miny na twarzach współpracowników szybko zdradziły, że sam sobie strzeliłem gola. Po kilku minutach plątania się i patrzenia na ludzi dłubiących w telefonach rozpocząłem robienie kursu BHP na swoim komputerze. Na moje entuzjastyczne pytania nie padały odpowiedzi. Nawet takie pasywno-agresywne. Po dwudziestu minutach złożyłem broń, poprosiłem błagalnie o zalogowanie się do systemu i otwarcie szkolenia.

Obiecałem, że zrobimy je wspólnie. Moja deklaracja sprowadziła się do tego, że przeczytałem wszystkie pytania, potem grzecznie poprosiłem o odpowiedzi, a następnie zderzyłem się z ciszą i sam sobie odpowiedziałem. Grupa spolegliwie zgodziła się zaznaczać moje sugestie na swoich laptopach. W końcu wszyscy zdaliśmy kurs BHP na 95% - bo pomyliłem się w pytaniu, co robić, gdy ktoś wyleje ciecz na dywan.

Wydawało mi się, że zespół jest ożywiony i gotowy na nowe wyzwania.

Nie był.

Następnego dnia biuro powitało mnie ciszą. Odniosłem nieprzyjemne wrażenie, że wszyscy mają mnie za wariata. Kilku pracowników kryło się po pokojach konferencyjnych i grało sobie w gry, które nie były związane z naszą pracą. Reprimendowani otworzyli odpowiednie systemy, w których mogli wykonać szkolenia związane z pracą, którą mieli wykonywać. Po skarceniu kilkunastu osób zasiadłem w biurze i oczekiwałem na wyniki tych cudownych treningów, gdzie omawia się, że nie należy pić płynu do przelewania kibla i gdy pracownik kliknie odpowiednią ikonkę, to kierownik dostaje orgazmu. Oficjalnie powinno zająć trzydzieści minut. Po dziewięćdziesięciu miałem zero wyników. Spacer po biurze zaowocował obserwacją, że nikt ww. szkoleń nie robi, za to cała drużyna wróciła do rozrywek multimedialnych. Zwołałem spotkanie, ale frekwencja nie zachwyciła. Chyba stwierdzono, że po moich wystęпах dzień wcześniej, moje spotkania można zdefiniować jako nudne i bezwartościowe. Niemal błagałem, żeby włączyli szkolenia i łaskawie odznaczali odpowiedzi, które im podawałem.

W końcu przeżyłem olśnienie: przecież to ja im płacę. Znaczy się nie ja, ale mój pryncypał, którego jestem namiestnikiem na tym łożu padole. Zastosowałem terror finansowy. Zwołałem zebranie, czyli spotkanie jeden na jeden z lokalnym dyrektorem. Powiedziałem mu brutalnie, ale szczerze: podejście do pracy musi się zmienić. Nie może być tak, że moje polecenia są ciągle ignorowane i że właściwie nie wiadomo, kto do pracy przychodzi. Wspomniałem też, że tego samego poranka widziałem jednego z jego krajan, który logował do systemu dobre osiem kart. To oznaczało, że tyle też osób nie przyszło do pracy, tylko dało swoje karty koledze. Po dwóch godzinach

desperackich obliczeń i pytania ludzi, kto jest kim, poddałem się i przestałem próbować ustalić, kto też nie przyszedł do pracy.

Gdy koło południa usiadłem do laptopa, zobaczyłem, że moje problemy na ten dzień dopiero się rozpoczęły. Okazało się, że centrala mojej firmy ogłosiła konkurs na czempiona zdrowia psychicznego.

Kilkanaście slajdów prezentacji zważyło mnie z nóg. Nawet w Polsce nie pokazałbym tego ludziom – tych obrazków w ciepłych kolorach, tych dobrze ubranych ludzi, którzy ściskają sobie dłonie i cieszą się życiem.

Pod tym trochę podpisów o tym, że życie jest dobre i jeżeli tylko będziemy dla siebie dobrzy, to świat się wyprostuje i uśmiechnie do nas. Ku memu przerażeniu, zmuszono mnie do ogłoszenia konkursu na – mój umysł nie mógł przeprocesować tego terminu – czempiona zdrowia psychicznego. Kryteria były dość niejasne, ale chodziło o to, żeby znaleźć ludzi, którzy nie mają czego robić z życiem, tylko biegać i pomagać innym. Broń boże jakimś staruszkom czy kotom na drzewach, tylko współpracownikom.

Przeszedłem przez biuro i zobaczyłem, że te szczątki zespołu, który miałem na zakładzie nie pomagał sobie, tylko koncentrował się na robienie wszystkiego, byle nie na zajmowaniu się pracą. Wróciłem do swojego biura i przeczytałem ponownie regulamin konkursu. Niestety, nie mogłem go wygrać jako jedyny uczestnik. Zaplanowałem resztę dnia w blokach po 15 minut, z których każdy przeznaczyłem na jednego pracownika. Rozesłałem maile i rozpocząłem oczekiwania. Ku memu zaskoczeniu, przyszli wszyscy – widocznie ci z biura szybko zadzwonili po tych, którzy nie pofatygowali się z domu w godzinach porannych.

Wymiar poznawczy rozmów dość szybko się zużył i stał powtarzalny. Na pytania o hobby pracownicy mówili, że interesuje ich przeżycie, w ramach planów na przyszłość podawali głównie wielką ochotę na wyjazd z kraju

w kierunku zachodzącego słońca. Taką też większość wskazała motywację do podjęcia pracy w naszej firmie.

Gdy zbliżałem się do końca listy pracowników, trafił się taki, który nie mówił nawet słowa po angielsku. To jednak był najmniejszy problem, bo ubrany był bardzo daleko od nawet wybitnie szerokiego rozumienia terminu business casual. Wszedł do biura i usiadł, brudząc po drodze wykładzinę, a potem krzesło.

‘Cholera, robią te krzesła tak, żeby każdy pracownik czuł się uniżenie względem przełożonego, żeby wywoływać speszenie i ośpienie, a ten to ufajdał jakimś białym pyłem. Jak to teraz wygląda?’ – myślałem.

Dopiero po trzecim pytaniu zorientowałem się, że to nie jest tak, że tak jak inni nie chce brać udziału w coachingu. Nie, on nie rozumiał ani słowa. Zapytał o coś w języku mi nieznanym, a potem chciał odpalić papierosa. Dałem do zrozumienia, że nie wolno. Otworzyłem drzwi, zawołałem kogoś i dopiero po kilku wymianach zdań odkryłem, że to palacz z piwnicznej kotłowni. Gdy panie z HR w Warszawie dały mi listę pracowników, to wpisały na nią wszystkich. Ja wezwałem wszystkich. No to przyszedł. Po tej interakcji byłem bardzo daleko od możliwości wzięcia udziału w konkursie na czempiona zdrowia psychicznego.

Kilka osób później nie byłem wcale bliżej mojego celu. Wszyscy twardo odmawiali współpracy. Ostatecznie wpisałem jedyne personalia, jakie utknęły mi głowie – tego palacza – i zgłosiłem go jako zwycięzcę.

Podejrzewałem, że posypią się za to gromy na mą głowę, ale kto pracował w korporacji, ten w cyrku się nie śmieje. Do kandydatury nie przyczepił się nikt i – wyprzedzając nieco wydarzenia – kilka tygodni później dostałem dla niego dyplom i talony do sklepu sportowego Decathlon. Ponieważ sieć ta nie

funkcjonuje w Mołdawii, nasz zwycięzca mógł tylko nacieszyć się dyplomem wystawionym w języku, którego nie znał.

Czyż nie jest piękna idea współzawodnictwa międzynarodowego? Rytuał przekazania dyplomu odbył się przez moją sekretarkę, a laureat chyba nie do końca zrozumiał, co też się wydarzyło. Ja na pewno nie miałem zamiaru mu tego wyjaśniać.

Cała moja kariera w Kiszyniowie usiana była takimi kwiatkami. Każdy dzień to był kolejny nóż w plecy.

Czasem z przerwą w weekendy, bo wtedy lubiłem się upić i leżeć bez życia. Poza tym wytchnienia od bożka outsourcingu znaleźć nie mogłem.

Przez kilka pierwszych lat pracy w tej firmie próbowałem zrozumieć, czym się zajmujemy. Opis w Google mówił, że jesteśmy prężnie rozwijającą się firmą sektora IT. Sprowadzało się do tego, że pracownicy pierwszego szczebla dzielnie zbierali dane w Excelu. Wyższe piętro pisało algorytmy, które wykorzystywały te dane i robiły fajne zestawienia. Z nich to można było wyczytać, że Kongo jest biedniejsze od Kanady i że lepiej żyje się w Szwajcarii niż w Azerbejdżanie. Na życzenie klienta byliśmy w stanie wykorzystywać inne cenne dane, np. wykazać, że jabłka mają mniej kalorii od czekolady. Dział handlowy wyszukiwał klientów, którzy chcieliby zapłacić za tę twórczość. Rządowe think tanki lubiły kupić coś związanego z rozwojem świata. Firmy prywatne – np. siłownie – miały pasję do tych danych kalorycznych. Z usług korzystały też warsztaty samochodowe (tu mogliśmy z całą pewnością udowodnić, że bogaci wolą mieć Mercedesa niż Forda Fiestę) i szkoły prywatne ('93% naszych absolwentów znajduje pracę zaraz po zakończeniu szkoły', zazwyczaj bez ujawniania szczegółów jakiej jakości to praca). Użyteczność społeczna całej tej maszyny była znikoma,

choć natchnieni wierzyli, że dzięki zbieraniu danych ze sklepów internetowych i ankiet personalnych jesteśmy w stanie przewidywać trendy i wskazywać ścieżki rozwoju świata. Bardziej sceptyczni podkreślali selektywność danych i błąd spoczywający na sposobie ich zbierania. Co bardziej zagorzali rycerze sprawiedliwości uważali, że wszystko to jest jedną wielką dezinformacją.

Żadna korporacja nie zajmuje się jedynie swoim działaniem statusowym. To stanowi około 50% nakładu sił. Cała reszta przypada na okołodziałania, właśnie w stylu wybierania czempionów zdrowia psychicznego, podtrzymywania przy życiu działu HR, którego sekret istnienia stanowi jedną z największych tajemnic ludzkości, niezależnie od branży, w której działają. Właściwa firmom tych rozmiarów tendencja do tworzenia stanowisk zwykła sprawiać, że istnienie wielu posad na każdym szczeblu niezwiązane było z wykonywaniem działalności w jakikolwiek sposób połączonej z oficjalną polityką firmy. Sam przez dobre kilka lat miałbym kłopot z odpowiedzią, co i dlaczego robię. Jednak odkąd właśnie jeden z takich enigmatycznych działów zdecydował się na przekierowanie mnie na front wschodni, moje obowiązki nabrały wymiaru znacznie bardziej realnego, co wcale mnie nie cieszyło, gdyż groziło tym, że pewnego dnia ktoś powie: Sprawdzam! Niestety, w tej sytuacji matematyka, królowa nauk, nie była po mojej stronie. Pozostawało oddalenie możliwości zrobienia mi krzywdy przez konkret i rzucenie się w ramiona nauk społecznych, gdzie wszystko jest negocjowaną abstrakcją i może podlegać indywidualnej interpretacji. Dlatego też pisałem bardzo długie raporty o sukcesie inicjatyw takich, jak czempionat zdrowia psychicznego. Wyczekiwałem z niecierpliwością na kolejne pomysły naszych działów wewnętrznych.

Niestety, wiedziałem, że w Mołdawii obchodzenie czerwca jako miesiąca LGBT się nie uda.

Firma ogłosiła czerwiec miesiącem wychodzenia z szafy, ale nie powiedziałem tego moim pracownikom, bo bałem się, że jeżeli ktoś z nich w to uwierzy i uczyni taki krok, to zostanie przynajmniej ciężko pobity, ledwo wyjdzie z biura. Albo nawet zanim dojdzie do drzwi wyjściowych.

Jednym z największych dogmatów outsourcingu jest wiara w to, że ludzie na drugim końcu świata są tacy sami jak u nas, tylko tam mają nieco inne wartości pigmentu w skórze i kiedy indziej obchodzą święto niepodległości. Inne różnice, które mogą zostać zaakceptowane, to odmienność kształtów domów modlitewnych. Poza tym wszyscy żyjemy w globalnej wiosce i tak samo kochamy każdego poranka przychodzić do hiper rzeczywistości zwanej firmą, pracą, gułagiem.

Jednym z licznych problemów był język komunikacji. Ponieważ pomimo licznych szalonych pomysłów w życiu nie wpadłem nigdy na naukę mołdawskiego, a po rusku umiałem sobie kupić co najwyżej papierosy i piwo, moja komunikacja z kolektywem odbywała się po angielsku. Komunikowaliśmy się więc w języku, którego wszyscy musieliśmy się nauczyć celem robienia karier w szklanych wieżowcach. Dokonaliśmy niezależnie od siebie pewnej prywatyzacji reguł gramatycznych mowy Szekspira, pozbyliśmy się takich dziwów jak present perfect, ograniczyliśmy formy ciągle, a warunki robiliśmy bez oglądania się na głupawe zasady, że *will* i *if* nie powinny się spotykać. W ten sposób komunikacja zyskała na płynności, a problemów ze zrozumieniem było tyle, ile zazwyczaj jest podczas komunikowania się na linii przełożony-pracownik.

Brak imperatywu mówienia według jakichś wydumanych reguł gramatycznych pozwolił mi usprawnić działalność infolinii dla klientów. Najpierw posadziłem tam pracowników, którzy mówili dość ładnie po angielsku, byli socjalni i w miarę połapani. W efekcie telefony od klientów potrafiły trwać nawet i ponad trzydzieści minut, pracownicy wydawali się czerpać radość ze swojej działalności, a bywało nawet, że klienci pisali nam potem komentarze, że są zadowoleni. Niestety, centrala zaczęła mnie piłować o to, że dlaczego mamy tak dużo połączeń na infolinię i dlaczego trwają tak długo. Po dość długim mailu domagającym się wyjaśnień, zmieniłem obsadę tego stanowiska na personel, który po angielsku ledwo się komunikował. Kilka razy widziałem, że kolektyw sprawił sobie podręczniki do języka angielskiego i próbowali się czegoś nauczyć. Było to chwalebne, ale na szczęście nie przyniosło efektów i długość połączeń uległa skróceniu o ponad dwie trzecie. Większość klientów nie miała odwagi odezwać się do nas po raz kolejny, bo gdy nasi pracownicy próbowali cokolwiek wyjaśnić, to bardzo się denerwowali, bywało, że krzyczeli. Im bardziej się denerwowali, tym więcej słów rosyjskich i mołdawskich wrzucali w angielski.

Bywały chwile, że sami chyba nie wiedzieli, o czym mówili. Nie interesowało mnie to, ostatecznie po kilku miesiącach dostałem pochwałę za redukcję czasu obsługi klienta roszczeniowego, a cały dział otrzymał 5% podwyżki za swoją działalność, dzięki której efektywność pracy działu obsługi klienta znacznie się poprawiła. Przestały się też pojawiać chwalebne recenzje, ale przecież wszyscy wiedzą, że w internecie piszą tylko frustraci, więc firma nie przejmowała się tym. Tak pokrętnymi drogami udawało mi się wciągać Mołdawię w orbitę porządnego korporacyjnego nonsensu, obniżania standardów i szkodenia klientom.

Miałem nadzieję, że i mnie kiedyś spotka za to nagroda.

Ludzie spędzają wiele lat, kształcąc się i rozwijając, żeby potem siedzieć w takich pracach i zamiast pisać wiersze, piec ciasta, lać beton lub uczyć w szkołach, to marnować czas innych. Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że niemal globalnie uznano, że to najlepszy sposób na spędzanie tzw. najlepszych lat życia. Ponieważ jednak praca mogłaby dawać niektórym ludziom radość, firmy takie jak moja, dokładają starań, żeby na pewno nikomu się tam nie podobało. Oczywiście króluje teamwork! Powtarzałem wszystkim moim pracownikom, że teamwork jest najważniejszy. Lata pracy w strukturach dużej firmy międzynarodowej nauczyły mnie, że tylko w ten sposób można maskować fakt, że jakieś trzy czwarte zebranych nie robi niczego, nie nadaje się do żadnej pracy i w ogóle nie ma żadnych racjonalnych przesłanek do trzymania tych ludzi na liście płac, a znacznie lepiej po prostu dać im strzelbę i wysłać za stodołę. Niestety, z powodu postępujących tendencji związanych z prawami człowieka, jako przełożonemu nie wolno mi było tego zrobić ani czynić sugestii i wskazywać, którędy wiedzie droga za pomieszczenie gospodarcze. O ile zawsze mogłem liczyć na jakiś mały procent ludzi, którzy z powodu swojej beznadziejności poddadzą się i odejdą, albo jednak zdecydują się na strzelbę za stodołę, o tyle większość jednak twardo trzymała się decyzji o pracy w firmach o zasięgu międzynarodowym. Oczywiście, ludzie niekompetentni nie pójdą do pracy jako cieśla, piekarz lub sztygar, bo te fache wymagają jakichś kwalifikacji, zdrowego rozsądku i nie tolerują niekompetencji ani lenistwa. Firmy o globalnym zasięgu zniosą każdą kategorię pracownika. Dlatego tak właśnie tak ważny był teamwork, czyli dorabianie ideologii do tego, że kompetentne 20% załogi wykonuje pracę za tych, którzy nie umieją

w robotę. Albo im się nie chce. Nie interesowało mnie to przesadnie, musiały mi się zgadzać tabelki, numerki i godziny, a także raporty odkrywające, że z Australii do Kanady jest dalej niż ze Skierniewic do Berlina.

Promowałem więc teamwork, w którym karałem ludzi, którzy umieli cokolwiek robić przez parowanie ich z korpoplankotem, którego najbardziej wydatnym wkładem w działalność firmy było pobieranie wysiedzianej wypłaty. Dzięki moim działaniom, jakieś 20, może 25% załogi wykonywało 100% pracy, ale dzięki szeroko promowanemu teamworkowi, na listę płac można była wciągnąć wszystkich, bez drastycznych redukcji zatrudnienia i związanej z tym koniecznością tłumaczenia się przed centralą.

Miewałem chwile – zazwyczaj po wódce albo koniaku – że myślałem sobie, że wszystkie firmy na świecie działają jak moja. Że stada jełopów siedzą dekadami na liście wynagrodzeń po to, żeby swoją wypłatą napędzali światowy system finansów, raz zwany komunizmem, raz kapitalizmem. Ojciec budowały socjalizm, my nie wiadomo co. Wszystko jednak sprowadza się do pracy ku chwale ojczyzny i kredytowi kolejnych pokoleń.

Oczywiście nie mogłem tego powiedzieć moim pracownikom. W Polsce mieliśmy cały dział poświęcony teambuildingowi, w Mołdawii jeszcze nie, ale w pewnym sensie w mojej gestii leżało utworzenie takowego. Czyli zrobienie tego wszystkiego. To nawet nie to, że nie miałem czasu, nie chciało mi się strasznie i po prostu wołałem pograć sobie w grę niż się tym zajmować. Oddelegowałem obowiązki związane z czynnościami teambuildingową do działu HR. Udało mi się też zapisać im budżet rozsądnych rozmiarów. Byłem nieco rozczarowany, gdy okazało się, że cały segment działalności związanych z tworzeniem więzi w naszej drużynie

pracowniczej skończył się na tym, że zaproszono pracowników (czytaj: kazano im przyjść) na sobotę i dano do grania Eurobusiness. Brakowało kart, wyszedł z tego dramat, dwie osoby się pobili o opłaty za postój w hotelu. To i tak było małe miki, bo krążyły potem ploty, że jakaś para odbyła stosunek genitalny w toalecie, i to nie w kubikulum, tylko przy lustrze. Excel trzeszczał, gdy wpisywałem to wydarzenie jako sukces teambuildingu mołdawskiego, a siebie jako jego ojca. Chociaż zwyczajowo porażka jest sierotą, a sukces ma tysiące matek, w tym wypadku definicja sukcesu tak daleko odbiegała od jakichkolwiek przyjętych, że nikt nie chciał odebrać mi praw macierzyńskich, czy tam tacierzyńskich. Pod wieczór tej pięknej soboty rozdaliśmy pizzę w kartonie, a raczej karton w pizzy.

Normalnie wypadałoby przeprosić, ale byliśmy w pracy, więc jeszcze musieli podziękować. Nie pierwszy i ostatni raz było mi wstyd.

Krótko po wydarzeniach teambuildingowych, udało mi się zdobyć niemal orderzy zarządzania na

terytoriach zamorskich. Poprzez serię spotkań, które związane były z pokazywaniem pracownikom Tony'ego Robbinsa, wyjaśniłem im, że nie będzie overtime'ów (nawet jeżeli istnieją odpowiednie słowa w lokalnych językach, należy zastępować je prymitywną angielszczyzną. To jedna z najważniejszych zasad egzystencji w szklanych wieżowcach). W sensie, że nie będą mieli za nie płacone, bo tyrać po godzinach, oczywiście, będą musieli. Znaczą te 20%, które cokolwiek robiło, pozostałe 80% miało siedzieć i nieśmiało patrzeć na ich wysiłki. Potem zaś wszyscy mogli rozejść się do domów bez otrzymania żadnego wynagrodzenia za pracę. Centrala tak bardzo mnie pochwaliła za to, że zacząłem wierzyć, że mołdawski outsourcing może okazać się sukcesem i pewnym krokiem naprzód w mojej karierze. Dostałem tytuł championa outsourcingu za październik, bo jakoś

wyliczyli, że idzie mi lepiej niż tym od Indii. Zacząłem nawet trochę przeproszać się z Kiszyniowem. Miasto nie do życia, miasto do robienia kariery – takie hasło zaczęło wydawać mi się najlepszym sloganem reklamowym dla stolicy Mołdawii. Jednak dość szybko mi przeszło i znowu wróciłem do szeroko rozumianej depresji. Tak właśnie skończył się mój trzeci miesiąc w Mołdawii – w deszczu, w dziurach chodnikowych I z perspektywą oczekiwania na zimę, która raczej nie miała szans wpłynąć pozytywnie na mój nastrój.

Po jakichś dwóch tygodniach rzeczywistość wezwała mnie na spotkanie. Dowiedziałem się, że kiszyniowski oddział firmy ma bardzo duże zużycie sprzętu biurowego i czy mógłbym to wyjaśnić. Poprosiłem o jakieś dane. Po kilku dniach przysłano mi raport, że rzeczy się szybko psują, bo były wyprodukowane w Chinach.

Oczywiście, że jakości były pośledniej, ale cały świat używał rzeczy wyprodukowanych w Chinach, więc nie wyjaśniało to tak strasznej ilości zużytego sprzętu. Chwilę przed otrzymaniem tego dokumentu spotkałem ulicznego sprzedawcę. Każdy, kto szedł przez centrum Kiszyniowa, wie dobrze, że to częsty przypadek w tym mieście. Zazwyczaj ignorowałem ich, ale w tym przypadku uwagę moją przyciągnęło dość dobrze znane mi logo. Mojej szalowej korporacji. Odkryłem, że sprzedawca ma na stanie trochę sprzętu z mej firmy. Bariera językowa uniemożliwiła mi dokonania przesłuchania, ale zrozumiałem dość jasno jakie jest wyjaśnienie szybkiego zużycia sprzętu firmowego. Poszedłem z zamiarem zrobienia porządku z tak bezczelnymi przypadkami kradzieży sprzętu firmowego.

A potem trochę pomyślałem. Potem mi się nie chciało. Potem kupiłem alkohol z importu i przepiłem weekend. A potem to się jakoś samo

zapomniało. W centrali też się zapomniało, więc sprzęt na mej placówce nadal zużywał się nieco szybciej niż na innych.

Wojna trwała na wielu frontach. Kto kiedykolwiek zetknął się ze światem szklanych wieżowców, ten wie, jak ważna jest instytucja parkingu. Kiszyniowski biurowiec miał około 200 miejsc parkingowych, co przy zatrudnianiu około 400 pracowników pozwalało pozwolić parkować około połowie potencjalnie zainteresowanych. Oczywiście nie wchodziło to w rachubę. Miejsca parkingowe rozdawaliśmy według sekretnego klucza, tak naprawdę to żadnego. Jasne było, że biurowy plankton nie mógł liczyć na stałe miejsce do parkowania, mogli jedynie pisać prośby. Stworzyłem etat, który polegał na zatwierdzaniu parkowania. Wytyczne opierały się na utrudnianiu ludziom życia i zatwierdzaniu średnio co trzeciej prośby.

Oczywiście, żeby nikt się nie połapał, czasem zgadzaliśmy się dwa razy pod rząd, a czasem pięć odrzucaliśmy. Nigdy nie podawało się żadnych powodów, oczywiście zawsze przepraszało za niedogodności i życzyło miłego dnia. W ten sposób udawało się wprowadzić atmosferę paranoi, a z czasem nawet zawiści związanej z tym, kto mógł zaparkować, a kto nie. Czasami dobre 70% miejsc parkingowych stało puste, ale nie zmieniało to polityki, którą własnymi spracowanymi dłońmi zapisałem. Po kilku tygodniach udało mi się wprowadzić tak wiele zmiennych i poprawek, że system sam z siebie wydawał decyzje tak głupie, że nie powstydziliby się ich żaden źle życzący bliźnim człowiek, wliczając w to mnie.

Jedną ze składowych pokazywania pracownikom miejsca w szeregu było wspominanie mitycznych Europejczyków. Oczywiście po tym padały słowa, że Mołdawia to też Europa, ale nie ta z Unii. Zresztą wszyscy pracownicy to wiedzieli, jednak miło było wpędzać ich w kompleksy niższości, a samemu

budować obraz człowieka należącego do jakiegoś wielkiego świata wyimaginowanego zachodu, gdzie panuje dobrobyt, ludzie chodzą z uśmiechem do pracy, a reprezentacja zawsze wygrywa w piłkę nożną.

Oczywiście nie można było przesadzić z tym środkiem wyrazu, bo by się uodpornili. Szpilę należało wbijać jakieś dwa do czterech razy w miesiącu.

Z czasem zauważyłem, że lokalni managerowie tak się rozkręcili w strofowaniu podwładnych za zbyt małą europejskość, że musiałem ich samemu nieco przystopować. Zaczęło grozić to przybraniem groteskowych rozmiarów, a wtedy ludność kolonizowana mogłaby zacząć z tego szydzić i musielibyśmy znaleźć inny system wpędzania ich w kompleksy. Miałem jeszcze kilka świetnych pomysłów w zanadrzu z czasów pracy w Polsce, ale ten uważałem za najskuteczniejszy. Czasem oczywiście pozwalałem sobie poprawić komuś błędy w angielskim, tylko po to, żeby za chwilę podkreślić, jak bardzo nie umiem tego ich pokracznego narzecza, ale mnie to w ogóle nie obchodzi i w sumie to jestem dumny z tego. Lata pracy z kierownictwem międzynarodowym pozwoliły mi na zdobycie rozlicznych doświadczeń w traktowaniu podwładnych z pogardą. Teraz w końcu to ja stałem po drugiej stronie i mogłem się wyżywać na ludziach w kraju jeszcze biedniejszym i bardziej patologicznym niż mój.

Jeszcze gdy pracowałem w Polsce, wszystko działało w trybie takim, że nierzadko zastanawialiśmy się, czy to sabotaż, czy to tak ma być. Po kilku nerwowych pierwszych tygodniach pracownicy przyjmowali do wiadomości, że z technologią się nie wygra, a koncepcja tego, że ma ona pomagać ludziom, jest abstrakcją.

Systemy wieszały się, czy w biurze, czy z domu, pracownicy mieli kłopoty z logowaniem. Kontaktowanie się z helpdeskiem outsourceowanym do

dalekich Indii dawał możliwości do kręcenia komedii, przy których produkcje Benny Hilla wyglądałyby na filmy Bergmana.

Przez lata wydawało mi się, że to jak nie-działa biuro w Polsce, to absolutny rekord świata i gorzej być nie może. Oczywiście myliłem się. Okazało się, że w Mołdawii może być jeszcze o kilka pięter śmieszniej.

Przede wszystkim, ze względu na poufność danych, te nie mogły być w Mołdawii, bo kraj poza UE.

Musieliśmy łączyć się poprzez VPN z serwerami w Niemczech. Dodawało to dobre 30% do szans na wystąpienie błędu i położenie całej pracy na przynajmniej kilkadziesiąt minut raz w tygodniu. W wersji deluxe nawet i trzy razy. Oczywiście jako przełożony miałem trochę lepiej i przysługiwał mi laptop z pełnym Office (pracownicy mogli pracować na Open Office i odkrywać, dlaczego nigdy nie pokonał on produktów Microsoftu), ale sam też nierzadko dostawałem odłamkami tego, co nie działało.

Inną formą upodlenia pracownika każdego szczebla była ocena zwana samooceną. Oczywiście każda korporacja oferuje tę rozrywkę swoim pracownikom wszystkich możliwych szczebli. Zastanawia, czy dyrektorzy sobie też piszą samooceny i wysyłają je wzajemnie. Na moim szczeblu też miałem tę nieprzyjemność, a wypełnienie tego wszystkiego i wykazanie, że coś robię i się rozwijam, zajmowało mi dobre dwa dni w miesiącu. Nie wiem, jak to wygląda na szczeblach najwyższych, ze swojej strony przesłałem lokalnym poganiaczom niewolników standardowe formularze, w których mieli gimnastykować się i wykazywać, że super pracują. Wysłałem im też formularze dla ich podwładnych z informacją, że mogą je przekazać w takiej formie, ale jeżeli mieliby jakieś pomysły, to niech dokładają.

Nie wiedziałem, co czynię.

W ciągu dwóch dni otrzymałem wiadomości zwrotne głoszące, że koniecznie musimy dopisać sekcje takie jak – i tu następowała litania tego, jak bardzo musimy doglądać postępu naszych pracowników i w jaki jeszcze sposób możemy ich upokorzyć. Nie wiem, co dało moim menedżerom szczerbli średnich i niższych takie płaszczenie się, ale pewnie myśleli, że coś da. Ponieważ musiałem entuzjastycznie reagować na lokalne inicjatywy (a potem wpisywać je do swojej samooceny), to zatwierdzałem wszystkie te pytania i za nie dziękowałem, informując o tym, jak niesamowicie poprawi działanie się całej firmy dzięki donosicielstwu na poziomie kradzieży gruszki konferencja z kuchni. Potem zaś te wszystkie bezdennie durne pytania rozesłano do pracowników.

Oczywiście nie wliczyliśmy w czas pracy czasu wypełniania oceny rocznej. Skończyło się na czytaniu esejów o tym, że jakiś pacjent kocha firmę, że inny kochałby bardziej, gdyby dostawał więcej lei, a najlepiej w dolarach amerykańskich (kanadyjskie i australijskie też by obleciały). To jeszcze nawet bywało ciekawe, ale większość ludzi próbowała wejść w otwór przełożonemu, firmie, mnie, i wszystkim zebranym od Londynu do Sydney, oczywiście przez Kiszyniów. Zęby bolały od czytania opowieści o tym, jak bardzo ludzie się rozwinęli dzięki temu, że otworzyliśmy oddział naszej firmy w Mołdawii, że oni tu odnaleźli sens życia.

Brakowało tylko, żeby ktoś napisał, że nazwał dziecko moim imieniem. A najlepiej miasto, na wzór Stalinogrodu.

Skończyło się to na tym, że czytałem wiele raportów streszczających kilkaset pytań. Były to teksty desperacji, ludzie informowali, że chcą hajsu, a po obrobieniu ich odpowiedzi wychodziło, że chcą, żeby było więcej słonecznych dni i może czasem jakieś sojowe mleko przy automacie do

kawy, ale to tylko gdyby to nie był problem. Gdy wpakowałem się w dramat podsumowywania tego wszystkiego, to sam musiałem gimnastykować się przez dwa tygodnie, żeby wykazać, że firma jest chujowa i wyzyskuje ludzi. Bo jeżeli napisałbym, że wszyscy są zadowoleni, to od razu zaczęłyby się pytania, że co ja wyczyniam i jak to możliwe, że ludziom się podoba. Musiałem jeszcze uwzględnić w tym swoją osobę, co wymagało dalszej gimnastyki związanej ze składnią i czarowaniem rzeczywistości. Chodziło o to, żeby napisać innymi słowami, że wysłanie pracy do Mołdawii wydarzyło się tylko dlatego, że jest tanio i że menedżerowie, nawet bez większej motywacji zewnętrznej, traktują podwładnych koszmarnie źle. Czasem łapałem się na tym, że samemu dokładałem cierpień, bo przecież w końcu na tym polega sprawowanie funkcji kierowniczej.

Będąc dyrektorem, miałem prawo organizacji konkursów. Patrzyłem na tych nieszczęsnych podwładnych i myślałem, jak ich zniszczyć. Wyczarowałem im konkurs na piosenkę sezonu, która używałaby nazwy firmy i jak najwięcej słów związanych z systemami i procedurami uprzyjemniającymi nam kolejne dni. Wyszło, oczywiście, tragicznie, bo zawsze tak wychodzą wymuszone imprezy. Pojawiły się jakieś rzewne liryki, pojawiła się poezja śpiewana, prosty rock i metal. W końcu razem z jakimiś przełożonymi niższych szczebli przyznaliśmy nagrodę uśmiechniętym dziewczętom, które tak bawił ich własny tekst, że ledwo go wyśpiewały, a ich koleżanki, to już położyły się z radości. Uśmiechałem się, klaskałem, wręczyłem dyplomy i jakieś smutne torby z bieda prezentami.

Nasza firma prowadziła rekrutację na różne sposoby. Wspominałem, że istniał dział HR, trudno jednak powiedzieć, że funkcjonował, ale był, fizycznie przychodził, pobierał pensje, a czasem nawet odpisywał na maile.

Ich zdolność do przeszukiwania lokalnego rynku była żadna, więc po kilku tygodniach zaimplementowałem rozwiązanie znane z wielu innych miejsc: poleć przyjaciela. Plakaty z uśmiechniętymi ludźmi (młodszymi, starszymi, poważnymi, uśmiechniętymi, refleksyjnymi, entuzjastycznymi) pokryły ściany naszego wieżowca. Kombinacją różnych czcionek informowaliśmy o tym, że u nas jest tak fajnie, że dobrze byłoby powiedzieć o tym najlepszym przyjacielom. Oczywiście nie o tym, że płacimy znacznie powyżej średniej krajowej, tylko że jest fajnie. Nie o tym, że czasem trzeba przyjść do roboty w weekend, tylko że dajemy płatny urlop. Oczywiście mniejszą czcionką napisaliśmy, że są pewne wymagania związane z wykonywaniem pracy na zakładzie, ale tego chyba nikt nie doczytał. W efekcie otrzymaliśmy setki podań, których autorzy nie byli w żaden sposób kompatybilni z opisanymi stanowiskami. Gdy pewnego dnia wyraziłem rozczarowanie związane z jakością kandydatów, jeden z managerów niższego szczebla poinformował mnie, że Mołdawcy spełniający nasze wymagania siedzą od lat w całej Europie i nie czekali, aż ktoś stworzy dla nich pracę w Kiszyniowie za jedną trzecią (jak nie jedną piątą) tego, co mogą dostawać gdzie indziej.

Program refer a friend oficjalnie okazał się sukcesem i zatrudniliśmy bardzo wielu cennych pracowników.

Nieco mniej oficjalnie, była to absolutna klęska. Wpychanie znajomych na różne stanowiska przybrało rozmiary gargantuiczne, a wszystkie pozycje otwarte w ramach tej rekrutacji zapełniły się w ciągu pierwszego miesiąca jej trwania. Znacznie dłużej zajęło udowadnianie im niekompetencji i pozbywanie się ich z zajmowanych stanowisk. Jeszcze długo po dyskretnym wygaszeniu programu znajdывaliśmy ludzi, którzy mieli odpowiednią liczbę przyjaciół w firmie, żeby ich do niej wepchnąć, a potem

pozbycie się ich kosztowało bardzo dużo pieniędzy i zajęło jeszcze więcej czasu. Nie, że spodziewałem się cudów, nie że myślałem, że znajdę wybitnych ludzi przy tym, co oferowałem, ale w tym odcinku zabaw w outsourcing przeciwko lokalnemu cwaniactwu, przebiliśmy nawet Polskę.

Czas w pracy płynął więc stabilnie beznadziejnie. Zmieniały się dni tygodnia, zmieniały się miesiące, ale tak naprawdę nie zmieniało się nic. Atmosfera była zła, a praca nie posuwała się do przodu, oczywiście nie licząc raportów, które wysyłałem – w moich opowieściach działały się cuda. Czasem jednak miewałem zjazdy i nie dawałem rady pisać tych baśni z mchu i paproci. W najczarniejszych godzinach wspominałem pracę takich egzotycznych dyrektorów, jednym, z których sam się stałem i przypominałem sobie, dokąd ich zaprowadziły kariery. Ten ma dom na Sri Lance, ten w Chorwacji, tamten przeszedł na emeryturę już na 70 urodziny. Zaczynałem powoli myśleć, że może uda mi się przeczołgać kilka lat w Mołdawii, a potem nabyć atrakcyjną nieruchomość w egzotycznym kraju i dać dyla na ciepłą emeryturę. Niestety, okazało się, że plan ten nie będzie tak łatwy do zrealizowania.

Jednak zanim jeszcze wszystko trafił przysłowiowy szlag, uważam, że warto wspomnieć o tym, że poszukiwania tożsamości mołdawskiej nie ominęły języka. Dzięki różnym okolicznościom zwanym potocznie prawem oraz temu, że musiałem co jakiś czas przedstawiać dokumentację moim przełożonym, nasze archiwa prowadzono w języku angielskim, mołdawskim, czyli rumuńskim, i rosyjskim. Konieczność tłumaczenia wszystkiego na wszystko dawała pełnoetatową pracę kilkunastu tłumaczom. Jakość przekładów nie wydawała się przesadnie wysoka, ale zdolności weryfikacji tychże przez lokalne inspektoraty dotrzymywały kroku

kunstowi tłumaczy. Nierzadko nie miałem pojęcia, co też było w dokumentach składanych do władz, ale wszystko wskazywało na to, że pomiędzy wersjami językowymi nie zgadzały się nawet liczby i daty. Pocieszałem się, że od 2005 roku kara śmierci została w Mołdawii zniesiona, więc najgorsze mi nie groziło, do tego aresztowania inwestorów zawsze wyglądały fatalnie źle i obniżały przyszłe szanse na przyciągnięcie kolejnych centrów outsourcingu do kraju, więc nierzadko podpisywałem dokumenty, których wersja angielska budziła wątpliwości natury logiczno-poznawczej.

Jednym ze świętych rytuałów korporacyjnych są globalne spotkania zwane town hall, które zbierały wszystkich pracowników z całego globu (zakładając, że dany nowotwór przybrał już takie rozmiary) i pozwalały na zadawanie pytań szefom z różnych krajów. Niestety, czasem ja też musiałem siedzieć i cieszyć się pytaniami z innych regionów. W obrębie tego pomysłu bywały i inne. Jeszcze z czasów, gdy byłem nieznaczącym korpoplanktonem, najbardziej doceniałem inicjatywę żyjącej książki. Polega ona na tym, że jeden z – w swoim mniemaniu – ciekawych pracowników opowiada o swoim życiu i karierze. Oczywiście na pierwszy plan wychodzili zawsze ludzie, którzy byli przerażająco nudni, a koleje ich życia były inspirujące w stopniu żadnym. Najczęściej pochodzili z uprzywilejowanych rodzin, poszli na jakieś studia, a potem rozpoczęli pracę, która była ciężka, ale przede wszystkim dzięki włożonemu wysiłkowi i niesamowitemu talentowi, dotarli do tego niesamowitego miejsca i mogą nam teraz służyć jako żyjące książki. *‘Bardzo głodna gąsienica’* jest książką bardziej inspirującą niż statystyczny korporacyjny dyrektor. Kiedyś spotkanie z żyjącą książką zakończyło się wybitnie niezręcznie, bo ktoś skomentował opowieść o sukcesie słowami, że jeżeli to jest ten mityczny sukces, to on wybiera

porażkę. To jednak była aberracja, zwyczajowo spotkania kończyły się głowami potakującymi z podziwem, a nawet i brawami. Mnie też klaskano, chociaż również nie miałem niczego ciekawego do powiedzenia. Oczywiście w ramach rozwoju technologii możliwości marnowania czasu pracowników uległy poszerzeniu, więc teraz nawet moja mołdawska placówka z końca świata nie mogła liczyć na taryfę ulgową. Kiedyś nasz kacyk z USA musiałby się sam przejechać do Mołdawii, ale dzięki zdobyczom internetu mógł połączyć się zdalnie. Pewnego dnia wszyscy zostali wezwani do wzięcia udziału w town hallu, do którego musiałem dość solidnie przefiltrować pytania. Po usunięciu tych o pieniądze, wiele nie zostało – nie wypadało też pozwolić, żeby ludzie pytali szacownego gościa o to, kiedy im w końcu wypłacą te premie, co obiecywali, a potem skasowali. Ostatecznie poszły więc pytania o to, jak piękne jest USA, on coś tam beknął i na tym się skończyło.

Jak też prezentował się sukces outsourcingu do Mołdawii? W swoim życiu musiałem wydzielić dwie sfery; cierpiałem duchowo, bo nie odnajdywałem się w tym świecie w ogóle; cieleśnie, bo nie pasowało mi jedzenie, a po alkoholu miałem wiecznego kaca. Finansowo rozkwitałem, trochę dlatego, że nie miałem na co wydawać pieniędzy. Zapraszałem kolegów, ale nikt nie chciał mnie odwiedzić. Względem pracowników mołdawskich wielkiej pracy nie miałem, menedżerowie wyższego szczebla napuścili się na tych niższego, tamci na tych jeszcze niżej, a korpoplankton nienawidził wszystkich po równo, z wyróżnieniem pracowników równych im szczeblem, których nienawidził zdecydowanie bardziej. Jeżeli chodziło o czas spędzany w pracy i na pracy, to byliśmy w europejskiej czołówce, czasem nawet wygrywając zestawienie. Jeżeli chodzi o produktywność, to również szło całkiem dobrze

na tle innych krajów. Kwantyfikator ten jest konieczny, bo ogólnie praca nie szła w ogóle, w żadnym kraju. Osobie z zewnątrz trudno byłoby zrozumieć, dlaczego firma zarabia jakiegokolwiek pieniądze. Będąc nieco bardziej w środku, odkrywało się bezmiar zamówień od rządów różnych krajów i to raczej nie od mojej ulubionej Nigerii. Niektórych początkowo dziwiło, że po zmianie władzy i odwróceniu biegunów polityki zagranicznej kraju, firma nadal pozostawała w orbicie zamówień kolejnego rządu. Dość szybko jednak wszyscy nabywali przez osmozę wystarczająco wiele cynizmu, żeby odkryć, jak to wszystko działa.

Niestety, w tym schemacie działania kryły się początki mego spektakularnego końca kariery w szklanym wieżowcu.

W krajach stabilnych w stylu Polski nie ma wielkiego ryzyka. Rząd się zmieni, czy to z prawicy, czy z lewicy, firmie da zarobić. Da mniej lub więcej zamówień na wykazywanie tego, że mieszkania 38m² są mniejsze niż takie 70m² i że ziemniaki są tańsze od pomarańczy. Niestety, nadszedł taki dzień, że mołdawski premier postanowił się spakować, powiedzieć mieszkańcom ‘do widzenia!’ i wyjechać w stronę jakichś egzotycznych wysp.

Żeby być dokładnym: część ‘do widzenia’ nastąpiła dopiero po tym, gdy był w bezpiecznej odległości od Mołdawii.

Na ulicach zaczęło się kotłować. To akurat nie miało żadnego wpływu na naszą pracę i przychody, może poza tym, że niektórzy pracownicy ośmielili się iść walczyć o przyszłość. Oczywiście natychmiast wpisaliśmy do akt takie wyczyny bezczelnej niesubordynacji wobec życiodajnej korporacji.

Jednak potem do władzy doszli ludzie, którzy sprawili, że atmosfera nieco siadła. Zaczęli oglądać, jakie podatki płacimy w Mołdawii i zrobiło się nieprzyjemnie. Potem okazało się, że może Mołdawia to nie Kanada, ale

jednak pracownik nie może mieć 168 godzin pracy w tygodniu. Oczywiście nikt nigdy tak nie pracował, ale papier jest cierpliwy, formularz w Excelu też i okazało się, że kadry puszczały takie kwiatki.

Ludzie po prostu wychodzili piwnicą, kartę zostawiali w pracy i pokazywało, że robili czasem nawet i 24h na dobę. Zacząłem mieć coraz więcej spotkań online z pytaniami, na które przesadnie nie oczekiwano ode mnie odpowiedzi. Widmo bycia zestrzelonym zaczynało nabierać dla mnie bardzo realnych kształtów. W odróżnieniu od premiera Mołdawii zgromadzony przeze mnie kapitał nie pozwalał mi na wyprawę do egzotycznego raju na przesadnie długo.

Na dobry miesiąc przed tym, zanim topór spadł, wiedziałem, że piękna kariera w Kiszyniowie się kończy i że zostanę ojcem, matką, wujkiem, ciotką, bratem i siostrą tej porażki, którą dopiero miano ogłosić światu.

Podjęto działania proaktywne – rozpoczęto przesłuchania i udowadnianie, że źle robiłem swoją pracę. Tyle wiedziałem bez ich pomocy, ale chciałbym zobaczyć takiego, który dawałby sobie radę lepiej. Fajnie się siedzi w Londynie czy nawet Warszawie i znęca nad kimś już dawno rzuconym na pożarcie lwom.

Przeszedłem załamanie nerwowe w połowie tych wygłupów zwanych przesłuchaniami i po dwóch dniach denerwowania się zacząłem przychodzić zaopatrzony w termos koniaku. Jakoś przy podniesionym poziomie stresu podniosła się też moja tolerancja na mołdawskie trunki. Ten sąd przeciągał się, ale im dłużej trwał, tym mniej się nim przejmowałem. Zastanawiałem się tylko, czy uda mi się ściągnąć jeszcze jedną pensję i w jakim trybie mnie pożegnają – za uzgodnieniem stron, czy dyscyplinarnie. Kamień z serca

spadł mi, gdy zrozumiałem, że Mołdawia nie jest przesadnie zainteresowana moją osobą i raczej nie zafundują mi pobytu w więzieniu.

Szczęśliwie, firmy takich rozmiarów nie chcą zrażać do siebie przyszłych pracowników i po zakończeniu polowania na czarownika otrzymałem jeszcze trzy wypłaty. Nie ma co sobie robić siary w środowisku, bo w końcu za jakiś czas przyjdzie kolejny pacan, pokaże nowego PowerPointa (albo nawet tego mojego, to nie ma znaczenia jeżeli tylko ktoś zobaczy pieniądze) i firma wykona outsourcing do kolejnego kraju. Może znowu do Mołdawii, może ktoś stwierdzi, że opłaca się nawet moja Nigeria. Na tym etapie znacznie bardziej zajmowało mnie moje życie.

Zawodowo byłem spalony. Globalne środowisko dobrze wiedziało, kto jest ojcem mołdawskiej katastrofy i jasne było, że nigdy nie dostanę pracy porównywalnej do wcześniejszej. Tak się jakoś świat poukładał, że nie ustawiła się do mnie kolejka pocieszycieli poklepujących po plecach i mówiących, że to nie moja wina.

Gdy skończyły się wszystkie oficjalne procedury i zamknięto nasz oddział w Mołdawii ('wygaszono', jak to ładnie korpomowa nazywa fakt, że wywalono na ryj wszystkich zebranych), nie miałem pomysłu na siebie.

Kupiłem koniak i zaprosiłem ludzi, którzy ze mną pracowali przez dziewięć miesięcy wielkiego mołdawskiego projektu. Nie sądziłem, że ktokolwiek przyjdzie, bo w tym momencie nie opłacało się pić ze mną ze względu na zależności zawodowe, a nie wydawało mi się, że zestaw zaprezentowanych przeze mnie cech osobowościowych może przełożyć się na to, że ktoś chciałby spędzić ze mną czas. Parę osób jednak przyszło. Najpierw myślałem, że to wizja darmowych trunków. Potem, że w Kiszyniowie i tak nie ma niczego do roboty, więc może dlatego ludzie siedzą u mnie, po dwóch dniach nie tankując już za moje, bo opróżniliśmy cały barek. Rozwahałem

różne opcje i wizje, jedne mało radosne (powrót do Polski), drugie nieco bardziej (wypicie wybielacza). Gdzieś koło piątego dnia tej wielkiej depresji podlewanej koniakiem i obudzeniu się w objęciach jakiegoś nieznanego byłego pracownika podjąłem decyzję.

Nie miałem wystarczająco pieniędzy na emeryturę w egzotyce. Nie było mnie stać na San Francisco, nie mówiąc nawet o Berlinie. Kupno wyspy w Chorwacji też mi nie groziło. Mogłem jednak spokojnie żyć w moim ukochanym kraju. W Mołdawii. Dość szybko okazało się, że mój pracodawca nie wiedział nawet, że podpisał umowę na najem mieszkania, w którym bytowałem, na rok. Może i wiedział, ale uznał, że nie będzie się już męczył z walką o jakieś leje. Dało mi to dodatkowe trzy miesiące, które mogłem spędzić na myśleniu, co dalej.

Ostatecznie zdecydowałem się na zakup mieszkania w Biełcach. Okazało się, że drugie co do wielkości miasto Mołdawii nie jest przesadnie drogie i stać mnie na dość duże mieszkanie, a potem doprowadzenie go do stanu spełniającego moje potrzeby egzystencjalne. Parę miesięcy po wielkim sądzie kapturowym siedziałem w moim postsowieckim apartamencie w Biełcach i czułem się innym człowiekiem.

Mogłem chodzić ubrany, w co tylko chciałem, nie musiałem ubierać koszuli i marynarki, żeby dobrze wyglądać na kamerze.

Mogłem kłaść się o 4 w nocy i wstawać o 12, albo kończyć dzień o 21 i wstawać o 5, żeby zobaczyć wschód słońca.

Mogłem jeździć na rowerze, mogłem próbować uczyć się języka, mogłem próbować przekonać lokalnych dostawców, żeby sprowadzili dla mnie wegetariańskie jedzenie.

Mogłem zaprosić tych z Kiszyniowa i mogłem próbować omamić kogoś, żeby spędził ze mną kawałek życia.

Mogłem patrzeć w otchłań i nie bać się tego momentu, gdy ona spojrzy na mnie.

Namiętność

Zaczęło się od Tindera, tak jak wiele nieszczęśliwych historii lubi się zaczynać.

Stanisław skończył studia, dostał pracę w startupie technologicznym dla absolwentów u progu kariery.

Piął się po jej szczeblach w tempie takim, jakim takie firmy oferują, czyli żadnym. Jednak jego wejściowa wypłata w wysokości średniej krajowej pozwalała na wynajęcie samodzielnego mieszkania w niegdyś stołecznym mieście Krakowie. Po kilku weekendach, które spędził na delektowaniu się tym, że po raz pierwszy w życiu mieszka sam ze sobą, a nie z rodzicami lub kolegami ze studiów, sięgnął po aplikację definiującą desperację uczuciowo-personalną. Początkowo szukał modelek z Instagrama, potem postanowił pogodzić się z tym, że jego przesunięcia w prawo nigdy nie spotykały się z ruchami w tym samym kierunku od strony dziewcząt. Jednak nadszedł taki wieczór, że po spożyciu promocyjnego sześciopaka Żubra (2,19 PLN przy zakupie dwunastu puszek 555 ml w ramach akcji „Razem z nami ratujesz zagrożone zwierzęta”) zaczął przesuwając w prawo każdy profil, nawet niespecjalnie sprawdzając, kogo aprobuje. W którejś odsłonie takiego samego wieczoru, poświęconego pomocy zagrożonym zwierzętom puszczy Białowieskiej, gdzieś między zbawianiem sowy i rysia, Staszek otrzymał informację, że Katarzyna również wykonała ruch w prawo.

Następnego poranka, gdy efekty tak aktywnie spędzonego wieczoru zaczynały go opuszczać, Staszek upewnił się, że niemożliwe miało miejsce i że naprawdę został pozytywnie oceniony przez dziewczynę. Po wymianie kilku wiadomości umówili się nad Wisłą i na Harnasie. Wychodziły nieco

drożej niż Żubry, ale Staszek postanowił zrobić wrażenie już na pierwszej randce, nawet jeżeli oznaczało to, że przez resztę tygodnia będzie musiał jeść makaron krojony z Biedronki z ketchupem Madero z tego samego sklepu.

Kasia z Biłgoraja okazała się bardzo otwarta na nowe znajomości i po kilku Harnasiach w Parku

Krakowskim, Staszek zakończył wieczór koło 4 rano w objęciach swojej nowej sympatii. Katarzyna jawiła mu się wielce atrakcyjna zarówno wtedy, jak i o 8 rano, gdy wstał skorzystać z toalety. Ku własnemu zaskoczeniu, Staszek skonstatował, że dziewczyna nie ucieka, a nawet została na śniadanie. Czy raczej ersatz tegoż, bo zawartość lodówki młodego pracownika korporacji potwierdzała stereotypy związane z tym, że kawaler ma w niej głównie światło.

Kolejne tygodnie powodowały rozwój relacji. Większość spotkań, a właściwie wszystkie, rozgrywały się według tego samego scenariusza: promka z monopolowego, plener, a potem mieszkanie. Po miesiącu scenariusz uległ pewnej zmianie, podobnie jak polska aura zwykła się zmieniać w październiku, i Staszek z Katarzyną umawiali się już bezpośrednio u niego. Ten format spotkań pozwalał na zmniejszenie stresu związanego ze spotkaniem z patrolem straży miejskiej i mandatem za spożywanie w miejscu publicznym.

Ułatwiał również dostęp do toalety.

Relacja rozkwitała. Okazało się, że poza pasją do piwa, Staszka i Kasię łączy również zainteresowanie literaturą fantastyczną. Siedzieli więc wspólnie i kartkowali egzemplarze cyklu „Diuny”, które ktoś kiedyś zostawił w mieszkaniu. Wydawało się, że uda im się doczytać przynajmniej do „Boga Imperatora Diuny”, a może nawet i do „Heretyków Diuny”, ale życie postanowiło, że ta relacja musiała potoczyć się inaczej.

Gdy pewnego wieczora Katarzyna weszła do znanego jej mieszkania w szeroko rozumianym centrum Krakowa, zastała Staszka patrzącego na papier. U jego stóp leżała koperta, na której widniał nadawca.

PGNiG. Kaśka dorastała w domu ogrzewanym gazem i wiedziała dobrze, jak taka korespondencja wpływała na nastrój jej ojca. Po raz kolejny okazało się, że córki lubią przenosić to, co cechuje ich relacje z ojcami, na swoich wybranków. Staszek próbował nie płakać, ale uczucia nim targające były silniejsze od jego niego. Gaz podrożał o 21%. Dopiero zaczynał się sezon grzewczy, a w radiu zapowiadali zimę stulecia.

Katarzyna otoczyła Staszka ramieniem, a potem płakali razem. Przyniosła Grzańca Zbójnickiego i przyprawę do grzanego wina, ale w obliczu ciosu związanego ze wzrostem opłaty przesyłowej, zdecydowali się na spożycie go na zimno, żeby oszczędzić chociaż trochę gazu.

Minęło zaledwie kilka dni, gdy Staszek otrzymał kolejne pismo. To przyszło na skrzynkę odbiorczą, a nadawcą był Tauron. Ku niemożliwej do opisania radości Stanisława, narodowy dostawca uprzejmie informował go, że ceny prądu wzrosły właśnie o 34%. Kulturalnie dołączył też ulotkę o tym, że organizują festiwal muzyczny i że jako ich abonent, może kupić dwudniowy karnet w promocyjnej cenie 299 PLN, żeby zobaczyć Darię Zawiałow na żywo. Ta szczodra oferta sprawiła, że Staszek stwierdził, że jednak PGNiG nie jest takie złe. Nie interesował się nigdy polityką ani rynkami finansowymi, ale odczuł, że teraz to one się nim interesują i zaczął czytać w internecie. Trudno powiedzieć, żeby przegląd nagłówków z głównych portali informacyjnych wniósł w serce Stanisława optymizm.

„Ceny prądu notują historyczny pułap cen za MWh.”

„Czekamy na otwarcie rynków w USA. Rosja milczy.”

„Oczekiwane dzisiaj oświadczenie Władimira Putina już się chyba nie wydarzy.”

„Synoptycy zapowiadają zimę stulecia.”

„Bezpieczeństwo energetyczne Europy zależy od dostaw gazu lupkowego z Ameryki Północnej.”

„Giełda w Rijadzie zamknęła się, notując rekordowe ceny ropy.

Spodziewane wzrosty cen paliw i transportu.”

Stan finansów Stasiława był opłakany. Wierząc w odnawialne źródła energii, myślał, że zarówno gaz i prąd będą tanieć. Wolny rynek właśnie wyjaśniał farmy wiatrowe i fotowoltaikę.

Nadszedł piątkowy wieczór. Scenariusz znany z poprzednich tygodni wydarzył się ponownie: piwo z promki, wino z promki, stosunek oralno-genitalny, genitalno-genitalny, sen. Jednak potem nadeszła godzina 11 i coś w Staszku pękło. Kasia powiedziała, że idzie się umyć. Oczywiście, Staszek nie był przeciwko higienie, zwłaszcza gdy dotyczyła rejonów, z którymi miał nadzieję mieć kolejne kontakty, niemniej zaczął myśleć, że w sumie wolałby ją taką zbrukaną niż czystą w cenach, które obecnie zaczynały obowiązywać za metr sześcienny gazu. „Podmyć się – w porządku, ale czy to musi tak długo trwać?” – zastanawiał się, słysząc wodę lejącą się pod prysznicem. Wiedział, że nie jest to zimna woda i wiedział, jakie zużycie gazu ma jego wiekowy piecyk. Mimo zmęczenia nocnymi igraszkami postanowił działać.

Wpadł pod prysznic, zakręcił czerwony kurek i wyciągnął Katarzynę do sypialni.

Ku przerażeniu Staszka, Katarzyna nie zbierała się do wyjścia. Stwierdziła, że ma ochotę coś zjeść i w otchłaniach jego lodówki znalazła azjatyckie

danie, które wsadziła do mikrofal. 300W na 4 minuty, gdyż było to danie głęboko mrożone.

„Chryste, ile to prądu!”, pomyślał Staszek.

Chwilę później okazało się, że Kaśka chce podładować sobie telefon. Staszek podał jej ładowarkę, a w kablu widział sznur, na którym powiesi go Tauron na następnym rachunku.

Gdy już wydawało mu się, że ten pasożyt energetyczny zostawi go samemu sobie i decyzjom tak poważnym jak te, czy laptopa podładowuje w domu, czy też w bibliotece publicznej, ona pocałowała go w usta i powiedziała, że przyjdzie wieczorem.

- Może chodźmy raczej do parku... - zaproponował nieśmiało.

- Przecież jest listopad, pada, wszędzie błoto, a ty masz mieszkanie! – odpowiedziała zdroworozsądkowo.

Sama mieszkała z trzema koleżankami, więc spotkania u niej nie byłyby zbyt intymne.

„Czy ty widziałaś ceny prądu?!”, zakrzyknęła dusza Stanisława, ale coś mu mówiło, że nie może tego powiedzieć na głos. Po długich negocjacjach postanowili iść do klubu. Nie był to dobry pomysł, przez cały wieczór Staszek nie mógł pogodzić się z tym, że światła są tak jasne. *„Tyle luksów, tyle kilowatogodzin”* - myślał sobie, gdy wchodził do łazienki. Potem skończyło się jak poprzednio: łóżko, wspólne zabawy genitalno-genitalne, a rano znowu długi, gorący prysznic.

„Ileż można się szorować? Aż tak jej nie zbrukałem!” – myślał sobie Staszek, odliczając kolejne minuty, które Katarzyna spędzała w łazience.

„Chryste, dobrze, że nie mam bidetu!” – pocieszał się, stojąc przy licznikach prądu i gazu i patrząc, jak dynamicznie obracają się ich czerwone kółeczka.

Potem jego dziewczyna wyszła spod prysznica i powiedziała, że zrobi śniadanie.

„Niech to będzie jogurt z Muesli!” – pomyślał Stanisław. Niestety, ku jego przerażeniu, Kasia zaczęła szatkować cebulę i mówić o jajecznicy. *„Boże, ona mnie zrujnuje!”* – myślał, patrząc, jak patelnia z margaryną Palmą ląduje na największym palniku. *„Prąd, to korki sztucznie wybiję, ale co zrobić z gazem?”* – myślał, patrząc na ogromny płomień ogarniający jego żeliwną patelnię. *„Top się, szmato!”* – przeklinał, patrząc na to, jak zmrożona margaryna powoli przesuwana się po patelni. *„Co z tego, że jajecznica wyszła dobra, jeżeli koszt jej przyrządzenia był ponad ludzki wysiłek?”* – myślał sobie, zagryzając chlebem. Jednak najgorsze w tym wszystkim było to, że jego wybranka nie miała pojęcia o tym, jakie dramaty właśnie się rozgrywają w jego głowie i jaki to cios wymierzy jej kochankowi PGNiG na następnym rachunku.

Następna randka, to będzie albo śniadanie, albo ogrzewanie – postanowił Staszek, zakręcając wszystkie kaloryfery w mieszkaniu. Po kilku godzinach po wprowadzeniu tego rozwiązania temperatura niemal zrównała się z tą na zewnątrz. Oczywiście padało, bo przecież w Polsce, gdy człowiekowi jest smutno, to musi padać. Tak, żeby go jeszcze dobić, pokonać i poskakać mu po głowie. Po zobaczeniu cen świeczek w Aldim Staszek filozoficznie stwierdził, że skoro pokolenia jego przodków dawały sobie radę bez prądu i ognia, to on też może. Stwierdził, że zaistniała sytuacja sprawia, że jest bardziej kreatywny. Gdyby nie to wszystko, to nie wiedziałby, że uliczne latarnie są nieco powyżej parapetów na korytarzu i gdy stanie się na półpiętrze między pierwszym a drugim piętrem, to można całkiem dobrze widzieć litery i czytać choćby całą noc przy świetle ulicznych latarni.

Czytanie odziedziczonej serii „Diuny” okazało się być najtańszą dostępną rozrywką. Reglamentacja internetu sprawiła, że udawało mu się dość szybko czytać kolejne tomy cyklu Herberta.

Odkrycie związane z oszczędnością światła do czytania zainspirowało Staszka do poszukiwania dalszych rozwiązań umożliwiających obniżenie rachunków. W pracy ładował telefon i laptopa, a po powrocie do domu korzystał z nich, aż bateria wskazywała poniżej 20% naładowania. Starał się też odpinać router. Co tylko mógł, robił w pracy, nierzadko zostając dobrą godzinę dłużej. Problemem stawały się weekendy: biuro było wtedy zamknięte, całkiem bez telefonu współcześnie żyć się nie da, więc po przetestowaniu kilku lokalizacji, Staszek zaczął być częstym gościem pobliskiej biblioteki. Czasami główna czytelnia była pełna, wtedy siedł na uniwersytet i udawał studenta filologii klasycznej, gdyż tam w bibliotece było zawsze pusto. Brał więc z półki jakąkolwiek książkę, siadał w strategicznym miejscu i robił notatki z lektury. Czasem nawet go to wciągało i zdarzało się, że zostawał o kilka minut dłużej, niż telefonowi zajmowało pokazanie upragnionego 100%. Jednak po paru godzinach w bibliotece, nadchodził wieczór i wizyta Katarzyny.

Staszek włączał ogrzewanie na kilka godzin przed przybyciem Dulcynei. Internet na kilkanaście minut przed umówioną godziną. Czas trwania związku wpływał na to, że nie musiał już tak bardzo starać się zaimponować dziewczynie, więc wychodzili nieco mniej, raczej koncentrując się na przeliczeniu promila do złotych w wybieranych trunkach.

Nadszedł z dawna oczekiwany dzień przysłania rachunku z Taurona. Staszek drżącymi dłońmi otwierał załącznik. Ile udało się zaoszczędzić? Potem zaś padły słowa, które padają z ust wielu Polaków, gdy ich

reprezentacja gra w piłkę nożną. Cały miesiąc wysiłków na oszczędzaniu prądu i gazu zaowocowały tym, że rachunek był niższy o 12 PLN.

Staszek ruszył do dalszej walki. Zostawił po jednym źródle światła na pomieszczenie. Wykręcił żarówki z żyrandola w salonie. Postanowił przestawić się na świecenie komórką. Przypomniawszy sobie, że ludzie kiedyś nie musieli codziennie ubierać świeżych ubrań, więc od poniedziałku do piątku nie prał ubrań i starał się chodzić w jednej zmianie. Serce krwawiło, gdy musiał co wieczór prasować koszulę. Zastanawiał się, czy w pracy ktoś się nie zorientuje, ale stwierdził, że najwyżej wytłumaczy się tym, że kupił sobie pięć takich samych kreacji. Zresztą skarpetek przecież nikt mu nie będzie sprawdzał.

Z końcem listopada nadeszły mrozy, co pozwoliło na wyłączenie lodówki i przywiązanie jedzenia do kwietnika na parapecie. Wypadki do biblioteki nabrały nowego wymiaru po tym, gdy Staszek znalazł działające gniazdko elektryczne w jednej z łazienek. Dzięki temu, gdy ładował się telefon, on mógł zrobić pranie. Inną historią było wysuszenie go, bo biblioteka nie była wyposażona w żadne sznurki. W końcu jakoś się udawało, chociaż czasami jeszcze we wtorek musiał ubrać rzeczy nieco wilgotne.

Nadchodziły święta, tak jak to zwykły nadchodzić każdego grudnia. Zanim Katarzyna i Staszek pojechali do domów, aby spędzić je z rodzinami, postanowili zrobić wspólnie wigilię. Święta to święta, Staszek nie był zbyt częstym gościem pobliskiej parafii, ale pomny tradycji z domu rodzinnego, postanowił świętować.

Nabył w Dealzie zestaw podgrzewaczy za 4,99 PLN. Pod osłoną nocy zerwał kilka gałązek z drzew iglastych. Kupił wędzoną makrelę i Liebfraumilch. Długo walczył ze sobą i wizją ceny za takie szaleństwo, ale włączył nawet

ogrzewanie na dwie godziny przed planowanym przybyciem Katarzyny. Niestety, okazało się to być słabym pomysłem, bo po kilku tygodniach zimnicy ściany rozpoczęły oddawanie wilgoci ze środka i w momencie przyścia wybranki, zapach w mieszkaniu przypominał ten panujący permanentnie w męskich szatniach sportowych. Katarzyna nie omieszkła się wspomnieć o tym i poczynić kilka uwag o tym, że bywało czyściej i pachniało lepiej. No bywało, ale co poradzić, kiedy jak na złość akurat przez całego 22 grudnia świeciło słońce, a jedzenie w torbie za oknem nieco ucierpiało, zwłaszcza wigilijna makrela?

Wieczera pańska nie wyszła najlepiej, więc Staszek cieszył się, że następnego dnia oboje odjadą do swoich rodzinnych domów. Spotkać mieli się dopiero na Sylwestra.

Czas pobytu w domu rodzinnym pozwolił Staszкови na podreperowanie morale, a także stanu garderoby. Przeprał wszystko porządnie, niektóre rzeczy nawet w 60 stopniach (u siebie, gdy już absolutnie musiał włączyć pralkę, zawsze wybierał program na 20 stopni, co powodowało, że proszek nie rozpuszczał się i ukrywał się po kieszeniach, a co więcej powodował nieprzyjemne swędzenie, oczywiście w tych miejscach, których nie wypada drapać, gdy widzą inni ludzie). Święta w mniejszych miejscowościach cieszą się pewnymi prawami, ale Staszek nie do końca potrafił wczuć się w ich klimat. Oczywiście upił się z ojcem i bratem do Wigilii, a potem poszli na pasterkę. Oczywiście następnego dnia cały dzień oglądali telewizję, a od obiadu zaczęli stosować wkładkę alkoholową pod karpika. Jednak w tyle głowy Staszek cały czas miał myśli: ile będzie wynosił mój rachunek za prąd? Ile za gaz? O ile jednostek przesunęły się wskazania licznika?

Święta minęły i w kilka dni później, jakby na pożegnanie starego roku, na mailu pojawiła się nowa faktura do zapłaty. Czas otwierania pliku wydawał się wydłużać w nieskończoność. Jednak na końcu czekała nagroda: dzięki nadludzkim wyrzeczeniom, faktura pokazywała mniej niż połowę poprzedniego rachunku. „*TAK!*” – wykrzyknął z radością Staszek, wysyłając przelew. „*Czyli da się nie płacić dużo za prąd!*” – przekonywał sam siebie.

Do Sylwestra zostały tylko dwa dni. Razem z Katarzyną mieli iść do jednego z krakowskich klubów. Tanio nie było, ale także dzięki bohaterskim oszczędnościom na rachunkach, Staszek mógł zakupić dwie wejściówki do jednej z mniej popularnych knajp. Zabawa trwała, oczywiście, do białego rana. Koło 5 wtoczyli się do jego mieszkania. Odczuwając skutki ciężkiej nocy, padli bez ducha spać.

1 stycznia Staszka obudził przerażający dźwięk. Nie słyszał go od wielu miesięcy, a teraz jego źródło było zaledwie kilka metrów od jego łóżka. Przespał może kilka godzin, a zawartość alkoholu w wydychanym powietrzu zdecydowanie dyskwalifikowała go z możliwości prowadzenia pojazdów mechanicznych. Mimo tych niesprzyjających okoliczności poderwał się na łóżku, żeby ku swojemu przerażeniu zobaczyć, że Katarzyna odkurza jego mieszkanie. Kiedyś sam to robił, ale to było w czasach przed podwyżkami prądu.

Jeszcze zanim zaczął wyłączać lodówkę, odkrył, że mający kilkanaście lat odkurzacz może poszczycić się zużyciem prądu na miarę małego osiedla. A teraz ta energetyczna bestia była przesuwana po starożytnej wykładzinie.

- *Co robisz?* – krzyknął do Katarzyny

Ta aż podskoczyła po usłyszeniu krzyku gospodarza.

- *Już wstałeś?*

„*Jak miałem nie wstać, jak wyjesz odkurzaczem?*” – pomyślał Staszek, ale postanowił zachować dla siebie swoją zdroworozsądkową refleksję. Zamiast tego zapytał ponownie:

- *Co robisz?*

- *Sprzątam, a co niby innego? Pałętają się tu jakieś kłęby kurzu, okruchy, wszystko jest brudne, popłakać się idzie. Nowy rok, nowy ty! To jak już wstałeś, to możesz mi pomóc.*

Staszek przyjął ten cios z godnością. Postanowił nie zaczynać nowego roku od kłótni o to, ile prądu zużywa odkurzac. „*Jak kilka dni będę ostrożny, to odrobię tę ekstrawagancję*” – myślał sobie, przesuwając fotel i stół, żeby odkurzac mógł oczyścić wykładzinę i w tamtych miejscach. To był jednak dopiero początek noworocznych tortur. Ledwo skończyło się odkurzanie, Katarzyna udała się do kuchni i postawiła wodę zarówno w czajniku elektrycznym, jak i w garnku.

- *Co robisz?* – zapytał ponownie, ale teraz w nieco innym kontekście

- *Kawę, herbatę, no i parówki, bo wiele więcej w lodówce nie ma.*

„*Tydzień oszczędności...*” – pomyślał smutno. Sam od kilku tygodni ciepłe posiłki jadał jedynie w pracy. Co gorsza, od północy nowego roku wprowadzono nową taryfę i gaz drożał o kolejne kilkanaście procent.

„*Złoto jest mniej warte niż wygotowane parówki*” – irytował się, wylewając musztardę sarepską na talerz.

- *Hm, a myślałeś, żeby kupić zmywarkę? Patrz, mają tu taką promocję, 999 PLN, może zapytasz właściciela, czy nie kupilibyście na pół?*

„*Nie, nie zapytam*” – pomyślał sobie Staszek, odpowiadając, że to bardzo dobry pomysł i że jeżeli tylko właściciel zgodzi się, to oczywiście, zaopatrzy się w nowy sprzęt AGD.

- *Pójdę się umyć* – powiedziała Kasia koło 13.

To Staszek wliczył w rachunek zysków i strat. Nie przyszło mu jednak do głowy, że jego wybranka przyniesie ze sobą suszarkę. Słyszał przez drzwi łazienki tę rozpustę gorącego powietrza, które wiało we włosy jego dziewczyny. „*Błagam, niech to się skończy! Czy ona aby nie przyniosła lokówki???*” – stresował się Staszek, patrząc na licznik prądu i obracające się tam zębaki.

Po 18 Katarzyna wyszła. Do jej zbrodni energetycznych Staszek doliczył ładowanie telefonu i włączenie światła w dwóch pokojach jednocześnie. Oczywiście musiał mieć włączony router przez cały czas pobytu gościa. Ledwo za Katarzyną zamknęły się drzwi, Staszek podbiegł sprawdzić stan liczników. Tak jak myślał: 4 kwh i prawie cały 1m³ gazu. Nie, to nie może tak być. To musi się skończyć!

Na następne umówione spotkanie nie przyszedł. Gdy Katarzyna przyszła do niego do domu, udawał, że go nie ma. Nie było to trudne, bo siedział przy wyłączonym świetle. Nie odbierał od niej telefonów i nie odpisywał na wiadomości. Bał się tylko, żeby nie spotkać jej mniejszym lub większym przypadkiem – wiedziała, gdzie pracował i gdzie mieszkał. Po kilku dniach, kilkudziesięciu nieodebranych połączeniach i kilkuset nieodpisanych wiadomościach, postanowił zakończyć ten dramat z jakimś fasonem. Coś wewnątrz mówiło mu, że nie może podać prawdziwych powodów rozstania, bo Katarzyna i tak by nie zrozumiała, a pewnie opowiadała potem wszystkim dookoła i oni też by nie zrozumieli. Już od kilku miesięcy obserwował, że ludzkość z dziwnym spokojem nadal używa prądu, jakby nic się nie zmieniło. Myślał intensywnie, jak wybrnąć z tej sytuacji. Przerazało go, że Katarzyna mogłaby odwiedzić go po raz kolejny, znowu przynieść suszarkę, a do tego włączyć kilka palników na kuchence. Lista sposobów,

które Staszek rozważał, wydłużała się. Myślał, żeby powiedzieć, że ma na boku kochankę, ale biorąc pod uwagę jego przebojowość i zdolności nawiązywania kontaktów międzyludzkich, było to kłamstwo zbyt grubymi nićmi szyte. Kolejny pomysł zakładał deklarację odmienną orientacji seksualnej, ale uznał to za zbyt ryzykowne.

Nie mógł liczyć na to, że zostanie zostawiony za picie, bo jego partnerka piła równo z nim i nie przeszkadzało jej to w żadnym stopniu. Przemoc domowa również nie gwarantowała sukcesu, a co więcej nie widział się w roli kata. W końcu wymyślił poważny powód do rozstania się, a konkretnie do bycia zostawionym.

„W następnych wyborach będę głosował na Konfederację” – napisał pewnego wieczoru.

Katarzyna już nigdy więcej go nie niepokoiła.

Bogaty

Dzyń- dzyń- dzyń – majestatyczny dźwięk dzwonu przeszywał poranne powietrze nad osiedlem. Kościół Miłosierdzia Bożego informował okoliczne domy i bloki o tym, że już za 30 minut rozpocznie się msza święta. Zainteresowanych nie było zbyt wielu, zresztą zainteresowani znali bardzo dobrze harmonogram nabożeństw w lokalnym kościele i nie potrzebowali dźwiękowej dawki przypominającej o wydarzeniu religijnym, jednak święte dzwony nie miały sprawować funkcji informującej, a represyjną. Tak przynajmniej odbierał to Janek, który w okolicy zamieszkał kilka tygodni wcześniej. Kolejny raz dzwoniły o 7:30, a na poprawę jeszcze o 17:30. Prawdziwy festiwal muzyczny przypadał na niedziele i święta, kiedy to msze odbywały się sześć razy dziennie, oczywiście każda poprzedzona 30 minut wcześniej wiadomym sygnałem dźwiękowym. Był to jeden z dramatów, które nękały Janka, odkąd zakupił apartament na obrzeżach pewnej polskiej aglomeracji.

Decyzja wydawała się być więcej niż racjonalna. Ze względu na ograniczoną zdolność kredytową i symboliczny wkład własny, Janek musiał zdecydować się na nieco mniejszy metraż, niż planował. Również miejsce położenia tego metrażu nie do końca wypadło w tym miejscu, które sobie wymarzył. Termin ‘apartament’ też nie był tym, który najlepiej oddawał istotę miejsca zamieszkania Jana, chociaż tak miał zapisane w umowach, w tym tej najważniejszej, podpisanej z bankiem na 25 lat. Pocieszał się, że 25 metrów kwadratowych i piwnica 8 m² położone nawet nieco dalej od centrum, to lepiej niż 12 w szeroko rozumianym centrum miasta. Lubił proste

rozwiązania, więc podobało mu się, że jeden metr mieszkania oznacza jeden rok pracy, w ten sposób wiedział, że się nie pogubi i że dokładnie w roku 50-tych urodzin spłaci swój kredyt. Jeszcze kiedyś myślał o mieszkaniu w nowoczesnym budownictwie, ale zderzenie się z realiami cenowymi wyżej wymienionego sprawiło, że Janek zdecydował się na komuszy blok z końca lat 70-tych.

Kilka pierwszych życia tygodni zajęło zrozumienie nowemu wówczas lokatorowi, że ktoś był kreatywny i po prostu podzielił mieszkania 50 m² na mniejsze, a zdolni lokalni hydraulicy i elektrycy zadbali o adaptację sieci do podpięcia wody i prądu. Dzięki wciśnięciu antresoli, co przy wysokości stropu 2.55 m było pewnym wyczynem, mieszkanie zyskało dodatkowe kilka metrów.

Egzystencja na obrzeżach aglomeracji miała swoje blaski i cienie. Dynamiczny system transportu okazał się być projektem, do którego pełnej realizacji nieco jeszcze brakowało, a w tym przypadku 'nieco' należało definiować jako dekadę. Janek odkrył też dość szybko, że rozkład jazdy komunikacji zbiorowej to raczej pewien zbiór nieśmiałych sugestii niż sztywne wytyczne, które miałyby regulować transport. Po kilku spektakularnych spóźnieniach do pracy postanowił opuszczać miejsce zamieszkania z paranoicznym wręcz zapasem czasu. Dostrzegał w tym pewne pozytywy, bo stojąc w korkach, mógł dość dużo poczytać i jego znajomość wiadomości ze świata uległa znacznemu poszerzeniu wobec stanu, gdy mieszkał w dzielonym mieszkaniu studenckim bliżej miejsca pracy.

Położenie Polski na mapie świata owocuje tym, że w kraju panuje zjawisko pogodowe zwane zimą. Jankowi było bardzo dobrze w jego ciepłym apartamencie. Niestety, gdy tylko z niego wychodził, odkrywał, że transformacja energetyczna zaistniała w zaledwie ograniczonym zakresie w okolicach jego zamieszkania.

Biały dym unoszący się znad okolicznych kominów jasno informował, że albo wybrano właśnie bardzo wielu papieży, albo że okoliczni mieszkańcy palą w piecach, czymkolwiek się da, a nawet i nie da. Janek nie mógł przestać się zastanawiać jaką wartość kaloryczną prezentują sobą torby po chipsach, butelki PET i stare książki. Zapach panujący w okolicy zdradzał, że liczni gospodarze wykorzystują tę okazję do pozbycia się śmieci. Będąc osobą stosunkowo nową w okolicy, Janek nie miał odwagi interweniować osobiście. W zamian zgłaszał anonimowo kolejne adresy do Eko Patrolu. Po trzech tygodniach i zaraportowaniu czterech okolicznych ulic zdał sobie sprawę, że działanie to, chociaż wielce szlachetne, jest daremne. Ilości dymu nie ubywało, a nikogo z Eko Patrolu Janek w okolicy nigdy nie zauważył.

Janek czytał dużo o tkance społecznej i ruchach obywatelskich. W ciągu pierwszych kilku miesięcy swego życia nie stwierdził takowych w okolicy, poza oczywiście tradycyjnymi kołami gospodyń wiejskich, co przy dynamicznie napływającej ludności, która próbowała uciec z miasta, wyglądało na relikht sprzed kilku epok.

Na tym etapie mieszkania na obrzeżach dużej aglomeracji poznał na tyle dobrze ludność autochtoniczną, że nie był przesadnie zaskoczony, że mimo bliskości większego ośrodka urbanistycznego, zmiany w mentalności zachodziły wielce powoli. Sam również nie palił się do zobaczenia, co się wydarzy, gdy zacznie próbować namawiać lokalnych do działania na rzecz

czystych ulic, dbania o zielen miejską i założenia kółka teatru eksperymentalnego. W dniach, gdy nachodziły go te myśli, zobaczył, że na tablicy korkowej na korytarzu w bloku pojawiła się petycja w sprawie zamontowania głośników na zewnątrz kościoła, tak żeby mszę można było słyszeć również na zewnątrz. Czytając to ogłoszenie obywatelskie, zrozumiał, że priorytety jego i jego sąsiadów są bardzo odmienne.

O tym zresztą też mógł się wielokrotnie przekonać. W mieszkaniu nad nim była dwójka kaszoadów, które potrafiły generować dowolną ilość hałasu o każdej porze dnia i nocy. Nawet jeżeli akurat nie krzyczały, to potrafiły spontanicznie coś strącić. Gdy na podłogę piętro wyżej spadało coś ciężkiego, to Janek musiał odtrącać od siebie myśl, że ktoś zrzuca cegły na bęben postawiony tuż koło jego głowy. Ponieważ dzieci w tym wieku potrafią sypiać jeszcze bardziej nieregularnie niż alkostudenci, Janek nigdy nie wiedział, o której dokładnie przyjdzie mu wstać.

Z czasów studiów Janek dobrze wiedział, że prawdziwe mieszkanie musi być pełne książek. Pozwala to odwiedzającym zrozumieć, że mają do czynienia z osobą nieprzeciętną. O ile zapełnienie wszystkich półek książkami nie było trudne – nawet przy posiadaniu siedmiu kompletów bielizny osobistej i tyluż koszulek w mieszkaniu nie zostawało zbyt wiele miejsca – o tyle większym problemem były same książki.

Początkowy plan zakładał zatopienie domu w literaturze azjatyckiej, ale po zorientowaniu się, w jakich cenach są dzieła Tanizaki Junichiro i Natsume Soseki, Janek poszedł do jednego z popularnych sklepów z elektroniką i kupił około metra (mierzonego po grzbietach) książek z przeceny. Zaowocowało to dość wszechstronną kolekcją, w której literatura podróżnicza sprzed kilku sezonów spotykała się z książkami z sekcji

‘zdrowie kobiety’ i ‘programowanie dla początkujących’. Chwilowo zdecydował się nie inwestować w sprzęt nagłaśniający, a decyzja jego motywowana była w równym stopniu brakiem miejsca jak i pieniędzy, tak więc swojej kolekcji dwunastu płyt CD (z obowiązkowym ‘Greatest Hits’ Queen) słuchał z wieloletniego discmana.

Wielkich nakładów finansowych nie wymagała decyzja o adopcji kota. *„Dom bez kota jest tylko pustym mieszkaniem”*, głosił napis na tabliczce, którą niegdyś oferowała mu koleżanka. Najpierw Janek sprawił posłanie, kuwetę i żwir granulujący się. W schronisku dla zwierząt zapytano go, czy balkon został zabezpieczony siatką, żeby kot nie wypadł i nie zrobił sobie krzywdy. Czując się nieco upokorzony tym pytaniem, Janek spędził dobrą połowę soboty, przybijając wymagany rekwizyt do ścian i balkonowej balustrady. *„Chcę sobie wziąć bezdomnego kota, to muszę wykazać, że mam ciepło, zabezpieczony balkon i okna. A jak chce się mieć grzdyla, to żadnych siatek i ogrzewania nie potrzeba”* – myślał cierpko, walcząc z irracjonalnym system montażu zabezpieczeń przy dźwiękach płaczących dzieci z piętra wyżej. Mimo tych zabiegów adopcja kota Iwana okazała się być dość krótkotrwała. Janek kota otrzymał, ten nawet powoli wydawał się zadomowiać, aż pewnego dnia przyszła kontrola środowiskowa. Nie zwrócono nawet uwagi na zamontowane z takimi trudami siatki balkonowe, tylko od razu skoncentrowano się na metrażu pomieszczenia. Chwilowego właściciela puchatej istoty pouczono, że trzymanie kota na takim metrażu podpada pod znęcanie się nad zwierzętami i może grozić nie tylko mandatem, ale i postępowaniem sądowym. Pośród desperackich miauków zabrano kota. Niczym Orszula w domu Kochanowskiego, tak też i Iwan wielkie uczynił zniknięciem swoim pustki w apartamencie Janka, po części

dlatego, że w takim metrażu nie dało się spędzić więcej niż pięciu sekund, nie widząc kota. Czując się upokorzony decyzją lokalnej komórki TONZu, pod osłoną nocy Janek podrzucił posłanie, kuwetę, pół paczki żwiru i wędkę z piórami pod bramą schroniska dla zwierząt, mając nadzieję, że chociaż część z tych przedmiotów trafi do jego krótkoterminowego pupila.

Mijały kolejne tygodnie, a z nimi miesiące. Praca w charakterze korpoplanktonu związana była z

otrzymywaniem comiesięcznych gratyfikacji finansowych. Pewnego dnia Janek postanowił sprawić sobie stylowy stojak na wino i napęłnić go szlachetnymi trunkami. Po dogłębnej analizie rynku wybrał model na dziewięć butelek za 99.99 PLN. Kalkulacja, ile kosztowałoby zapełnienie go butelkami z enoteki, przekonała go do wizyty w pobliskich dyskontach i zaopatrzeniu się w wina Kadarka Prestige, Sophia Boyar i Fresco.

„*Wino jest wino!*” – przekonywał sam siebie, układając z pietyzmem ósme i dziewiąte butelki: litrowe Grzańce Zbójnickie, których atrakcyjna cena związana była z nabyciem dwóch sztuk tego towaru.

Różni ludzie mają różne hobby. Im więcej czasu Janek spędzał w mieszkaniu, tym bardziej wydawało mu się, że cała reszta mieszkańców jego bloku połączona jest pasją do borowania dziur. Niektórzy nawet wiertłami udarowymi. Przez pierwsze kilka tygodni nie widział w tym niczego dziwnego, w końcu nie tylko on się wprowadzał do starych mieszkań podzielonych na apartamenty. Jednak mijały tygodnie, mijały miesiące, a sąsiedzi nie przestawali borować. Nadzieje Janka na to, że to szaleństwo kiedyś się zakończy, pogrzebała rozmowa z sąsiadem, który z uśmiechem szaleńca wyznał, że od mieszka tam od urodzenia, ale nie ma tygodnia, żeby nie znalazł przynajmniej kilku okazji do borowania.

Janek podejmował też pewne próby związane ze znalezieniem sobie partnerki, bo nawet na 25 m² można wieczorami poczuć się wielce samotnie. Gdy w końcu udało mu się umówić na randkę z Tindera, gdy przerobili etap upijania się w barze w krępującej ciszy, dotarli do jego mieszkania. Jeżeli chodzi o noc, to nie mógł mieć zastrzeżeń, jednak o poranku, gdy siedzieli w kuchni połączonej z salonem i sypialnią, to wtedy dowiedział się, że było fajnie, ale jednak nie da się być w poważnej relacji z człowiekiem, który w jego wieku uważa, że stabilizacja to mieszkanie o takim metrażu i w takiej lokalizacji.

Uwagi te wpędziły Janka w kiepski nastrój. Zanim poznał tę wredną dziewczinę, był wielce zadowolony, a nawet dumny, ze swojej kuchni. Uważał, że świetnie się komponuje z resztą mieszkania, a możliwość włączenia czajnika leżąc na łóżku, postrzegał jako dodatkowy atut tego miejsca. Co więcej, był nawet w stanie smażyć jajecznicę, ledwo siedząc na łóżku, a i sięgnięcie do lodówki nie wymagało przesadnie intensywnych ruchów.

Po spędzeniu kilku weekendów na aranżacji miejsca do życia (poza weekendami Janek głównie spał, jeździł do pracy, pracował i wracał z pracy), soboty i niedziele zaczęły stawać się dziurami bez dna. Najpierw pił zachwycony tym, że wódka wychodzi dobre cztery razy mniej niż w barze. Potem próbował umówić się ze znajomymi do miasta, ale większość pozostawała w mniej lub bardziej stałych związkach, w których miejsca dla Janka zdecydowanie nie było. W desperacji poszedł odkrywać lokalną scenę barową, a ta nawet wydawała kochać się go ze wzajemnością, dopóki zgadzał się kupować wódkę zebrany pod monopolowym. Gdy pewnej sobotniej nocy womitował za klubem bilardowym Dart, stwierdził, że obrana przez

niego ścieżka prowadzi na manowce. Nieco na wzór Buddy, który pojął, że głodówka nie prowadzi do oświecenia, tak i Janek stwierdził, że nie ma szczęścia w picciu taniego alkoholu na trawniku.

Gdy czasem w pracy ludzie zastanawiali się, czy nie rzucić tego wszystkiego (czytaj: miasta) i pojechać w Bieszczady, Janek nigdy nie potrafił zabrać zdecydowanego głosu, bo miewał odczucie, że jakby nieco mieszkał w Bieszczadach. Gdy jednak patrzył przez jedyne okno swego mikroapartamentu, to wówczas miał poczucie, że nie mieszka zbyt blisko natury, zwłaszcza gdy w listopadzie rozpoczęto budowlę nowego osiedla w miejscu starego bazaru. Prywatny inwestor wydawał się dość spieszyć, prace trwały od rana do późnych godzin wieczornych i jeszcze zanim skończono kłaść fundamenty, pojawiły się ogłoszenia o tym, żeby zamieszkać w atrakcyjnej lokalizacji, tylko 20 minut od centrum miasta. *„Chyba jadąc 120 km/h o czwartej rano”* – pomyślał, widząc to hasło reklamowe i stojąc w odwiecznych korkach. O ile prywatnych inwestycji mieszkaniowych w okolicy przybywało, o tyle nikt nie wydawał się przesadnie zainteresowany inwestycją w drogi, te nadal miały przepustowość taką samą jak w 1983 roku, kiedy to położono asfalt.

Wzorem każdej wielkiej międzynarodowej firmy, tak i firma Janka obchodziła święta Bożego Narodzenia. Ani wtedy, ani nigdy później Janek nie pojął, dlaczego przyznano mu słoik ekologicznego smalcu i kubeczek hiszpańskiego masła. Po dotarciu do mikroapartamentu zwanego domem, złożył te dary w lodówce i postanowił, że nie oglądnie ich przed zakończeniem daty przydatności do spożycia.

Gdy zbliżały się święta Bożego Narodzenia, Janek postanowił kupić sobie choinkę. Dobrze poszło mu targowanie i poza zbiciem znaczącym zbiciem ceny jodły balsamicznej, dostał do niej także świąteczny obrazek z intarsjowanym papieżem Polakiem. Już po rozstawieniu choinki okazało się, że Janka nieco poniosło i że po wyjęciu z opakowania, gałęzie iglaka wymagały wielu kombinacji ustawnych, zanim udało się je wydobyć z posłania i ustawić tak, aby nie blokowały drzwi od lodówki. Możliwość zaproszenia kogokolwiek, by pochwalić się świątecznym nastrojem, przepadła. Wigilię Janek spędził w domu rodziców, jakieś 300 kilometrów na północny wschód od miejsca zamieszkania, ale już wieczorem 26 grudnia zameldował się z powrotem i smutno spożywał ekologiczny smalec z hiszpańskim masłem. Nie został fanem tych zdobyczy kulinarnych.

Każdy dzień pracy w dużej firmie jest dniem bycia terroryzowanym kotkami i pieskami. Im bliżej było świąt, tym więcej było takich dni. Kot pod choinką, piesek na spacerku, wszystko wysyłane mailami i wiadomościami prywatnymi. Janek nie miał możliwości nawiązania walki na tym poziomie, nie miał żadnego zwierzątka, a po porażce związanej z adopcją kota, nie miał odwagi próbować ponownie.

Nowy Rok powitał na rynku miasta, słuchając artystów, których akurat lokalne władze postanowiły wesprzeć, a o północy wziął udział w rytualnym polewaniu się okolicznej ludności Igristoje za 6.99 PLN.

Gdy po różnych perturbacjach związanych z transportem publicznym następnego poranka dotarł do swego apartamentu, dość natrętnie prześladowała go myśl, że od tego miesiąca wzrosły stopy procentowe, a wraz z nimi rata jego kredytu. To by go jeszcze nie wykończyło finansowo, ale rósł też czynsz, koszt kilowatogodziny, opłaty przesyłowe, odbiór

odpadów i woda. Janek dokonał licznych rozliczeń na papierze i jak tego nie liczył, to wychodziło, że mu będzie musiał zmienić styl życia. Albo ogrzewanie, albo masło. Z której strony na problem nie popatrzył, wychodziło mu, że jest tylko jedna możliwość przeżycia w tych realiach finansowych.

Okoliczności postępującej drożyzny powodowały, że przybywało ludzi zdesperowanych tak jak i on. Spędził jeden z weekendów, mierząc, planując, licząc i myśląc. Rezultatem tych wysiłków była wyprawa do pobliskiego sklepu ze Szwecji, gdzie poza hot dogiem nabył łóżko i drugą szafkę. Z pomocą kolegi przetransportowali to do mieszkania. Tam spędzili kilka godzin na składaniu zakupionych mebli i spożywaniu promocyjnego dwunastopaku Harnasia. Ukoronowaniem pierwszej czynności było wykonanie zdjęć i zamieszczenie ogłoszenia na popularnym portalu internetowym. Następnie otworzyli ostatnie Harnasie i koło północy zasnęli snem sprawiedliwych i pijanych w sztok.

O poranku na Janka czekały cztery nieodebrane połączenia i siedem wiadomości. Pierwszy zainteresowany pojawił się o 11. Po obejrzeniu mieszkania powiedział, że chyba nie do końca tego szukał. Z tej wizyty Janek wyciągnął wniosek, że może bardziej zachęci kolejnych odwiedzających, jeżeli wyniesie śmieci i wyrzuci rozkładające się resztki ekologicznego smalcu z lodówki. Koło 14 powitał kolejną osobę, koło 16 skończył sprzątać łazienkę. Łącznie przez mieszkanie przewinęło się dwanaście osób, sześć było zainteresowanych.

Niestety dla Janka, żadna z nich nie była płci przeciwnej. Ostatecznie wybrał Marka, studenta technologii żywności z Uniwersytetu Rolniczego. Ten chciał się wprowadzić jak najszybciej, więc już następny weekend spędzali wspólnie, ucząc się, jak zaaranżować 25 m² z obcą osobą, a także negocjując

harmonogram dnia, pory snu i rotacyjny system spożywania posiłków. Wkrótce udało im się także dokonać podziału przestrzeni łódzkiej.

Mimo znalezienia współlokatora, Janek jeszcze przez tydzień po zamieszczeniu ogłoszenia otrzymywał zapytania o aktualność ogłoszenia. Mając płacącego lokatora, zaczynał powoli wierzyć, że uda mu się żyć w miarę normalnie. Gdyby tylko mógł mieć jeszcze jednego... Niestety, nie było fizycznej możliwości wstawienia kolejnego łóżka i szafy.

Pewnego wieczora oglądali z Markiem „Kill Bill vol. 2”. Scena z trumną zainspirowała Janka. Zszedł do piwnicy i z radością stwierdził, że w sumie może wyrzucić wszystkie rzeczy tam zgromadzone, głównie kartony po sprzętach AGD i farby. Pomierzył, policzył i poprawił mu się humor. Pewną niedogodnością była temperatura panująca w pomieszczeniu, a także brak łazienki i możliwości gotowania. Przy tym uznał, że na brak okna nie ma co zwracać uwagi. Poza tym był już koniec lutego i niektóre nocy miały temperatury nie bardzo ujemne.

Marka do swego wielkiego planu przekonał tym, że obniżył mu cenę wynajmu. Za kolejne dwieście złotych zniżki, współlokator zgodził się pomóc w aranżacji pomieszczenia, co oczywiście wymagało kolejnej wizyty w sklepie ze Skandynawii. Janek miał wręcz déjà vu: znowu skręcanie mebli, tylko tym razem przy świetle żarówki, znowu dwunastopak, ale tym razem promocyjnego Żubra, znowu ciężka bania o poranku. O ile zainteresowanych znowu nie brakowało, to jednak po obejrzeniu miejsca do mieszkania i odkryciu tego, że musieliby chodzić na trzecie piętro w celu zjedzenia czegośkolwiek lub skorzystania z toalety, większość się wykruszała. Postępująca drożyzna jednak sprawiła, że wiele osób nie do końca mogło sobie wybrać mieszkanie marzeń, więc i tu zjawiał się chętny, Kazik, nocny

stróż w pobliskiej hucie. Stwierdził, że skoro pracuje na nocki, to systemem rotacyjnym może używać prysznic i kuchni kiedy akurat Marka i Janka nie będzie, a odlewać się może na pobliskim trawniku, nie musi wchodzić na trzecie piętro w tym celu.

Po podpisaniu umowy i pobraniu kaucji Janek poszedł do pobliskiego baru. Kupił piwo i żyjąc perspektywą otrzymywania miesięcznie dwóch czynszów, pierwszy raz w życiu pomyślał sobie, że jest bogaty.

Dąb Krakowski

Pewnego lutowego dnia poseł Dąb Krakowski wstał z łoża, podrapał się po owłosionych jajach i poszedł zjeść jajko na twardo. Ta wykwintna potrawa została mu podana przez służącą imieniem Ruth. Ruth była chrześcijańską imigrantką, a Dąb nie był chrześcijańskim imigrantem, Dąb był posłem na sejm Ludów Słowiańskich. Mimo tych drobnych różnic w pochodzeniu klasowym, jego ręce wcale nierzadko lądowały między nogami Ruth, bo Ruth mogła cieszyć się prawami pracowniczki tymczasowej, co oznaczało prawo do spania pod mostem - dokładnie takim samym jakie mają bogaci - i bycia molestowanym - też takim jakie mają zasobni w walutę. Jakoś tak składa się, że bogaci korzystają z tych praw nieco rzadziej niż ci, którym tak szczerze je przyznano. Jednak to nie dzieje Ruth i jej przywilejów są tematem tej opowieści. Są nim prerogatywy nieodrodnego syna pewnego narodu, a konkretnie posła Dęba, którego patriotyzm i zamięłowanie do słowiańszczyzny służyć miało za wzór kolejnym pokoleniom jego rodaków. Dzięki woli ludu, poseł Dąb miał prawo do występowania w imieniu swego suwerena. Właśnie skorzystanie z tego prawa przez wiernego syna swego narodu można znaleźć poniżej.

STENOGRAM Z POSIEDZENIA RADY SŁOWIAŃSKIEJ RZECZPOSPOLITEJ POLSKI Z DNIA 23 LUTEGO 2016 ROKU (w słowiańskim piśmie runicznym)

*Wystąpienie posła Dęba Krakowskiego, zasiadającego w Radzie
z ramienia Partii Niesamowita Słowiańszczyzna*

Najdrożsi bracia, najdroższe siostry! Sława! (*okrzyki aprobaty, aplauz na sali*). Jestem Polakiem, więc będę mówił po polsku. Sława! Na chwałę Perunowi! Na chwałę wielkiej Słowiańszczyzny!!! (*brawa. Wrzask. Spontaniczny okrzyk: “niech żyje Stalin!”* Marszałek: proszę o wyprowadzenie nietrzeźwego posła rosyjskiej mniejszości narodowej, pana Marka Jałowca. Przerwa, podczas której służby porządkowe wynoszą posła Marka Jałowca skandującego “*NIECH ŻYJE STALIN!*”).

(Przywrócono spokój na sali, kontynuuje poseł Dąb Krakowski):

Będę przemawiał długo, bo będę mówił o Polsce, Kraju Słowiańskich Narodów. Będę mówił o rzeczy najbliższej naszym sercom. Będę mówił o sprawach najważniejszych dla nas wszystkich. Będę - powtórzę – mówił o naszej Słowiańszczyźnie, bo zostałem wybrany przez ludzi, by reprezentować ją na naszej radzie. Będę mówił o największym zagrożeniu jakie nas może spotkać. Tym zagrożeniem jest chrześcijaństwo. (*gromkie brawa, okrzyki “Poolskaaaa Słowiańskaaa!” z ław partii Niesamowita Słowiańszczyzna*).

Od zarania naszych dziejów musieliśmy stawiać czoła niezliczonym atakom ekspansywnych religii. (*przytakujące pomrukiwania*) Z powodów, których nigdy nie mogliśmy zrozumieć, chrześcijanie próbowali przynieść nam tutaj swoją religię, dla jak twierdzili, naszego dobra. Racje historyczne udowodniły ponad wszelką wątpliwość, że dobro w ich rozumieniu oznacza

zysk dla wyznawców jedyne go słusznego wyznania, a pogardę, biedę, poniewierkę i cierpienie dla innowierców. Zresztą i ten termin jest właściwy dla tego destrukcyjnego prądu myślowego. Wielokrotnie daliśmy im słuszny opór, choćby w roku 1038. Dzięki temu, że stawialiśmy tamę zalewowi wrogiego światopoglądu, mogliśmy już w XIV wieku cieszyć się społeczeństwem wieloetnicznym i wielokulturowym, w którym wiara naszych przodków była szanowana i wyznawana przez ogół, jednak nigdy nie stała się dla nas światopoglądem, który narzucaliśmy innym (sporadyczne brawa). Zawsze akceptowaliśmy różnorodność wyznań i oczekiwaliśmy jedynie współpracy na płaszczyźnie ekonomicznej. Dlatego też obecnie cieszymy się panteonem setek bogów, którzy nie przeszkadzają nam w koegzystencji z innymi ludami. Przyjmowaliśmy Żydów, Mahometan, Tatarów, niezliczone mniejszości z krajów Europy Zachodniej, gdzie były one prześladowane przez chrześcijan. Nawet i chrześcijanom nie zabranialiśmy nigdy wstępu na ziemię naszej ojczyzny, nigdy nie oczekiwaliśmy od nich ślepej akceptacji nauk Peruna i bezrefleksyjnego podążania za nimi. Nie zmuszaliśmy ich do brania udziału w odwiecznych rytuałach użyźniania ziemi na wiosnę (entuzjazm i pobudzenie na sali). Jednak zawsze byliśmy solą w oku dla naszych chrześcijańskich sąsiadów, byliśmy ich Wieliczką. Prowadzenie handlu, wymiana zdobyczy naukowych: to nigdy im nie wystarczało, z sobie tylko znanych powodów zawsze nalegali, żeby nas zbawić i pozwolić na poznanie ich boga, jak gdyby znajomość ta oznaczała jakieś niesamowite szczęście. Jeżeli było to takie szczęście, to dlaczego uparli się wcisnąć nam je do gardła? W latach, gdy oni tracili swoje języki na rzecz łaciny, my tworzyliśmy literatury w kilkunastu mowach, w tym w języku łużyckim. Setki, tysiące ludzi zginęło po obu

stronach, by pozwolić nam na życie według zasad, które odziedziczyliśmy od przodków. (oklaski).

Nazwa naszego kraju wywodzi się od naszych praojców, od Polan - ludzi, którzy zawsze pozostawali dumni ze swego pochodzenia. Praojców, którzy byli świadomi siebie i swego bytu. Ta świadomość była solą, Wieliczką w oczach naszych przeciwników, Wieliczką wcieraną w ich rany. (okrzyk z sali: pan to już mówił!) Dlatego też w 1410 roku musieliśmy stoczyć bitwę pod Grunwaldem, w której stada germańskich bandytów jedyne go słusznego wyznania próbowało nas skrzywdzić chrześcijaństwem. Bitwę tę wygraliśmy, chociaż nie jest jakimś wielkim powodem do dumy wymordowanie tysięcy młodych samców ubranych w dziwaczne stroje i krzyczących, że Jezus Chrystus i Maryja Zawsze Dziewica.

Gdy chrześcijanie sprowadzali kobiety do roli inkubatora swych wypłodów, u nas białogłowy cieszyły się pełnym równouprawnieniem i prawem wyborczym. Żona byle kmiecia z Ziemi Wschodnich miała większe prawa i była traktowana lepiej niż królowa Hiszpanii! Dzięki temu mamy tradycje literatury, odkryć naukowych i sztuki bardzo odmienne od tych świata chrześcijańskiego, wystarczy wspomnieć niesamowity tryptyk 'Kuszenie Swaróżyca'. Ostatecznie nasz humanizm i zamięłowanie do tolerancji sprowadziło na nas klęskę: wyznawcy Jezusa wymazali nasz kraj z map świata na 123 lata. Przez te lata ludność Polski poddawana była przymusowej chrystianizacji, której rzecz jasna nie uległa (brawa). Liczne powstania podkreślały naszą wrodzoną potrzebę do podążania za głosem naszych przodków. W końcu w roku 1918 odzyskaliśmy niepodległość i prawo do wielbienia Peruna, Swaroga, Świętowita i całego naszego

panteonu bogów. Jednak chrześcijanie na tym nie poprzestali. Musimy zadać sobie pytanie, czy kiedykolwiek będą w stanie powstrzymać swe wrodzone ciągoty do rozszerzania wpływów swej wiary. Wiemy dobrze, że odpowiedź brzmi: nie.

Z przerażeniem patrzyliśmy, gdy wyznawcy tej wiary wzniesli na sztandary hasła nazizmu, dominacji rasowej i religijnej. Uczynili to przy wsparciu swoich duchowych przewodników. Próbowali wciągnąć nas w ten obłęd, ale pomni naszej bogatej historii koegzystencji, nigdy nie pozwoliliśmy im wziąć choćby guzika. Jednak oni wzięli całe nasze palto i wtarli nam Wielickę w oczy (konsternacja na sali). Nasz kraj na lata stał się polem bitwy między protestantami i prawosławnymi. Nie wygrał nikt, a przegrali wszyscy, szczególnie my. Zniszczono pokolenia, które wyrosły z naszej tradycji wielokulturowości, tolerancji, współczucia i zrozumienia. Zniszczono wiekowe obiekty kultu, świątynie, w których pokolenia oddawały cześć prasłowiańskim bóstwom. Czasu ludzkości nie wystarczy, żeby zadośćuczyniła nam za przemarsz wojsk hitlerowskich przez nasz kraj. A i te wydarzenia wydają się względnie niewinne przy tym, co przyniosła Armia Czerwona, która oswobodziła nas, by, mając nas wizją Wielkiego Związku Słowiańskiego, utrudniać nam kultywowanie wiary praojców, oferując w zamian kult jednostki i jego wypaczenia. Jednak tysiące działających w podziemiu nie pozwoliło na zatracenie naszej wyjątkowej duchowości, ci bezimienni bohaterowie na tajnych kompletach nauczali pisma runicznego, myśli teologów i literatury praojców.

Zwracam się do wysokiej izby w roku 2016. Od dekad próbowano kusić nas chrześcijańską coca-colą. Nigdy im tego nie zabranialiśmy, bo zawsze wierzyliśmy w mądrość naszych dzieci, który z pokolenia na pokolenie wybierają sok brzozowy ponad chrześcijański napój gazowany, a Peruna ponad Jahwe. Państwa Europy Zachodniej tkwią uwikłane w spór narodowościowo-religijny. Proszą nas o przyjęcie uciekających przed nim. Błagają, żebyśmy włączyli się w ich międzynarodowy byt, ale my nie damy się na to nabrać (oklaski). Proszą nas o przyjęcie ludzi, których sami stworzyli. Proszą nas o przyjęcie nacjonalistów, faszystów i nazistów. Nie chcemy ich tutaj! Polska znaczy empatia, Polska to tolerancja. Polska to wspieranie słabego przeciw silnemu, Polska to akceptacja, a nie negacja (wrzawa i aplauz). Jestem człowiekiem empatii, nie wrogości. Współpracy, nie walki. Zrozumienia, nie odrzucenia (owacja). Jednak mimo tych cech mego charakteru, nie mogę sobie wyobrazić, żeby nasza ojczyzna przyjęła chrześcijańskich imigrantów. Chrześcijanie chrześcijanom zgotowali ten los! Przez stulecia wykazywaliśmy daleko idące zrozumienie i empatię, ale uważam, że miarka się przebrała. Czy oni kiedykolwiek rozumieli nas? (okrzyki 'nie!' z sali). Czy chcieli nam pomóc? ('nie!'). Czy może raczej stawiali się w pozycji sądu, egzekucji i dostarczycieli prawd ostatecznych? (okrzyki zarówno 'tak!' jak i 'nie!', pewna konsternacja). I czy musimy udawać, że nie wiemy jak wielką satysfakcję im to dawało? (nie! tak!). Nie musimy! Powiedzmy to sobie szczerze: religia naszych sąsiadów nigdy nie została naszą religią. Przez setki lat nas odrzucała, ciemniżyła i próbowała odmienić na swój obraz i podobieństwo. Nigdy jej się to nie udało i nigdy nam tego nie wybaczyła. (wrzawa!)

Dlatego też w dniu 23 lutego 2016 roku zwracam się do naszej rady, by odrzuciła wniosek o przyjęcie chrześcijańskich imigrantów. Los, który sobie zgotowali, był od początku wpisany w ich model życia, postrzegania świata, brak poszanowania dla przyrody i zwierząt, których przez wieki nazywali braćmi mniejszymi, ale których nigdy nie przestali mordować, zjadać i skórować. Ten los jest losem morderców, ciemężycieli i ignorantów. To jest los ludzi, którzy zawierzili Jezusowi Chrystusowi i Watykanowi (owacja, poseł Dąb kontynuuje, przekrzykując zebranych) Dlatego też składam wniosek do rady Polan, abyśmy NIE przyjmowali Chrześcijan z terenów ogarniętych działaniami zbrojnymi. Nie możemy sobie pozwolić na zainfekowanie naszego słowiańskiego społeczeństwa takimi ludźmi! Nie stać nas na moralne bankructwo życia z wyznawcami Jezusa! Jesteśmy ludźmi zasad! Jesteśmy ludźmi, którzy są dumni z bycia sobą! Jesteśmy Słowianami!

Jesteśmy ludźmi, którzy wierzą w naturę! Nieważne, jaka będzie Polska, ważne, żeby była słowiańska! Zagłosujmy więc przeciwko chrześcijańskim uchodźcom! (aplauz).

UCHWAŁA ZOSTAŁA PRZEGŁOSOWANA W STOSUNKU 460 DO 0, PRZY DWÓCH WSTRZYMUJĄCYCH SIĘ (Posłowie mniejszości germańskiej).

Posel Dąb Krakowski powrócił do swego mieszkania w wyśmienitym humorze. Gdy tylko wszedł do mieszkania, Ruth podała mu parujący półmisek dziczyzny z Rzeszowszczyzny. Dąb wyjął gąsior miodu z kredensu. W myślach już łączył sukces polityczny z seksualnym. Pomyślał o tym, jak przebierze się za Jaryłę i będzie dominował poskramiając niesłowiankę. Pomyślał sobie, że akt ten będzie pewnym wyrażeniem akceptacji dla mniejszości chrześcijańskiej. Mimo tego, co posel Dąb mówił na potrzeby potomnych, był gotów przyjąć chrześcijańskich uchodźców, ale tylko w pewnych wymiarach. Najlepiej około 110 w biuście, 70 w talii i 90 w biodrach.

Droga przez mękę

Stacja pierwsza

Dziecko na edukację skazane

Drugie urodziny to ostateczny czas, w którym dziecko determinuje swoją przyszłość. Czy będzie należało do klasy robotniczej, czy zwycięzców. Dlatego konieczne jest poczynienie rezerwacji w prestiżowych przedszkolach i organizacja zajęć prywatnych, tak typowych dla tej grupy wiekowej, jak pianino, angielski, chiński i jazda konna.

Stacja druga

Dziecko bierze kurs językowy na ramiona

Im wcześniej, tym lepiej! Polski język polskim językiem, papież Polak papieżem Polakiem, ale angielski na drugie urodziny należy się dziecku jak psu buda i miska. Podobnie sprawa ma się z basenem i kółkiem ceramiki.

Stacja trzecia

Pierwszy upadek pod ciężarem edukacji

Wiemy nie od dzisiaj, że jeden język obcy nie wystarczy. Dlatego też koniecznością jest skorzystanie z poczynionej wcześniej rezerwacji w prestiżowym domu nauki. Naukę kolejnego języka obcego należy rozpocząć nie później niż w dniu trzecich urodzin. Dobrze widziany jest chiński, bo niemiecki i francuski są już solidnie ograne i nie stwarzają tylu możliwości, co jakieś dwadzieścia lat temu.

Stacja czwarta

Dziecko spotyka troskliwych nauczycieli

Nauczyciele postrzegają dziecko jako najwyższe dobro. Każde dziecko oznacza pewną sumę dukatów na pasku wypłaty. Dlatego tak wielu nauczycieli lubi powtarzać, że dziecko to skarb. Szczególnie cenią je nauczyciele mniej popularnych kółek zainteresowań, takich jak np. szermierka.

Stacja piąta

Pierwsza ocena pomaga nieść ciężar edukacji

Ocena jest, oczywiście, pozytywna. Nie ma możliwości, żeby skarb został wyceniony poniżej swojej wartości rynkowej. Ba, nawet poniżej wartości plecaka Fox Kanken, którego to potrzebuje aż trzy modele w różnych kolorach.

Stacja szósta

Psychoterapeuta ociera twarz dziecka

Nie można bagatelizować wyzwań współczesnego świata. Podług zasady „im wcześniej, tym lepiej”, należy zatroszczyć się o odpowiednią higienę psychiczną potomka zanim odbierze pierwszy aparat komórkowy w dniu siódmych urodzin.

Stacja siódma

Dziecko upada pod ciężarem matematyki

Zaczyna się od banalnej matematyki. Potem chiński, a na końcu ten najcenniejszy angielski. Pojawiają się pytania: co się dzieje? Czy to alkoholizm rodziców? Czy też może ich wiszący w powietrzu rozwód? Dziewiąty rok życia, już tyle lat prywatnych kompletów, tyle pięknych dyplomów, a jak przychodzi konkurs krajowy, to czarna pizda. Ba, nawet w wojewódzkim miejsce poza pierwszą trójką.

Stacja ósma

Dziecko pocieszane przez współczujących rówieśników

Suma doświadczeń ludzkości pokazuje, że ludzie zaprzyjaźniają się w każdych warunkach. Konieczne jest dołożenie starań, żeby dziecko spędzało

swój czas z latoroślami pochodzącymi z odpowiedniej klasy społecznej. Nie jest przecież właściwe, żeby potomek prawników lub dyrektorów międzynarodowej firmy bawił się z synem sztygara.

Stacja dziewiąta

Kolejny upadek dziecka

Niektórzy mawiają, że nie ma losów gorszych od śmierci, ale mylą się. Bo co może równać się z ujzieniem własnego nazwiska (lub tego, które miało się przed rozwodem) na liście NIEPRZYJĘTYCH do elitarnej szkoły?

Stacja dziesiąta

Dziecko ze złudzeń obnażone

Krew. Krew w piach. Ten chiński, ten angielski, to kółko informatyczne. Krew, pot i łzy też w piach. Zamiast do Staszica, to do Józefa Lompy. Przecież to nie ma prawa się wydarzyć!

Konieczne jest liceum społeczne. Przynajmniej mają kółko szachowe, więc może tędy droga?

Stacja jedenasta

Rodzice przybici zachowaniem dziecka

Złe towarzystwo, towarzystwo pełne dziwnej muzyki, gier komputerowych, ubrań i nawyków. Przede wszystkim towarzystwo, które sprawia, że coraz więcej weekendów przepada. Zamiast nauki, zamiast jakiegoś ambitnego kursu, są galerie handlowe, są wycieczki plenerowe. Edukacja i zajęcia dodatkowe ograniczają się jedynie do 50 godzin tygodniowo.

Stacja dwunasta

Nadzieja matki bezlitośnie do grobu złożona

Stała matka boleściwa. Siedziała niemniej zboląła. Drzwi na medycynę ten glejt nie otworzy. Z prawem też będzie ciężko. Architektura, nawet budownictwo lądowe przepadło.

Ach, gdyby się dziecko bardziej przyłożyło do chińskiego te dwanaście lat temu!

Stacja trzynasta

Dziecko ze smyczy spuszczone

Dzień, w którym rodzice modlą się, żeby to nie było nic humanistycznego. A jak już musi, to byle nie filozofia. Ani też filologia klasyczna. Celem zapobiegnięcia takiemu rozwojowi wydarzeń, proces aplikacji zostaje przeprowadzony przez - chwilowo pogodzony - tandem rodziców.

Stacja czternasta

Dziecko zapisane na bezpłatny staż

Dzień, w którym rozpoczyna się właściwa droga przez mękę.